

"WCIĄGAJĄCA KSIĄŻKA,

OPOWIADAJĄCA NIE TYLKO O ZAGADKOWYCH PRZESTĘPSTWACH
ALE TEŻ O NATURZE LĘKU, PROCESIE TWÓRCZYM I SŁAWIE"

JOHN GREEN

AUTOR KSIĄŻEK: "GWIAZD NASZYCH WISIA"
I "ZÓLWIE AZ DO KONCA"

ZNIKAJĄCY STOPIEN

MAUREEN
JOHNSON

DALSZY CIĄG BESTSELLERA NIEODGADNIONY

ZNIKAJĄCY STOPIEŃ

MAUREEN
JOHNSON

Przetłóżył Paweł Lopatka



Poradnia K

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Vanishing Stair*

Przełożył: PAWEŁ ŁOPATKA

Copyright © 2019 Maureen Johnson

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

Jacket art by Leo Nickolls

Jacket design by Katie Fitch

Translation © 2019 Paweł Łopatka

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Adaptacja oryginalnej okładki, według pierwszego tomu wydania polskiego: MONIKA ŚWITALSKA / Good Mood Studio

Opracowanie typograficzne i skład: JOANNA RENIGER

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: JOANNA TARGOŃ

Korekta: MAGDALENA GERAGA

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-48-8

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa

e-mail: poradniak@poradniak.pl


www: www.poradniak.pl

[Facebook.com/poradniak](https://www.facebook.com/poradniak)

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



ZAFASCYNOWANYM ZBRODNIĄ.
BĄDŹCIE SEXY, NIE DAJCIE SIĘ ZAMORDOWAĆ 

„Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma?
Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba”.

Zagadka znaleziona na biurku Alberta Ellinghama w dniu jego śmierci, 30
października 1938 roku



13 kwietnia 1936, 21.00

– Czy ktoś z was widział Dottie? – spytała panna Nelson, kierowniczka Domu Minerwy, rozglądając się z nadzieją na odpowiedź. Mimo wiosny na górze nadal było zimno, więc mieszkańcy Minerwy zebrali się przy kominku w świetlicy.

– Może jest u pielęgniarki – powiedziała Gertie van Coevorden. – Miejmy nadzieję, że wyleczą ją z siąkania, bo inaczej pozaraża nas wszystkich. Coś obrzydliwego. Wkrótce mam spotkanie z Astorami. Nie mogę przecież pójść chora.

Gertie van Coevorden była najbogatszą uczennicą Akademii Ellinghama. Miała w rodzinie dwoje Astorów i Roosevelta, o czym nie omieszkiała wspominać przy każdej nadarzającej się okazji.

– Gertrude – upomniała ją panna Nelson.

– Poważnie – odparła Gertie. – Skoro jej nie ma, można o tym mówić. Nie dość, że paskudnie siąka, to jeszcze ciągle wyciera nos o rękaw. Niby nie wolno nam traktować ich inaczej...

„Ich” – to jest ubogich uczniów, kilkanaście walecznych osób przyjętych przez Alberta Ellinghama w ramach zabawy polegającej na łączeniu biednych z bogatymi.

– Więc nie traktujcie – dokończyła panna Nelson.

– Oj, przecież wiem, że jest bystra... – Gertie ujęła rzecz nad wyraz powściągliwie, bo Dottie Epstein przewyższała erudycją co drugiego wykładowcę. – ...Ale to naprawdę koszmar. Chodzi mi tylko o...

– Gertrude – przerwała jej znużona panna Nelson. – Dosyć.

Gertie zadarła nos i wróciła do lektury „Photoplay”^[1]. Siedząca po przeciwnej stronie kominka Francis Josephine Crane, druga najbogatsza uczennica Akademii, podniosła głowę. Umoszczona pod narzutą z szynszyli, przeglądała na przemian podręcznik chemii i najnowszy numer „Prawdziwego Detektywa”. Obserwowała też, co dzieje się wkoło.

Szesnastoletnia Francis pochodziła z Nowego Jorku tak jak Gertie. Była córką Louisa i Albertine Crane’ów, właścicieli firmy Mąka Crane („Ubóstwiana w Stanach! Z mąką Crane zawsze się upiecz!”). Crane’owie blisko przyjaźnili się z Albertem Ellinghamem, gdy więc otworzył on szkołę i poszukiwał uczniów, wysłali Francis do Vermontu samochodem z szoferem, z ciężarówką kufrów wypełnionych wszelkimi luksusami. Ich zdaniem umieszczenie Francis w górach, pośród śnieżyc, w miejscu, gdzie proporcje między nieprzyzwoicie bogatymi a biednymi były odpowiednie – rozwiązywało kwestię córki. Francis była odmiennego zdania, nikt jednak ją o to nie pytał.

Francis, która nigdy nie ignorowała służby, dowiedziała się, że Gertie, mimo koneksji z Astorami i Rooseveltami, jest biologiczną córką pewnego przystojnego barmana z restauracji w Central Parku. W restauracji tej wiele zamożnych i znudzonych kobiet z nowojorskiej socjety lubiło wieczorami sączyć drinki i... najwidoczniej też robić inne rzeczy. Nie wiedzieli o tym ani Gertie, ani jej ojciec. Francis ukrywała tę uroczą tajemnicę, czekając na właściwy moment.

Który, rzecz jasna, miał nadejść. Francis była tak bogata i tak rozgarnięta, że dobra materialne ją nudziły. A tajemnice lubiła. Tajemnice miały wartość.

– Nikt nie widział Dottie? – powtórzyła panna Nelson, bawiąc się brylantowymi kolczykami. – Zadzwoń, żeby ktoś sprawdził w bibliotece. Pewnie tam poszła i zapomniała o bożym świecie.

Francis wiedziała, że Dottie Epstein nie ma w bibliotece. Kilka godzin wcześniej widziała, jak biegnie do lasu. Dottie, dziwna, nieuchwytna

istota, wciąż gdzieś się kryła, aby móc poczytać. Francis milczała, bo niezbyt lubiła odpowiadać na pytania, a poza tym uważała, że Dottie ma prawo chować się, kiedy tylko zechce.

Panna Nelson podniosła się i poszła na górę – gdy w jej mieszkaniu nagle zadzwonił telefon. Ponura mgła czy też myśl, że Dottie dawno już powinna wrócić, obudziły we Francis zapał do działania. Francis schowała „Detektywa” w podręczniku i wstała z krzesła.

– Zostaw mi narzutę, skoro idziesz do siebie – poprosiła Gertie. – Nie chce mi się iść po swoją.

Francis wzięła szynszyle i rzuciła je na Gertie. Poszła ciemnym korytarzem do łazienki z wieżyczkami. Zamknęła się w niej, zdjęła buty i skarpetki – i ostrożnie stanęła na sedesie, skąd wywindowała się na parapet. Było to ryzykowne, bo na zimnym marmurowym parapecie mieściło się ledwie pół jej stopy, gdyby więc straciła równowagę, spadłaby i rozbiła głowę o klozet albo o posadzkę. Musiała chwycić się framugi i z całych sił do niej przywrzeć. Dzięki temu jednak mogła się przybliżyć do niewielkiego wywietrznika pod sufitem, który umożliwiał podsłuchiwanie prowadzonych na piętrze rozmów telefonicznych.

Zadzierając głowę, Francis wyłapywała słowa panny Nelson. W pewnej chwili spostrzegła, że ton jej głosu stał się wyższy, że coś ją zaniepokoiło.

– Boże – powiedziała panna Nelson. – Boże, kiedy...

Panna Nelson z zasady nie tragizowała. Była opanowana, zadbana, atrakcyjna. Ukończyła Smith College^[2] i wykładała biologię. Obdarzona błyszczącymi kasztanowymi włosami, zawsze nosiła te same kosztowne, ale dyskretne kolczyki z brylantami i proste stroje. Jak wszyscy nauczyciele i pracownicy Akademii, wyróżniała się licznymi talentami i inteligencją.

Teraz zaś wydawała się poruszona.

– A policja... Tak. Rozumiem.

„Policja?” – powtórzyła w myśli Francis.

– Spotkamy się tam, gdy dziewczęta się położą. Zaraz je odprawię. Przyjdę niedługo.

Słyszając brzęk odkładanej słuchawki, Francis ześlizgnęła się z parapetu i wróciła do świetlicy sekundę przed powrotem panny Nelson. Panna Nelson próbowała zachowywać się swobodnie, ale zdradzały ją rumieńce i błysk zniecierpliwienia w oczach. Podeszła do drzwi i zasunęła ciężki żelazny rygiel. Dłoń zadrżała jej niemal niedostrzegalnie.

– Pora spać, dziewczęta – oznajmiła.

– Gdzie Dottie? – zapytała Gertie.

– Miałas rację. Zanocuje w infirmerii z pielęgniarką. No już, do łóżek, do łóżek.

– Jest dopiero za pięć dziesiąta – powiedziała Agnes Renfelt. – Chcę posłuchać audycji.

– W pokoju – odparła panna Nelson. – Tam możesz sobie słuchać radia.

Francis poszła do swego pokoju – numer dwa, na końcu korytarza. Zamknąwszy drzwi, zdjęła sukienkę i włożyła czarne wełniane spodnie oraz szary sweter narciarski. Wyjęła z górnej szuflady komody świeczkę i pudełko zapalek, i wsunęła je do kieszeni. Potem usiadła pod drzwiami, przyłożyła do nich ucho i czekała.



Po mniej więcej dwóch godzinach Francis usłyszała za drzwiami pannę Nelson. Uchyliwszy je leciutko, zobaczyła, jak panna Nelson zmierza w stronę schodów na końcu korytarza. Zerknęła na świecące wskazówki budzika. „Dam jej dziesięć minut przewagi – pomyślała. – Na wszelki wypadek”.

Dziesięć minut później Francis wyszła z pokoju i skierowała się ku krętym schodom po przeciwnej stronie korytarza. Schody były

obudowane, a obudowa wyglądała na litą, lecz którejś nocy – po szpiegowaniu na korytarzu panny Nelson – Francis odgadła ich tajemnicę. Rozpracowanie sztuczki zajęło jej kilka tygodni, ale w końcu odkryła, że gdy nacisnąć we właściwym miejscu, z dołu wyskakuje zasuwka. Za jej pociągnięciem otwiera się niewielkie przejście. Wewnątrz schodów mieścił się składzik, pusty. Ale wystarczyło uważnie mu się przyjrzeć, by dostrzec w podłodze właz. Tego wieczoru właz był otwarty, choć panna Nelson zwykle pamiętała, aby zamykać go za sobą.

Właz odsłaniał ciemną dziurę w ziemi i drabinę, która zdawała się prowadzić w nicość. Schodząc pierwszy raz, Francis bała się jak nigdy. Ale teraz, oswojona już z drabiną, wiedziała, że w mrok trzeba zanurzać się powoli, stawać na szczeblach z uwagą, wymacywać je najpierw śródstopiem, a nie atakować piętami. Tak postępując, dotarła wreszcie na dół.

Znalazła się w wąskim, ciasnym przejściu. Wyższe od niej o zaledwie kilka cali, poza nią nie pomieściłoby nikogo, więc bardzo przyjemnie skojarzyło jej się z grobem. Francis zdołała podnieść rękę i zapalić świeczkę. Przestrzeń wypełnił smród spalonej siarki.

Otoczona aureolką światła, Francis rozpoczęła eskapadę.

Zaginęła druga uczennica Akademii Ellinghama, prawdopodobnie zamieszana w śmierć Hayesa Majora

Raport Batt – na wyłączność

15 października

W śledztwie w sprawie śmierci gwiazdora YouTube Hayesa Majora daje się zauważyć wyraźny postęp. Jak zapewne wiadomo Czytelnikom, Major, znany z popularnego serialu internetowego *Kres*, zmarł podczas kręcenia wideofilmu o porwaniu i zbrodniach, do których doszło w Akademii Ellinghama w 1936 roku. Pracując w tunelu, został narażony na działanie dwutlenku węgla o śmiertelnym stężeniu.

Wprawdzie policja uznała śmierć Hayesa Majora za nieszczęśliwy wypadek – wynik użycia znacznych ilości suchego lodu dla uzyskania w jednej ze scen efektu mgły – ale czy jest to rozstrzygnięcie ostateczne? Dochodzenie na własną rękę rozpoczęła uczennica Akademii Ellinghama, nieustraszona detektyw Stephanie (znana też jako Stevie) Bell. Bell, którą przyjęto do Akademii jako specjalistkę do spraw porwania w 1936 roku, stwierdziła, że to nie Major umieścił suchy lód w tunelu – i albo zginął przez przypadek, albo został zamordowany. Ponadto udało jej się wykryć, że wbrew swoim zapewnieniom Hayes nie był autorem scenariusza *Kresu*.

Bell zwróciła się do mnie z prośbą o udostępnienie jej do wglądu zdjęć wykonanych w dniu śmierci Majora. Na ich podstawie przypisała autorstwo scenariusza *Kresu* koleżance z Akademii, Element Walker, i uznała ją za współwinną śmierci Hayesa Majora. Po konfrontacji w Domu Minerwy, w którym mieszkali Major, Walker i Bell, sprawą zajęli się pracownicy uczelni. Wszystkich lokatorów Domu Minerwy zabrano do Wielkiego Domu Ellinghamów.

Następnie wydarzyło się coś zaskakującego.

Obecni tamtej nocy w Wielkim Domu potwierdzają, że przesłuchanie Element Walker zostało przerwane, ponieważ pracownicy szkoły postanowili zasięgnąć porady prawnej. Walker zostawiono samą w dawnym gabinecie Alberta Ellinghama, którego drzwi zamknięto. Pod gabinetem znajdowało się wtedy kilka osób. Kiedy otwarto drzwi, okazało się, że Walker zniknęła. Od tej pory nikt jej nie widział. Według niektórych uciekła, wykorzystując tajne przejście w ścianie.

Rodzą się więc pytania: dokąd Element Walker mogła udać się nocą, bez przygotowań, bez prowiantu, telefonu i samochodu? Akademia Ellinghama jest położona na odludziu, na zboczu góry. Jak uciekła Walker? Czy pomógł jej ktoś z kampusu? Skąd wiedziała o ukrytym przejściu? Czy miała coś wspólnego ze śmiercią Majora, czy też może opuściła szkołę, bo coś ją zaniepokoiło?

W związku z jej zniknięciem nasuwa się znacznie więcej pytań na temat tej nieustannie rozwijającej się sprawy.

Zapraszam do lektury kolejnych Raportów Batt, dotyczących zbrodni w Akademii Ellinghama.



Najbardziej ze wszystkich miejsc w dzielnicy Stevie (w Pittsburghu) przypominał Akademię Ellinghama bar kawowy Czadowa Maupa. Był to relikwiarz lat dziewięćdziesiątych, z nazwą wypisaną na szyldzie fikuśną czcionką Festival. Miał ściany w ostrych kolorach, każdą w innym odcieniu. Obowiązkową ścieżkę dźwiękową baru stanowiły utwory gitarowe w średnim tempie, a zdobiły go rośliny i powiększone zdjęcia ziaren kawy. Stoły chwiały się, a kubki zdumiewały rozmiarami. Żadna z tych rzeczy nie kojarzyła się Stevie z jej pittsburską szkołą.

Stevie lubiła bar z tych samych powodów, dla których polubiła Akademię – nie był domem i nigdy jej w nim nie przeszkadzano.

Od tygodnia przychodziła tam codziennie, zamawiając najmniejszą, bo najtańszą kawę. Zanosila ją na tyły baru, do dusznej salki o czerwonych ścianach, w której panował mrok i wszystko – łącznie z chybottliwymi stolikami – lepilo się od brudu. Klienci omijali salkę, więc Stevie świetnie się w niej czuła. Traktując ją jako swoje biuro, zajmowała się w niej najważniejszymi sprawami. Gdyby robiła to w domu, zawsze mogliby przeszkodzić jej rodzice. Bar co prawda był miejscem publicznym, ale nikt nie zwracał tu na nią uwagi.

Nałożyła słuchawki, ale muzyki nie włączyła – nie chciała słyszeć odgłosów z otoczenia. Położyła na stole plecak zamkiem do siebie i otworzyła go. Najpierw wyjęła rękawice nitrylowe, które kupiła w internetowej aptece w dniu powrotu. „Na tym etapie to zbędna ostrożność, ale też nie zaszkodzi”. Włożyła je z przyjemnością. Zanurzyła dłonie w plecaku i wydobyła niewielką, sfatygowaną blaszaną

puszkę na herbatę. Zbyt cenną, by mogła ją zostawić w domu. „Gdy znajdziesz przedmiot o znaczeniu historycznym, pilnuj go”. Stevie strzegła puszeki jak oka w głowie – w szkole trzymała ją zamkniętą w szafce, a w domu schowaną głęboko w plecaku. Aby ktoś przypadkiem jej nie spostrzegł. Od czasu do czasu macała spód plecaka, sprawdzając, czy puszcza jest bezpieczna.

Puszcza była kwadratowa i czerwona, wgnieciona w kilku miejscach, a na brzegach zardzewiała. Widniał na niej napis „Tradycyjna angielska herbata ekspresowa”. Stevie zdjęła wieczko. Stawiało opór, więc musiała lekko nim poruszyć. Wyjęła z puszeki kawałek białego pióra, strzęp materiału obszytego paciorkami, zaśniedziałe złote etui ze zmumifikowanymi szczątkami czerwonej szminki, emaliowane pudełeczko na pigułki w kształcie pantofelka, kilka kartek z notesu, garść czarno-białych fotografii i niedokończony szkic wiersza.

Te niepozorne przedmioty były pierwszymi prawdziwymi dowodami rzeczowymi w sprawie Ellinghamów od ponad osiemdziesięciu lat. W chwili kiedy Stevie je odkryła, jej marzenia o nauce w Akademii legły w gruzach.

Akademia Ellinghama. Jej dawna szkoła. Akademia Ellinghama, do której tak pragnęła się dostać. Wyśnione miejsce, w którym znalazła się na krótko – i które teraz miała niestety już za sobą.

W Pittsburghu nikt nie miał pojęcia, co spotkało Stevie w Akademii. Wiedzano tylko, że wyjechała do jakiejś sławnej szkoły i wróciła po kilku tygodniach, gdy „ten koleś z YouTube” zginął tam w wypadku.

Wyjazd Stevie z Akademii Ellinghama spowodowała śmierć Hayesa Majora, ale do zabrania jej stamtąd przez rodziców przyczyniła się – zupełnie nieświadomie – jedna z jej koleżanek, Germaine Batt.

Każdy z uczniów Akademii miał jakąś pasję, a Germaine Batt pasjonowała się reportażem. Do śmierci Hayesa prowadziła skromną stronę internetową, zyskując niewielkie grono wielbicieli. Ale śmierć to dla reportera dobry biznes. „Co krwawi, bawi”, jak mówią. „Ciekawe kto – myślała Stevie. – Ludzie. Makabryczne, ociekające krwią historie

zawsze umieszcza się na poczesnym miejscu, więc wiadomości zawsze są złe. Dobre rzeczy nikogo nie obchodzą, więc news jest równoznaczny z okropieństwem”.

Doniesienie, które wykończyło Stevie, ukazało się w dniu jej konfrontacji z Ellie Walker na temat tworzenia serialu *Kres*. Stevie wiedziała, że Ellie wykradła Hayesowi laptop i ukryła go pod wanną w Minerwie. Wiedziała też, że Hayes nie użyłby identyfikatora, by zdobyć suchy lód, który go zabije. Nie Hayes napisał scenariusz, dzięki któremu zdobył sławę i stał u progu kariery filmowej. Autorką *Kresu* była Ellie.

Stevie próbowała opowiedzieć o tym wszystkim wspomnianej nocy. Ellie została zdemaskowana najpierw w Minerwie, a następnie w Wielkim Domu. Po czym ulotniła się z zamkniętego gabinetu Alberta Ellinghama. Po prostu – pyk! – zniknęła. Weszła w ścianę gabinetu, przemknęła sekretnym korytarzem i... czmychnęła. W dal. Nie wiadomo dokąd.

Akademia tego nie ujawniła. Ellie formalnie nie można było o nic oskarżyć. Po prostu uciekła ze szkoły z internatem. Tyle że po śmierci Hayesa rodzice Stevie guglowali wszystko, co wiązało się ze szkołą, i tak natrafili na blog Germaine Batt, a w nim na post z komunikatem o prowadzeniu przez Stevie śledztwa w tej sprawie i informacją, że potencjalny zabójca jest na wolności. Dwie godziny po ukazaniu się postu zadzwoniła komórka Stevie, a dziesięć godzin później – wbrew zakazowi przekraczania granic kampusu – jej rodzice zajechali z piskiem opon pod Akademię. Noc była łzawa; Stevie płakała całą drogę do Pittsburgha, cicho i nieprzerwanie, gapiąc się przez okno, dopóki nie zasnęła. W następnym poniedziałek wróciła do swojej dawnej szkoły, gdzie naprędce przygotowano jej plan zajęć.

Starła się nie myśleć za często o Akademii – o budynkach, zapachu powietrza, wolności, przygodzie, ludziach...

Zwłaszcza ludziach.

Wysyłała esemesy przyjaciółom: Janelle i Nate'owi.

Głównie Janelle. I głównie Janelle odpowiadała, pisząc do Stevie kilkadziesiąt esemesów dziennie, sprawdzając, jak się czuje. Stevie była w stanie odpisywać tylko na co trzeci albo co czwarty, bo odpisywanie przypominało jej, jak tęskni za widokiem Janelle na korytarzu, w świetlicy, po drugiej stronie stołu. Jak tęskni za świadomością, że gdy zasypia, za ścianą ma przyjaciółkę... Janelle, pachnącą cytrynami albo kwiatem pomarańczy, która przed pracą ze sprzętem przemysłowym owijała włosy dla bezpieczeństwa jedną z niezliczonych kolorowych chust. Janelle budowała małe roboty i inne urządzenia, a aktualnie przygotowywała maszynę Rube'a Goldberga na konkurs Waxmana. Z jej esemesów wynikało, że od wyjazdu Stevie spędzała w warsztacie o wiele więcej czasu, a jej związek z Vi Harper-Tomo stawał się coraz poważniejszy. Janelle żyła pełnią życia i pragnęła w nim udziału Stevie, Stevie zaś czuła się obco i samotnie, bo ani w tutejszej galerii z Subwayem oraz kioskiem z piwem i papierosami, ani nawet w Czadowej Maupie nie cieszyło jej właściwie nic.

Ale miała puszkę, a dopóki miała puszkę, dopóty miała sprawę Ellinghamów.

Puszkę znalazła w pokoju Ellie na krótko przed jej ucieczką. Wiek puszki oceniła na podstawie zdjęć znalezionych w internecie. Wyprodukowano ją w latach 1925–1940, gdy ta herbata była popularna i szeroko dostępna. Pióro, długości bodaj dziesięciu centymetrów, wyglądało na ozdobę jakiejś części garderoby. Materiał – pięć na pięć centymetrów – jaskrawoblękitny, obsyty srebrnymi, niebieskimi i czarnymi paciorkami, miał wystrzępione brzegi. Kolejny relikw. Na boku etui szminki, której zostało odrobinę, widniały słowa: „Odporna na rozmazywanie”. Wartościowe wydawało się tylko pudełeczko na pigułki. Długie na nieco ponad pięć centymetrów, było puste.

Stevie uznała, że te cztery przedmioty są ze sobą powiązane. Miały one charakter osobisty. Pióro i strzęp materiału były zwykłymi śmieciami, nie wiadomo więc, po co je zachowano. Szminka i pudełeczko przedstawiały pewnie jakąś wartość. Wszystkie przedmioty

należały najprawdopodobniej do kobiety. Musiały być ważne dla osoby, która włożyła je do puszeki.

Pozostałe dwa znaleziska były chyba jeszcze ważniejsze. Stevie tak długo wpatrywała się w zestaw zdjęć dziewczyny i chłopca przebranych za Bonnie i Clyde'a, że aż rozmazał jej się obraz. Dziewczyna miała ciemne włosy ścięte na pazia. Wyguglowawszy kilka portretów lorda Byrona, Stevie stwierdziła, że chłopiec ze zdjęć go przypomina. „Napisali wiersz o sobie. Ale kim byli?” Niestety w sieci nie istniał rejestr nazwisk uczniów Akademii Ellinghama z początkowego okresu jej działalności. Ich nazwiska dotąd były nieistotne – nigdy nie brano ich pod uwagę w sprawie, nigdzie więc ich nie opublikowano. Stevie przeszukała internet, przeczytała wszystkie wątki na wszystkich forach dyskusyjnych dotyczących sprawy. W okresie, gdy popełniono przestępstwa, bądź w następnych latach zeznawało lub rozmawiało z prasą kilkoro uczniów Akademii. Najczęściej pojawiała się w wyszukiwarce niejaka Gertrude van Coevorden, dziewczyna z nowojorskiego high-life'u, podająca się za najbliższą przyjaciółkę Dottie Epstein. Przez wiele tygodni po porwaniach udzielała ckliwych wywiadów – z których żaden nie przydał się Stevie do identyfikacji osób ze zdjęć.

I wreszcie wiersz. Nieudany. I niedokończony.

Ballada o Frankie i Edwardzie

z kwietnia 1936 r.

Frankie i Edward mieli srebro

Frankie i Edward złoto mieli

Ale gdy grę przejrzeli

Oboje prawdy zapragnęli

Frankie i Edward królom się kłaniali

Żyli sztuką i żyli miłością

~~Władcę z tronu stracili~~

Wzięli

Król błazen na wzgórzu mieszkał

I zapragnął partyjkę zagrać

Więc Edward z Frankie doń dołączył

I świat zmienił się nie do poznania.

Stevie nie znała się za bardzo na poezji, kryminalistykę jednak miała w jednym palcu. Słynna w latach trzydziestych przestępczyni Bonnie Parker – na której wzorowała się, pozując do zdjęć, Frankie – też pisała wiersze, takie jak sławna *Ballada o zgubie Sal*, o kobiecie zakochanej w gangsterze. Wiersz, który odkryła Stevie, powstał zapewne pod wpływem twórczości Parker.

Pewne elementy wiersza – wzmianka o grze i zwrotka o mieszkającym na wzgórzu królu błaznie – wskazywały, że dotyczy on Alberta Ellinghama. Nie wiadomo było natomiast, co zrobili Frankie i Edward.

Stevie udało się odnaleźć tylko jedną informację, która odnosiła się do tej pary. Przeczytawszy wielokrotnie raporty z przesłuchań różnych podejrzanych, zebrane w e-booku w komórce, zaznaczyła ustęp, w którym Leonard Holmes Nair, słynny malarz goszczący u Ellinghamów w czasie porwania, opisywał uczniów Akademii:

LHN: Widzi się ich wszystkich, jak się tutaj kłębią. Wie pan... Otwierając tę szkołę, Albert chciał ją wypełnić geniuszami, ale połowa uczniów to dzieci jego znajomych i, prawdę mówiąc, niezbyt lotne. Druga połowa wydaje się w porządku. Jeżeli mam być szczery, to bodaj dwoje poza Epstein wykazywało przebłyśki talentu. Chłopiec i dziewczynka, nazwisk nie pamiętam. Zachowywali się jak para. Dziewczynka miała kruczoczarne włosy, a chłopak przypominał Byrona. Interesowali się poezją. Byli głodni wiedzy. Dziewczynka wypytywała o Dorothy Parker^[3], co uznałem za dobry znak. Przyjaźnię się z Dorothy.

Stevie nie miała cienia wątpliwości, że Leonard Holmes Nair mówił o parze uwiecznionej na zdjęciach.

Tak czy owak, zdjęcia zawierały trop, który mógł okazać się kluczowy. Zabuczała komórka. Esemes od mamy: „Gdzie jesteś?”.

Stevie westchnęła.

„Idę do domu”.

„Pospiesz się” – odpisała mama.

Była dopiero czwarta. W Akademii Stevie sama decydowała o swoim czasie. Kiedy i co jeść, kiedy i czego się uczyć, co robić między zajęciami... zależało wyłącznie od niej. Nikt nie zaglądał jej przez ramię. A teraz znowu musiała żyć rodzinnym rytmem.

Dopiła kawę i ostrożnie powkładała przedmioty do puszek. Nie zdejmując słuchawek, powlokła się w kierunku domu. Miasto szykowało się do Halloween, więc domy i sklepy zdobiły dynie lub jesienne bannery. W powietrzu jeszcze czuło się późne lato, lecz nadchodzący chłód miał wkrótce zetrzeć z powierzchni ziemi życie.

„Zima tu będzie nie do wytrzymania”.

Zadzwoiła komórka. Do Stevie telefonowali tylko rodzice i Janelle, zdumiała się więc, widząc na wyświetlaczu numer Nate’a. Nate nie lubił kontaktować się przez komórkę.

– Niech zgadnę – rzekła, odbierając, Stevie. – Piszesz. – Nate Fisher był pisarzem, a w każdym razie go za niego uważano.

Jako czternastolatek napisał powieść *Cykle księżycowego blasku*. Z początku traktował pisanie jako hobby, kiedy jednak opublikował fragmenty książki w internecie, dostrzeżono ją, zyskała rzeszę fanów i została wydana drukiem. Nate wziął nawet udział w objazdowej promocji *Cyklów* i wystąpił w kilku porannych programach telewizyjnych. Sukces ten umożliwił mu wstęp do Akademii. Stevie odniosła wrażenie, że szkoła podoba mu się z tych samych co jej powodów – trafić tam było niełatwo, więc miał święty spokój. Znany w

swych rodzinnych stronach jako „małolat, który pisze książki”, Nate nie lubił rozgłosu. Jako że cierpiał na fobię społeczną, każda impreza wpędzała go w popłoch. W schowanej między górami Akademii mógł przebywać wśród innych oryginałów. Szkopuł w tym, że miał w niej pisać sequel, tymczasem sequel nie chciał zostać napisany. Istnienie Nate’a polegało więc na unikaniu pracy nad dalszym ciągiem *Cyklów księżycowego blasku*.

„Dlatego dzwoni” – pomyślała Stevie i zapytała:

– Średnio ci idzie?

– Nie wyobrażasz sobie, co przeżywam.

– Aż tak źle?

– Czy w książce jest konieczny środek? – spytał Nate.

– Środkiem jest to, co dzieje się w środku – odpowiedziała ostrożnie Stevie.

– A gdybym dał tylko początek, a potem zastosował sprytny wybieg: cytowanie znalezionych epistoł, różnych przemów, piosenek śpiewanych wędrowcowi w karczmie przez zalanych bardów? Zrobiłoby się ze dwieście stron znaków zapytania, więc później spokojnie bym wyjaśnił, gdzie jest smok. Jak sądzisz?

– A będą się całować?

– Jesteś okropna.

– Nie możesz napisać czegokolwiek?

– Mówiąc w skrócie, chciałem, żeby Księżycowy Blask z czymś walczył, ale nie przyszło mi do głowy nic poza Pulsującą Norbitą. To jakby mur, który wibruje. Aż tyle stworzyłem przez tydzień: mur o nazwie Pulsująca Norbita. Błagam, przyjedź i mnie zamorduj.

– Chciałabym – odparła Stevie, wciskając guzik, by przejść przez skrzyżowanie. – Chciałabym poznać Pulsującą Norbitę.

– Jak ci tam leci? – spytał Nate.

– Bez zmian. Rodzice jak to rodzice. Szkoła jak to szkoła. Miasto śmierdzi jak pomyje ze stołówki. Zauważyłam to dopiero po powrocie.

U Ellinghamów wszędzie pachnie lasem.

Na to wspomnienie poczuła ból tak silny, jakby ktoś przyładował jej w żołądek.

– A co u innych? – zapytała szybko.

– Yyy... Janelle jest cała zakochana i zagrzebana w narzędziach elektrycznych. A David, przypuszczam...

„A David, przypuszczam...” Nate zrobił tak długą pauzę, że Stevie zorientowała się, że coś nie gra. Tylko Janelle wiedziała o związku Stevie i Davida Eastmana. David, irytujący bogaty chłopak, był niechlujny i zamknięty w sobie. Zdolności – a ponoć świetnie znał się na informatyce – ukrywał przed szkołą i wszystkimi. Uwielbiał gry wideo, nie znośił chodzić na zajęcia, nie lubił mówić o swojej przeszłości...

I o Stevie.

Janelle wiedziała, że David i Stevie całowali się kilkakrotnie. Nate pewnie się domyślał; nie dopytywał, ale ich relacja była oczywista. Ani Nate jednak, ani Janelle nie znali pewnej tajemnicy Davida. Sekretu, którego pilnie strzegła Stevie, nie wspominając o nim nikomu.

– Co David? – Stevie starała się udać średnio zainteresowaną.

– Nic. Muszę już kończyć...

Stevie domyśliła się, że Nate kończy nie dlatego, że zamierza pisać, ale dlatego, że nigdy dotąd nie rozmawiał dobrowolnie przez telefon aż tak długo.

– W łazience rodziców wisi tabliczka z napisem, który chyba podsumowuje sprawę – rzekła. – „Uwierz w siebie”. Może warto się nad tym zastanowić. Jak chcesz, przyślę ci to hasło nad zdjęciem wschodu słońca. Pomogłoby?

– Do widzenia – odparł Nate. – Ty zołzo.

Stevie uśmiechnęła się i włożyła komórkę do kieszeni. „Zawsze boli, ale teraz trochę mniej”. Otrząsnęła się i ruszyła zdecydowanym krokiem. Czytała gdzieś, że sposób poruszania się wpływa na psychikę – podejście do świata zależy od postawy ciała. Agenci FBI chodzą pewnie.

Detektywi nie spuszczają głowy i bez przerwy się rozglądają. Naprężyła szelki plecaka, żeby się wyprostować. „Nie dam się”. Prawie wbiegła na popękaną betonową ścieżkę prowadzącą do drzwi domu, jak zawsze odwracając wzrok od przyrdzewiałej, wyblakłej tablicy „King na senatora”, która nadal zdobiła trawnik, chociaż wybory skończyły się przed rokiem.

– Hej! – zawołała, opuszczając słuchawki na szyję i zdejmując kurtkę.
– Postanowiłam pochodzić...

Najwidoczniej mieli gościa.



W bajkach diabeł zjawia się czasami pod postacią niespodziewanego gościa o ujmującym głosie. W życiu jednak zjawiać się nie powinien. Nie powinien o jesiennym zmierzchu siedzieć na zielonej sofie z przeceny w pittsburskim salonie, w którym najważniejszy jest telewizor. A jednak siedział.

Edward King był po pięćdziesiątce, ale wyglądał odrobinę młodziej. Ciemne kręcone włosy zaczesywał na siłę do tyłu. Miał na sobie nienaganny szary garnitur, jeden z tych, które nigdy nie są wymięte ani wyświecone. Na jego twarzy, idealnie gładkiej, malowała się udawana życzliwość. Częstując świat uśmiechem niewiniątka, rozkraczył się na sofie tak szeroko, jakby spędzał tutaj każdy wieczór. Rodzice Stevie siedzieli na identycznych fotelach po obu stronach sofy, czujni, zdumieni i ewidentnie zdezorientowani.

– Witaj, Stevie – rzekł King.

Stevie znieruchomiała w progu. Jej kończyny objął nagle paraliż.

Edward King był najokropniejszym człowiekiem w Stanach.

„No, może jednym z kilku”. Bez wątpienia jednak był człowiekiem wpływowym. Jako senator Pensylwanii urzędował tu, w Pittsburghu. To on chciał chronić Amerykę przed „obcymi” i „marginesem społecznym”, czyli kolorowymi i biedotą. Za wartość Edward King uważał bogactwo. Zmiany klimatu nie istniały w jego świecie – ziemia służyła płodzeniu nadających życiu sens dolarów. Ten oto człowiek zapragnął zostać prezydentem.

– Stevie. – W głosie ojca zabrzmiał ton przestrogi. Stevie natychmiast pojęła komunikat: „Wiemy, jak się na to zapatrujesz, ale ten człowiek to senator i nasz idol, więc jeśli sądzisz, że teraz stąd wybiegniesz albo wdasz się w dywagacje polityczne, to jesteś w błędzie”.

Stevie poczuła w piersi odwieczną gnębicielkę, arytmie zwiastującą napad lęku. Chwyciła się framugi jak koła ratunkowego. Rodzice nie wiedzieli, że nie po raz pierwszy znalazła się tak blisko Kinga.

– Nie szkodzi – Edward King uspokoił ojca. Zbyt cwany, żeby uśmiechnąć się szeroko, uniósł tylko leciutko kącik ust. – Wiem, że Stevie za mną nie przepada. Możemy różnić się poglądami. Na tym polega wielkość Ameryki – na poszanowaniu odmienności.

„O, nie. Nie, nie, nie. Prowokuje mnie. Chciałby się zabawić moim kosztem”.

Stevie też chętnie by się zabawiła.

Gdyby mogła oddychać. „Oddychaj, oddychaj, Stevie. Jeden wdech i cały układ zaraz ruszy”. Ale przepona odmawiała posłuszeństwa...

– Stevie – powtórzył ojciec mniej surowo. – Siadaj.

Wiedziona instynktem Stevie omal nie padła na podłogę.

– Ależ nie musisz – rzekł Edward King. – Najważniejsze, żeby było ci wygodnie, Stevie. Przyszedłem, by po prostu z wami porozmawiać, zobaczyć, jak się czujecie po tym, co zaszło w Akademii. – „Kolejny ruch w tej rozgrywce – pomyślała Stevie. – Skoro mówi, że mogę stać, może jednak powinnam usiąść. Bo jak nie, to się przed nim ugnę. Za dużo tego”. W złocistej poświacie gasnącego dnia na dywanie kładły się cienie. Albo Stevie się tylko wydawało. Podłoga była tak zachęcająca...

„Stevie!!! Musisz. Wrócić. Do ciała”.

– Gratuluję ci świetnej pracy w Akademii – ciągnął Edward King. – Twój talent detektywistyczny zasługuje na najwyższy podziw.

Rodzice spojrzeli na Stevie w taki sposób, jakby chcieli, żeby zatańczyła albo wyciągnęła z rękawa gołębicę. Mimo to jej głos i ciało odmawiały udziału w spotkaniu.

„Okej – powiedziała do siebie. – Brawo za to, że nie leżysz na podłodze. Ale musisz się poruszyć. Bo możesz. Możesz się odezwać. Zrób coś”.

– Przepraszamy – powiedziała matka.

– Nie trzeba. – Edward King rozpostarł ręce w hojnym geście, jakby dom należał do niego. – Powiem coś, co pewnie ci się nie spodoba, Stevie. Przypominasz mi mnie z lat młodości. Wtedy twardo trzymałem się swoich zasad. Nawet gdy innych to drażniło. Masz charakter. Otóż sprawa, z którą do was przychodzę, o której chcę pomówić... Posłuchajcie. Przyszedłem prosić, żeby Stevie wróciła do Akademii Ellinghama.

Dla Stevie podłoga się rozpadła i odsłoniła latające miasto w dole.

– Sł... cham? – Teraz matka zachwiała się na nogach.

– Rozumiem, rozumiem – odparł przepaszająco Edward King. – Uczy się tam też mój syn. Proszę, wysłuchajcie moich argumentów. Pokażę wam coś.

Pochylił się, sięgnął do eleganckiej skórzanej aktówki i wyjął kilka błyszczących prospektów. – Spójrzcie. – Wręczył rodzicom po jednym. Trzeci prospekt chciał podać Stevie, a gdy ta ani drgnęła, prędko położył go sobie na kolanach.

– Ochrona? – zapytał ojciec, dokładnie oglądając prospekt.

– Najlepsza firma w kraju. Lepsza od służb specjalnych, bo prywatna. Sam z niej korzystam, więc wynająłem ją, by założyła podsłuch w Akademii. Zawsze uważałem, że powinien tam być lepszy system bezpieczeństwa, no i po ostatnich zajściach udało mi się przekonać dyrekcję do podłączenia podsłuchu.

Rodzice przeglądali prospekty, oniemiaли.

– Zrobiłem to – ciągnął – bo Akademia jest miejscem wyjątkowym. Kultuwuje się tam indywidualne zdolności. To, co robią dla takich osób jak Stevie i mój syn... Żarliwie wierzę w słuszność ich celów. Albert Ellingham był wielkim człowiekiem, amerykańskim innowatorem pełną

gębą. A w Akademii kształtuje się obecnie przyszłych amerykańskich innowatorów. Bardzo was proszę. Według mnie Stevie powinna tam wrócić. Kampus stał się znacznie bezpieczniejszy.

– A ta dziewczyna? – zapytała matka. – Wszystko, co się tam zdarzyło...

– Element – odparł King, kręcąc głową. – Chcecie znać moje zdanie?

Rodzice chcieli je znać zawsze. Pierwszy raz zapragnęła poznać je też Stevie.

– Otóż sądzę, że to był wypadek. Tych dwoje uczniów zagubiło się, więc Hayes zginął. Wasza córka to rozpracowała. A ta dziewczyna uciekła ze strachu. Znajdą ją.

– Szkoła powinna była być ostrożniejsza – zauważył ojciec.

– Tu się nie zgadzamy – odparł King jowialnym głosem dygnitarza. Przechylił się do tyłu. – Ja nie winię szkoły. Jestem wyznawcą odpowiedzialności cywilnej. Szkoła trzymała te materiały pod kluczem. Uczniowie są dostatecznie dorośli, by nie włamywać się i nie wykradać chemikaliów. Odpowiedzialność to podstawa.

W swych wystąpieniach Edward King wciąż podkreślał wagę odpowiedzialności. Dla niego słowo to było puste, ale wyborcom się spodobało. Stevie spostrzegła, jak usypia nim czujność rodziców.

– Mój syn... skończy w grudniu osiemnaście lat, siódmego. Trudno mi w to uwierzyć, ale jest dorosły. To nie szkoła dopuściła się zaniedbań. Gdyby, nie daj Bóg, zginął on, gdyby, uchowaj Boże, zginął mój syn albo Stevie... Nie zmienilibym zdania.

Zdania wypływały z jego ust jak zatruty miód – słodziuteńkie, doskonałe i fałszywe. Wszystko to było jedną wielką ściemą. Rzeczywistość domagała się restartu.

King dał rodzicom nieco czasu na przyswojenie propozycji. Widząc, że jego fortel działa, Stevie ujrzała przed sobą szansę na spełnienie marzeń.

– Chciałbym zaproponować Stevie podwiezienie – podjął Edward King po chwili. – Tak bezwzględnie jestem pewny swoich racji. Przyjechałem SUV-em, bo to dość pakowne auto. Samolot czeka na lotnisku. Prywatny lot – już lepiej być nie może.

„Co robić, gdy w salonie zjawia się diabeł i oferuje wszystko, czego dusza zapagnie?”

– Dlaczego? – zapytała oschle Stevie. Było to pierwsze wypowiedziane przez nią słowo.

– Bo tak nakazuje rozsądek – odrzekł Edward King.

„Pierwsze jawne kłamstwo z jego ust dziś tutaj. Najbardziej też wymowne – pomyślała Stevie. – I tym kłamstwem uwodzi rodziców, święcie przekonanych, że obcują z orędownikiem jakiejś wspaniałej ultraamerykańskiej prawdy, którą da się kupić i posiadać na własność. Edward King przyjechał Zrobić Co Należy i uskuteczni to w danym przez Boga odrzutowcu”.

– Rzecz jasna jest to też wyraz mojej wdzięczności – zwrócił się do rodziców. – Wdzięczności za waszą ciężką pracę. Za oddanie, z jakim prowadzicie moje biuro. A więc...

Skierował wzrok na Stevie.

– Co ty na to? – spytał.

14 kwietnia 1936, 2.00



Gdy Francis Crane miała osiem lat, ojciec zabrał ją do zniszczonego przez wybuch młyna. Z budynku zostały tylko osmolone ściany; eksplozja wysadziła dach, spacerowali więc pod gołym niebem. Wiele maszyn spłonęło, a niektóre stopiły się częściowo, tak że ich szczątki zwisały smętnie z kabli. Napis „Mąka Crane” na ścianie był prawie nieczytelny.

– Wszystko – rzekł ojciec – przez mąkę, Francis. Przez najzwyklejszą mąkę.

Wtedy też Francis dowiedziała się o wybuchowych właściwościach mąki. Ojciec powiedział, że ten pozornie nieszkodliwy, używany na co dzień biały pył potrafi wybić dziurę w murze. Zdumiało ją, że w czymś tak prozaicznym tkwi kolosalna moc.

Doświadczenie to zmieniło życie Francis. Dotąd nic nie zachwyciło jej bardziej. Oszalała na punkcie wybuchów, ognia, trzasku płomieni i rumoru walących się domów. Niebezpieczeństwo wprawiało ją w podniecenie, rozpoczęła więc wędrówkę w strefę mroku. Gruzy, dymiące zgliszcza, tylne drzwi, pomieszczenia dla służby – w takie to i inne groźne miejsca zapuszczała się, aby poczuć ten dreszczyk. Sprawiała sobie niewinne przyjemności – kilkakrotnie zrobiła mały pożar w koszu, zwędziła Edie Anderson kapelusz i puściła go z dymem nad sadzawką w Central Parku, a kiedyś odrobinę przesadziła, odpalając całe pudełko fajerwerków. Wymykała się z przyjęć albo z domu i jechała taksówką w stronę, skąd dobiegało wycie syren. Czasem

siedziała na dworze aż do rana, obserwując, jak płomienie liżą niebo. Teraz zaś skradała się za budynkiem Akademii Ellinghama i odliczała kroki.

– Sto, sto jeden, sto dwa...

W prawej ręce trzymała świeczkę, która spalała się błyskawicznie, zalewała więc jej dłoń gorącym woskiem i coraz bardziej parzyła skórę. Wyciągniętą do tyłu jak ster lewą ręką wodziła po ścianie, badając teren, by nie stracić orientacji. Tunel okazał się tak ciasny, że musiała uważać, by nie poobcierać sobie ramion. W początkowym odcinku tunelu poruszała się swobodniej, bo zbudowano go z gładkich cegieł. Wędrując w jego głębinę, Francis stwierdziła, że murarze chyba sobie odpuścili, bo ściany były wyłożone chropowatymi odłamkami skały, zapewne wysadzonej.

Z myślą, że można by tu utknąć, liczyła dalej:

– Sto pięćdziesiąt, sto pięćdziesiąt jeden...

Ryzyko, że utknie, że tunel się zawali i zasypana kamieniami odda ducha, podniecało ją, wprowadzało w ekstazę.

– Sto sześćdziesiąt.

Przystanęła i wyciągnęła lewą rękę przed siebie, aby znaleźć rozwidlenie tunelu. Ruszając w lewo, zaczęła od nowa liczyć kroki. Ten szlak był dłuższy od poprzedniego. Wreszcie poczuła, że tunel się rozszerza. Zdmuchnęła świeczkę i, stawiając półkroki, po omacku dotarła do drabiny. Chwilę później otworzyła pchnięciem właz nad sobą i wychynęła z cokołu rzeźby stojącej wśród gęstych drzew po drugiej stronie kampusu. Wciągnęła w płuca powietrze, zimne, mgliste.

Podeksytowana, wypełzła na trawę w mroku jak nocne zwierzę, które właśnie się narodziło. Jej oczy przywykły do ciemności, ujrzała więc noc jako świetlistą, pełną życia. Nie zapalając już świeczki, przeszła przez zagajnik i bez większego trudu znalazła ścieżkę do Apolla. Podniosła z ziemi kamyk i wycelowała w okno na piętrze.

Rozległ się trzask otwieranego okna. Francis najpierw zobaczyła w nim linę, a zaraz potem podeszwy stóp Eddiego. Wytatuował na nich kiedyś czarne gwiazdki. Najwyraźniej nie przejmując się chłodem, miał na sobie tylko niebieskie spodnie od pizamy. Z gracją postawił stopy na trawie i odrzucił do tyłu jasne włosy. Piętro Apolla, sporego budynku, w którym pierwotnie miały odbywać się zajęcia, zamieszkiwało obecnie czterech uczniów – dwóch po jednej i dwóch po drugiej stronie. Eddie sąsiadował tylko z jednym chłopcem, na dobrą sprawę więc mógł wyjść drzwiami od frontu, ale to nie sprawiłoby mu przecież frajdy.

Poszedł za Francis do zagajnika – a gdy znaleźli się tam, przycisnęła ją do drzewa. Francis wtuliła się w niego i zaczęła bezwstydnie go całować, wodząc dłońmi po jego nagich plecach.

Edward Pierce Davenport był pierwszą i jedyną osobą, która wzbudziła u niej względny szacunek. Wywodził się z zamożnych sfer jak ona, przyszedł na świat w rodzinie bostońskich właścicieli firmy spedycyjnej. Eddie obrał sobie za życiowy cel zawodzenie oczekiwania rodziców i jak dotąd wychodziło mu to doskonale. Ludzie mówili, że uwodzi pokojówki, na oficjalnych kolacjach występuje nago, a raz nawet wykąpał się w szampanie. Po wydaleniu go z czterech najlepszych szkół w kraju, Davenportowie wyblagali u zaprzyjaźnionego Alberta Ellinghama przyjęcie syna do Akademii, gdzie choć przez chwilę nie przysparzałby kłopotów. Albo przynajmniej robiłby to z dala od nich.

Eddie i Francis poznali się podczas inauguracji. Na pikniku zerkali na siebie pożądliwie znad lemoniady i kurcząt na zimno. Spostrzegłszy w jej torbie numer „Prawdziwego Detektywa”, Eddie zaczął cytować sprośne francuskie poematy. Zostali parą. Eddie nagle spokorniał, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Mówiło się, że Francis ma na niego świetny wpływ.

Eddie wprowadził Francis w poezję – nieokielznane wizje twórców romantyzmu oraz pełne łamigłówek strofy modernistów i surrealistów. Kierując się w życiu impulsem, folgował wszelkim swoim zachciankom

i uczył Francis zmysłowych przyjemności, ona zaś była pojętną uczennicą.

Francis opowiadała Eddiemu o bombach i czytała mu o Johnie Dillingerze, Ma Barker, Bonnie i Clydzie. Eddie z miejsca stał się ich entuzjastą. W jego pojęciu byli poetami – beztroskimi poetami zbrodni, którzy nie znali kompromisu i kpili z prawa. Gawędząc na trawniku, w bibliotece, w piwnicach, w rozmaitych zakamarkach szkoły, Francis i Eddie zadzierzgnęli nierozzerwalną więź.

Jesienią i mroźną zimą zaczęli zgłębiać arkana występku. Umówili się, że w sprzyjającym momencie wezmą któreś z aut Ellinghama, załadują je dynamitem i uciekną. Moment ów miał nadejść wkrótce – po roztopach. Zamierzali w pogodny dzień wymknąć się niepostrzeżenie i pojechać na zachód, tam zaś rabować banki. Francis miała wysadzać skarbcę, a Eddie opisywać wszystko. Chcieli kochać się w kryjówkach, nawet na szosach, dopóki szos starczy.

Francis wyrwała się z objęć Eddiego, by powiedzieć mu o zniknięciu Dottie i wizycie policjantów – ale on osunął się na ziemię i pociągnął ją ku sobie. Potrzebę opisanego tak ciekawych zdarzeń przesłoniła Francis żądza. Leżący z obnażoną piersią Eddie wydawał się jej najpiękniejszy w świecie. Nieładny, nieokrzesany, ordynarny, był niemal taki jak ona. Poprzedni chłopcy drażnili ją niemrawością. Eddie znał się na rzeczy. Świetnie wiedział, czym jest rytm i tempo. Zwłaszcza wtedy więc, gdy działał leniwie, doprowadzał ją na skraj rozkoszy. Tak jak teraz – muskając ledwie brzeg jej piersi.

– Muszę ci coś opowiedzieć – rzekła bez tchu. – Spodoba ci się.

– Podoba mi się wszystko, o czym mówisz.

W pobliżu rozległ się nagle hałas. Oboje zamarli w bezruchu. Albert Ellingham minął ich szybkim krokiem. Francis bezgłośnie dała znak Eddiemu, żeby za nim poszli. Zachowując bezpieczny dystans, ruszyli za Ellinghamem w kierunku nieukończonyj jeszcze sali gimnastycznej.

Pomieszczenie, do którego wszedł Ellingham, zostało przeznaczone pod nową pływalnię. Obszerne, sklepienie i zimne, wyłożono białymi i

turkusowymi kafelkami. Basen – gładka niecka z betonu – był pusty. Ogrzewania dotąd nie podłączono, panowało więc tam zimno jak w lodowni. Francis, która zmarzła w płaszczu, domyślała się, co czuje Eddie. A Eddie, jak to on, w ogóle nie zauważył chłodu.

W wejściu stał duży wóz pełny materiałów budowlanych. Jako że źródłem światła była tylko lampa na drugim końcu sali, Eddie i Francis nie musieli się specjalnie chować. Wysoki strop, pusty basen i wykafelkowane ściany zapewniały tak doskonałą akustykę, że – wprawdzie nie widząc wiele z miejsca, w którym przykucnęli – słyszeli wyraźnie każde słowo.

– Albercie! – westchnęła panna Nelson. Słyszając szybkie kroki, Francis wyrzała zza wozu i zobaczyła przytulone do siebie dwie postaci. Francis zbeształa się w duchu za tępotę. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, skąd u panny Nelson nienaganne fryzury i kolczyki z brylantami, niby skromne, ale z pewnością zbyt drogie na jej kieszeń.

– Marion. – Głos Alberta Ellinghama brzmiał chrapliwie. – Zdarzyło się coś złego. Ktoś porwał Alice i Iris.

W środku ochłodziło się jeszcze bardziej. Ziąb stał się złowieszczy jak skłębienie chmur tuż przed śnieżycą.

„Porwana” – powtórzyła szeptem Francis.

– Ten list – rzekł Ellingham. – „Wasz Nieodgadniony”...

Francis zrobiło się niedobrze. Tymczasem Eddie syknął przez zęby z podniecenia.

– Weź go – nakazał Ellingham pannie Nelson.

– Boże, Albercie, przecież ja nie umiem strzelać.

„Czyżby dawał jej pistolet?”

– Odbezpieczasz i naciskasz spust. Posłuchaj. O świcie podjadą autobusy. Mają do nich wsiąść uczniowie, a ty wraz z nimi. Zbudź ich przed wschodem słońca. Każ im zabrać tylko to, co niezbędne. Pozostałe rzeczy każę odesłać.

– Albercie, jedno z dzieci...

– Nie ma czasu. Złapiesz pociąg do Nowego Jorku, a z dworca pojedziesz prosto do mieszkania. Skontaktuję się z tobą jak najszybciej. Idź już.

– Przykro mi, Albercie. Ja...

– No już, już, Marion. – Albert Ellingham – król amerykańskiej prasy i radia – był na skraju łez. Francis i Eddie przywarli do ziemi, gdy panna Nelson wybiegała. Albert Ellingham przez chwilę szlochał spazmatycznie, po czym się oddalił.



Pół godziny po zastaniu w domu Edwarda Kinga Stevie siedziała na tylnym siedzeniu jego SUV-a. Jechali na lotnisko. Słońce dawno zaszło, a że szyby były przydymione, w samochodzie panowała niemal całkowita ciemność. Obok niej na wielkim obitym skórą fotelu siedział Edward King. Sącząc z butelki wodę mineralną, sprawdzał coś w komórce i prawie się nie odzywał. Przed sobą mieli wpatrzonego w przestrzeń ochroniarza. Mrok rozjaśniały tylko nikiłe światła za oknami i kontrolki na desce rozdzielczej.

Okazało się, że w bagażniku SUV-a rzeczywiście jest dość miejsca na torby i pudła Stevie. Kilku z nich nie otworzyła po powrocie, były więc gotowe do zabrania. Ubrania musiała jednak zdjąć z suszarki i powyjmować z szafy, kosza, szuflad. Niektóre brudne. Cały jej skromny dobytek, sfatygowane książki, mocno sprane czarne rzeczy, poodbarwiane w wielu miejscach prześcieradła, worek zebranych w pośpiechu kabli... wszystko to załadowali do bagażnika kierowca i ochroniarz – z kliniczną precyzją przedstawicieli prawa usuwających dowody z miejsca zbrodni. Wpakowali do SUV-a wszyściuteńko, bez względu na stan i wymiary.

Plecak Stevie trzymała przy sobie. Miała w nim to, bez czego by się nie obyła, decydując się na ucieczkę z samochodu. Laptop. Portfel. Lekarstwa. Notatki. Komórkę. I rzecz jasna puszkę.

– A więc... – odezwał się King, wsuwając komórkę do kieszeni. – Jesteś podekscytowana, że wracasz do szkoły?

Ekscytacja nie była najwłaściwszym słowem. Stevie musiała i chciała wrócić, ale towarzyszyło jej uczucie lęku. Ekscytacja i lęk są spokrewnione, czasami zatem można je pomylić. Łączy je wiele objawów – rozszerzenie źrenic, przyspieszony puls, pobudzenie. O ile jednak ekscytacja unosi, poprawia nastrój, o tyle lęk ściąga w dół, przygniata, sprawia, że traci się grunt pod nogami.

Tak działa układ współczulny, wyjaśniła Stevie terapeutka: aby poradzić sobie z lękiem, należy przejść przez wszystkie jego fazy. Stevie postukała nogą w podłogę SUV-a, nakazując lękowi, żeby się pospieszył. „Czego się boję? Powrotu do sprawy, powrotu do przyjaciół, powrotu na zajęcia, powrotu...”

Obawiała się spotkania z synem Kinga. Powrót do niego mógł okazać się niełatwy.

Ostatni raz widzieli się nazajutrz po zdemaskowaniu i ucieczce Ellie. Wrócili razem do Minerwy. Weszli do pokoju Ellie i siedzieli tam na łóżku. Tego ranka David wyglądał tak pięknie. Z twarzą skąpaną do połowy w blasku słońca, zdawał się emanować własnym światłem. Ciemne pukle zawadiacko opadały mu na czoło... Nieustannie uniesione łuki brwiowe nadawały jego twarzy wyraz rozbawienia. Nos miał długi i subtelny, a znoszone tiszerty podkreślały wspaniałą rzeźbę jego ramion...

Chciała go pocałować, ale rozległ się hałas. Chłopiec wstał, żeby wyrzucić przez okno, tymczasem ona przeglądała zawartość puszek znalezionej w łóżku Ellie.

Na trawniku wylądował helikopter. David wybiegł. Stevie sądziła, że to ekipa poszukiwawcza. Gdy po chwili stanęła przy Davidzie i zobaczyła to, co on – wszystko się zmieniło. Na boku helikoptera widniał napis „King”. Przyjrząwszy się Edwardowi Kingowi i Davidowi, po raz pierwszy dostrzegła między nimi podobieństwo. Później David wyznał jej, że King jest jego ojcem.

A potem stało się coś przedziwnego. Widząc ich razem, King zatrzymał się w pół drogi. Skinąwszy głową, ruszył do Wielkiego Domu.

Helikopter odleciał. Stevie stwierdziła, że nikt poza nimi nie zauważył napisu ani Kinga.

David spojrzął na nią.

– Teraz już wiesz – powiedział.

Czekał na reakcję, ale się nie doczekał. Stevie nie mogła pogodzić się z myślą, że jedyny chłopak, do którego coś naprawdę czuła, z którym się zbliżyła, jest synem...

Gdy milczała, David uśmiechał się z rosnącą ironią.

– No dobra – rzekł w końcu. – Tak myślałem.

Obrócił się na pięcie i odszedł. Odtąd nie zamienili nawet słowa. Do wieczora David jej unikał, ona zaś unikała go nazajutrz. Potem wyjechała i stracili kontakt. Parę razy chciała do niego zadzwonić, powstrzymały ją jednak niechęć, obawa i smutek.

„To, że King mnie tam teraz odwozi, jest sensowne. Cykl się dopełnia”.

SUV zatrzymał się na tyłach lotniska, przy ogrodzeniu z siatki przed czerwonym szlabanem – i strażnikiem. Kierowca podetknął strażnikowi jakiś papier, po chwili szlaban podniósł się i wjechali do środka. Wyszli pod budynek, w którym nie było kontroli, bramek ani rękawa. Weszli do pustego pomieszczenia, przypominającego poczekalnię w banku, i cisnęli bagaże na taśmę skanera, którego operator sprawiał wrażenie niezainteresowanego ich zawartością. Gdy machnął ręką na znak, że wszystko jest porządku, poszli dalej, mijając wygodne krzesła i stojak pełen darmowych pism ilustrowanych i dzienników. Wyszli z budynku drzwiami automatycznymi i skierowali się do samolotu.

Stevie leciała samolotem tylko kilka razy w życiu – na Florydę, do babci i dziadka. Ten samolot był inny. Bardzo, bardzo mały. Mężczyzna w białej koszuli i czapce kapitana przywołał ich skinieniem i poprowadził czterema wąskimi schodkami do otwartego wjazdu. Drzwi, jeśli można je tak nazwać, przypominały jamę hobbita. By się przez nie

przecisnąć, Stevie musiała schylić nisko głowę i przytulić torbę do piersi. Wnętrze samolotu było utrzymane w spokojnej kremowej tonacji. Stevie ujrzała sześć foteli – dwa ustawione przodem do kierunku lotu i cztery parami naprzeciwko siebie. Edward King kiwnął na Stevie, by usiadła naprzeciw niego, ale ona zajęła miejsce po drugiej stronie niewielkiego przejścia.

– Spodoba ci się – powiedział. – Jak człowiek raz polecą prywatnym samolotem, to później o innych nie chce nawet myśleć. Ciesz się, bo to duża frajda.

Ochroniarz zajął jedno z siedzeń ustawionych przodem do kierunku lotu, wyjął książkę i zaczął czytać. Weszli kapitan i drugi pilot. Któryś z nich zatrzasnął za sobą drzwi. Stevie uznała to za podejrzenie proste. „Żeby właz zamykał, ot tak, jeden facet... Przekręcił dźwignię i już”. Pochyleni, obaj mężczyźni weszli do maleńkiego, nieosłoniętego kokpitu. Świeące kontrolki na pulpicie sterowniczym kontrastowały z ciemnym niebem za przednią szybą samolotu. „Przecież kokpit zawsze jest niewidoczny, a już na pewno nie wolno się do niego zbliżać”.

– Potrzebuje pan czegoś, szefie? – odwracając się, spytał jeden z pilotów.

– Na co masz ochotę? – zwrócił się do Stevie Edward King. – Są napoje gazowane i przekąski. Może cola? Są też świetne chipsy. Ubóstwiam je. Nie mogę ich jeść przez cholesterol, ale...

Stevie chętnie napiłaby się coli i spróbowała chipsów, które podano im w koszyku. Chipsy – wymyślne, grubo cięte, wielosmakowe, jedno z tych, które wypuszcza się w niewielkich partiach, więc nietanie – kusily ją. Ale od Kinga nie wzięłaby niczego. Zgodnie z zasadą Krainy Czarów: nic nie jedz ani nic nie pij.

Widząc, że nie namówi Stevie na chipsy, Edward King wzruszył ramionami i wepchnął koszyk za fotel.

– Możemy lecieć – oznajmił.

I tyle. Ani słowa o maskach tlenowych, wyjściach awaryjnych, kamizelkach ratunkowych itp. Stevie nie kazano nawet zapiąć pasa

bezpieczeństwa. Samolocik ruszył naprzód, skręcił na pas startowy i zaczął nabierać prędkości. Pittsburski pejzaż przesuwał się za oknem, a Edward King na swym kremowym tronie grzebał w komórce. Używał telefonu. W samolocie.

Nie dbając o przepisy.

Gdy samolot odrywał się od ziemi, Stevie zemdlilo.

– Trochę potrząsie – poinformował jeden z pilotów. – Niebo jest lekko zachmurzone, za jakieś dziesięć minut powinno się przejaśnić. Turbulencje czekają nas też w strefie Vermont. Nie rozpogadza się tam, więc pewnie nad górami napotkamy prądy. Ale to nic groźnego.

„Małe maszyny zwykle się rozbijają” – myślała Stevie. Gdy samolocik podskakiwał w powietrzu, w jednej chwili uświadomiła sobie absurd życia. „Mknę na wietrze z niewyobrażalnie koszmarnym osobnikiem. Jeśli spadniemy, to Edward King też spadnie. Czy jestem na to gotowa? Czy gdybym mogła wykończyć Kinga, doprowadziłabym do katastrofy samolotu? Czy chcę zginąć, by ocalić Amerykę?” Mózg podsuwał jej niedorzeczne pomysły.

– W jakim celu pan to robi? – zapytała. Dziwnie jej było się odezwać w cichym, grzecznym samolocie.

– Więc jednak mówisz! Całe szczęście. Martwiłem się, że coś ci dolega. Na pewno nie masz chęci na colę?

– W jakim celu pan to robi? – powtórzyła.

– Chodzi o to, że odwożę cię prywatnym samolotem do Akademii Ellinghama?

„Jasne, że o to, ty obłudny dupku”.

– Cóż – odparł King, chowając komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Sądzę, że tam jest twoje miejsce.

– Każdemu świadczy pan tę usługę?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Skądże. Wiem, jak jesteś bystra, Stevie. Dobrze wiem i cenię to w tobie. Wiesz co? Jednak zjem te chipsy. Całą

torebkę. Jadam je tylko w samolotach. Nie wiedzieć czemu. Ale jedna torebka...

Stevie patrzyła, jak wyjmując z fotela koszyk i z uwagą czyta etykiety chipsów. „Wyćwiczony entuzjast polityki, który ma sprawiać wrażenie żywo zainteresowanego wszystkim – kolacjami składkowymi, występami dzieci i emerytów, imprezami na cześć nieznanym mu osobom. Służbowy uśmiech... Tacy jak on świetnie wiedzą, kiedy zrobić pauzę i przerwać drugiemu tok myślenia, aby znów przejąć kontrolę nad rozmową. Edward King syczy jad tak sprytnie, że ludzie mówią: «Fajny z niego facet. Widzicie: też lubi chipsy»”.

Postanowiła więc czekać. I milczeć. Wcisnęła plecy w oparcie fotela, który nie zaprotestował, bo był elegancki i znosił wszelkie kaprysy pasażerów.

– Ciekawostka. – Edward King wyciągnął zieloną torebkę. – Smak ogórków konserwowych. Bardzo dobre.

Rozerwał torebkę i długimi palcami wydobył z niej chipsa. Dłonie miał tak podobne do dłoni Davida, że Stevie aż przeszły ciarki. „Tymi smukłymi, wytwornymi dłońmi spokojnie mógłby dusić ludzi”.

– Pierwszym powodem... – włożył do ust chipsa i, przeżuwając go, mówił dalej – dla którego odwożę cię do Akademii osobiście, jest podziw, jaki we mnie wzbudziło twoje zaangażowanie w sprawę śmierci Hayesa Majora. Jestem rodzicem, Stevie. Mój syn uczy się w tej samej szkole, co ty. Ogromnie mnie to więc zmartwiło.

„Tak strasznie się martwisz, a syn mówi, że umarłeś, bo się ciebie wstydzi”.

– To jedno – ciągnął King. – Ale też, jak słusznie się domyślasz, chciałbym prosić cię o coś. Chcę, żebyś mi pomogła.

Z dyskretnie schowanego w ścianie otworu wentylacyjnego napływało chłodne powietrze. Stevie wciągnęła je głęboko w płuca.

– Wiem, wiem. Nie chcesz mi pomóc. Słyszałem o figlu, który mi spletałaś. Jak zmieniałaś numery telefonów i zamiast do mojego

lokalnego biura ludzie wydzwaniali do oceanarium i tego sklepu z lalkami. Prawdę mówiąc, było to zabawne. Nie mam nic przeciwko takim zabawom, ba, uważam, że są mobilizujące. Ale wiem, że nie wesprzesz moich działań politycznych, ponieważ mamy... odmienne poglądy.

Jego zachowanie było nadal uprzejme i swobodne, przymilne i wystudiowane. Aczkolwiek gdy na nią spojrzeł, zobaczyła malujący się na jego twarzy wyraz ponurej wesołości. Jak u Davida. Nie da się ukryć, że zrobiła to, o czym wspomniał, ale nie przyszło jej do głowy, że to do niego dotrze. Senator King – który zamierzał zostać prezydentem – wiedział, że Stevie z nim pogrywa. Świadomość tego nie nastrajała jej zbyt optymistycznie.

– Wydaje mi się, że spełnienie mojej prośby nie stanowiłoby dla ciebie problemu – ciągnął. – Nie kłóciłoby się z twoimi poglądami. – Wsunął do ust kolejnego chipsa, a samolot na moment się zniżył. Stevie przywarła mocno do fotela.

– Znasz Davida. – Nie przejął się spadkiem wysokości. – Mojego syna. Kolegujcie się. Wiem, że cię ceni. Nie wspomina o tobie, choć pytałem go o ciebie nieraz. Zaciekawiała mnie ta jego współlokatorka, która rozwiązała sprawę, która towarzyszyła mu, gdy się zjawiłem w szkole bladym świtem. Nie powiedział słowa na twój temat. Czyli nie chce, żebyś miała ze mną coś wspólnego. Czyli lubi cię. Nietrudno to odgadnąć.

Stevie rozluźniła się. W tym obcym, zimnym samolocie nagle jakby się nieco ociepliło. „David osłania mnie. David mnie lubi”.

– David – mówiąc to, King odłożył torebkę na fotel naprzeciw siebie – nie jest zbyt zdyscyplinowany. Wiesz, która to już jego szkoła?

Pokręcił głową, jakby Stevie odpowiedziała.

– Szósta? Siódma?... Czasem tracę rachubę. David wyraża niechęć wobec szkoły w zadziwiający sposób. Ledwie przestanie mu się tam podobać, dzieje się coś złego. Chciałbym temu zapobiec. To jego ostatni rok w ogólniaku. Musi dociągnąć do czerwca. A w Akademii radził sobie

całkiem nieźle. Gdy wyjechałaś, zaczął dokazywać. Nie chodzi na zajęcia. Zakłóca spokój. Szkoła wkrótce może być zmuszona go usunąć. Liczę, że uspokoi się wraz z twoim powrotem. Dlatego cię odwożę. Wracasz do miejsca, które lubisz, więc zadanie nie nastreczy ci trudności – proszę, dopilnuj, żeby David tam został.

– Jak mam to zrobić? – spytała Stevie.

– Dobrze czuje się w twoim towarzystwie. Widocznie działasz na niego kojąco. Nie sugeruję, broń Boże, byś... przekraczała jakieś granice między wami. Nie mieszam się do takich spraw, więc nie ośmieliłbym się niczego podpowiadać. Myślę po prostu, że skoro się przyjaźnicie, mając cię obok, David zostanie w szkole. To wszystko.

– A jeśli nie mam ochoty z nim rozmawiać?

– Grzeczna pogawędka to nic trudnego. Dopóki on tam będzie, będziesz i ty. Ja o to zadbam. Gdyby jednak ta umowa ci nie odpowiadała, zawrócimy i odwożę cię do domu. Przemyśl to, Stevie.

„Zawróci samolot. Niby rodzicielska gadka, ale facet jest pewny swojej władzy”. Stevie patrzyła w milczeniu na światła, które zaczęły pojawiać się z wolna pod chmurami. Odruchowo sprawdziła, czy ma w plecaku niezastąpiony w śledztwie przedmiot. Puskę po herbacie. Rozwiązanie sprawy było dotąd w sferze marzeń, ale teraz stało się całkiem realne. „Mam coś, czego nie ma nikt. To uśmiech losu”.

Stevie owiewał lekki chłód od okna. Nie odzywając się, patrzyła na swe odbicie w szybie, na sterczące krótkie jasne włosy. „Kim jestem? Kim właściwie jestem?”

– I co ty na to, Stevie? – zapytał Edward King. – Zgadzasz się na taką umowę?

– Mhm – odparła, odwracając się od okna. – Zgoda.



Czasem, w chwilach znudzenia lub zakłopotania, Stevie Bell przypominała sobie sceny z powieści i seriali kryminalnych. Siedząc teraz w, innym rzecz jasna, SUV-ie, który mknął jedną z otoczonych górami odnóg I-89 z Burlington do Akademii Ellinghama, przywołała w myślach początek *I nie było już nikogo*, chyba najlepszej powieści Agathy Christie^[4], a być może najdoskonalszej książki detektywistycznej w ogóle. Dziesięć nieznanących się osób zmierza na odciętą od świata prywatną wyspę, do której dostać się można tylko łodzią. Wszystkich – każde pod innym pretekstem – zaprosił na wyspę tajemniczy mężczyzna. Wybrali się tam, skuszeni możliwością pobytu w ekskluzywnej willi. Tuż po przybyciu orientują się, że powody podane w zaproszeniach są zmyślone, a wtedy... jedno z nich ginie.

Wyjazd do Akademii miał w sobie coś z fabuły książki Christie.

Akademia mieściła się daleko. Dostać się tam można było tylko szkolnym autobusem. Przysyłali zaproszenie, nie wiadomo czym się kierując. Stevie wracała, bo dostała propozycję nie do odrzucenia.

No i nie wolno zapominać o trupie.

Najważniejszy był tu przecież on, Hayes Major. Opalony muskularny blondyn o słodziutkim głosie i wydatnych kościach policzkowych. Stevie w mig odkryła, że genialnie wykorzystywał ludzi. Zadania domowe, eseje, prezentacje, serial wideo... Pracowała dla niego masa osób. Prawdę mówiąc, był niezłym palantem.

Hayes nie zasłużył na śmierć. Stevie nadal nie wiedziała, w jaki sposób zginął. Wiedziała tylko, że sam nie napisał scenariusza – za pięćset dolarów zrobiła to i zachowała w tajemnicy Ellie. Stevie ustaliła też, że Hayes skype’ował ze swoją dziewczyną, Beth Brave, kiedy rzekomo szedł po suchy lód, od którego potem stracił życie. Suchy lód musiał więc zwędzić ktoś inny. Pewnie osoba, która zawiodła się na Hayesie. Która, pisząc scenariusz, sądziła, że nic z niego nie wyjdzie, po czym się dowiedziała, że chcą go zekranizować, a skoro tak, musi być wart miliony...

Zastrzeżenia wobec Hayesa miało jednak sporo osób. A wychowana w komunie hipisowskiej Ellie chodziła w szmatach i najwyraźniej nie dbała o pieniądze...

Serce Stevie zabiło szybciej. „Nie ma sensu w to brnąć, nie ma sensu się obwiniać. Wskazałam fakt, Ellie uciekła, kryzys minął. Wracam do szkoły, aby skończyć, co zaczęłam. Tyle”.

Edward King nie towarzyszył jej na tym etapie podróży. Wsiadł z powrotem do samolotu i odleciał nie wiadomo dokąd. Ostatnie jego słowa do Stevie brzmiały: „Rób jak chcesz, ale rozsądnie byłoby nie wspominać, że wróciłaś moim samolotem. Cała szkoła wie, że rodzice dali ci zielone światło. Mów po prostu, że przyleciałaś i tyle; jeśli powiesz, z kim, możesz stracić popularność”. Na lotnisku czekał na Stevie wypożyczony minivan, kierowcy było obojętne, kogo wiezie. Włożyła słuchawki i próbowała słuchać muzyki, później zaś podcastu o prawdziwych zbrodniach. Ale nie mogąc się na niczym skupić, zrezygnowała i jechała dalej w ciszy.

Czuła, że powinna zadzwonić do Janelle albo Nate’a, albo chociaż wysłać im esemesa, że jest blisko. Paraliżował ją jednak lęk, że będą pytać o różne sprawy, na które przecież nie знаła jeszcze odpowiedzi. Nie rozumiała dotąd wszystkiego. Więc wspominając fabuły znanych kryminałów, patrzyła na skalne ściany wzdłuż szosy.

Minivan stanął na poboczu. Kierowca zgasił silnik. Chwilę czekali, aż zjawi się ktoś ze szkoły. Obok nich zatrzymała się niebieska toyota.

Stevie ujrzała znajomą szpakowatą czuprynę. Ochroniarz Larry miał na sobie nie mundur, lecz dżinsy i kurtkę w tak lubianą przez Vermontczyków czerwono-czarną kratę – czyli był po służbie.

– Wróciłaś – rzekł, kiedy Stevie wysiadła.

– Tęsknił pan za mną?

– Przez ten czas nie myślałem o nikim innym. – Stevie poznała po przekąsie w głosie Larry'ego, że to prawda. Bo choć nieraz go denerwowała (wędrując tunelem, mieszając się do śledztwa, prowadząc własne – drobiazgi, nad którymi nie warto się rozwodzić), wzbudziła też jego podziw naukowym podejściem do sprawy Ellinghamów i tym, że...

Zaprowadziła go do zwłok Hayesa. I do osoby, która być może go zabiła.

Larry podniósł i władował do bagażnika jedną z wypchanych brudnymi ubraniami toreb Stevie. Jej dobytek przenoszono już kilka razy, więc wkładany teraz do toyoty wyglądał dość nieciekawie. Właścicielem toyoty był chyba Larry – Stevie zjawiała się za późno, żeby szkoła mogła przysłać autobus.

– Co się działo po moim wyjeździe? – zapytała Stevie, gdy oboje wsiedli do samochodu. Larry ściszył – grające dość już cicho – country.

– Nastąpiła przerwa. Zamknęli szkołę.

– O tym wiedziałam – odparła.

Larry wyjechał na szosę. „Znacznie tu ciemniej niż na przedmieściach Pittsburgha, gdzie prawie co krok stoi sklep, centrum handlowe, stacja benzynowa, więc jest więcej światła. Tutaj mrok zapada nad ziemią, zasnuwając stopniowo drzewa, skały, a wreszcie cały pejzaż, wszystko”. Na niebie migotały gwiazdy. Stevie poczuła przyjemne ciepło na widok znajomych przydrożnych szyldów, billboardów schronisk narciarskich, wytwórni słodyczy na syropie klonowym i fabryczek szkła dmuchanego. Mijali też jej ulubione znaki z

napisem „Łosie”. Zauważyła je, jadąc do Akademii Ellinghama po raz pierwszy; było ich pełno, ale łosi ani śladu.

– Widział pan łosia? – spytała Larry’ego.

– Owszem.

– Jak wyglądał?

– Był duży.

Ta odpowiedź zadowoliła Stevie. „Przynajmniej łosie nie są blagą”.

– Skoro wróciłaś – rzekł Larry – mam nadzieję, że postarasz się przestrzegać zasad.

– Przestrzegałam cały czas – odparła. – Tylko może...

– Weszłaś do zaplombowanego tunelu, w którym zginął człowiek. Zdemaskowałaś w domu podejrzaną o morderstwo...

Rumieniec dumy na twarzy Stevie nie spodobał się chyba Larry’emu.

– Tym razem będzie inaczej, jasne?

Stevie kiwnęła głową.

– Chcę to usłyszeć – domagał się Larry.

– Będę. Przestrzegała. Wszelkich. Zasad. Obiecuję.

– Świetnie. Bo jako że cię lubię, byłoby mi przykro odsyłać cię, Stevie. Skoro chcesz rozwiązywać zagadki kryminalne, nie zachowuj się tak, jakbyś zjadła wszystkie rozumy i nie działaj na własną rękę. Bo się sparzysz.

– Wiem – odparła. – Przepraszam.

– Tu nie chodzi o przeprosiny – rzekł Larry.

Stevie skurczyła się na siedzeniu i tak została, zgięta w pół, by pas wrzynał jej się w szyję w ramach kary. Samochód skręcił pod kątem prostym w zdradliwą górską drogę do Akademii. Pierwszy raz Stevie jechała nią nad ranem, siedząc w nieco za dużym szkolnym autobusie. Światło nielicznych latarni rozjaśniało gęste zastępy drzew, ciasny korytarz między nimi, dramatyczny uskok nad strumieniem i stromizną, coraz to większą...

Gdy samochód dotarł na wzgórze, w blasku punktowców pojawiły się dwa sfinksy. Kurtyna lasu rozsunała się po chwili. Stevie ujrzała okalające skwer jasne światła, światła w oknach, oświetloną fontannę Neptuna i górujący nad wszystkim Wielki Dom. Jasny. Gotowy.

Oto właśnie zaczynał się akt drugi.



Larry wysadził Stevie na okrągłym podjeździe.

– Wpadnij tu rano – rzekł. – Doktor Scott chce obgadać z tobą pobyt. Bądź o dziesiątej.

– Jasne – odparła Stevie. – Będę.

– No to dobranoc. Dopilnuję, by ci przyniesiono bagaż.

Stevie ruszyła do Domu Minerwy. Panowało przenikliwe zimno. Odgłos jej kroków rozbrzmiał głośno na kamiennych ścieżkach. Korony drzew tworzyły baldachim tak gęsty, że nie było widać księżyca. Objęła się mocniej, bo zawirowało jej w głowie – znowu z lęku. Ogarnął ją lęk, że znów nadejdzie atak paniki. „Czy przyjdzie nocą? Czy chwytając mnie za gardło, zniekształci świat, gdy powinno mnie rozpierać szczęście? Czy rzeczywistość skurczy się do rozmiarów kulki i gwizdnie mnie między oczy?” – myślała z niepokojem Stevie.

Gdy doleciał ją miły zapach dymu z ogniska, zamiast poweseleć, przypomniała sobie, jak jest daleko, jak inaczej się tu żyje, i ile spraw zważyło się jej tego dnia na głowę. Przystanęła, wciągnęła powietrze nosem i wstrzymała oddech. Wypuściła powietrze; z ust buchnęły jej kłęby pary. Stevie sumiennie wykonywała ćwiczenia oddechowe co wieczór przez pół godziny. Pomagały jej opanować się i zresetować. Po chwili takich wdechów i wydechów zapach dymu znowu stał się przyjemny. A już na pewno nieco mniej przerażający. „Wracam do domu, do przyjaciół, do ukochanego miejsca. Nie ma się czego bać” – powtarzała sobie w duchu.

Szła dalej ścieżką. Drzewa przerzedziły się, odsłaniając budynek. Jego wieżyczka złowieszczo majaczyła w mroku, a dzikie wino wyglądało straszniej niż za dnia. Niebieskie drzwi były jednak jak zwykle przyjazne, a w świetlicy i u Janelle płonęły jasno światła. Na górze, wyjąwszy pokój Nate'a, panowały egipskie ciemności. Stevie sięgnęła do kieszeni po identyfikator, nim dotarło do niej, że przecież już go nie ma. Stała chwilę, niepewna, co zrobić. Już-już kierowała się pod okno Janelle, gdy drzwi się otworzyły.

– Stevie!

Pix – doktor Nell Pixwell, stała mieszkanka Minerwy i wykładowczyni – była owinięta w wielki flanelowy szlafrok w szkocką kratę. Najwyraźniej przestała golić włosy, by nie marznąć zimą, bo na głowie miała teraz brązowy meszek. Podniosła ręce w serdecznym geście powitania.

– Larry dzwonił ledwie przed godziną! Tak się cieszę. Stęskniliśmy się za tobą, Stevie. Wchodźże!

W świetlicy Minerwy było duszno i parno. Na kominku trzeszczała ogień, a na jego gzymsie, po obu stronach, stały uśmiechnięte dynie. Przymocowaną nad kominkiem głowę łosia zdobiły mrugające pomarańczowo-czarne lampki. Od wyjazdu Stevie minęło tyle czasu, że zaczęli już przygotowywać się do Halloween.

– Janelle pewnie ma na uszach słuchawki, bo inaczej dawno już by wyszła – rzekła Pix. – Zemdleje z wrażenia. No idź się z nią przywitać.

Stevie wyszła wolnym krokiem na korytarz i zapukała do drzwi pokoju Janelle. Nie słysząc odpowiedzi, zapukała głośniejsze. Po chwili w progu stanęła Janelle w niebieskiej flanelowej piżamie w kotki i niebieskim pasie monterskim, którego głębokie kieszenie wypełniały szczypcy do cięcia drutu i masa innych, nieznanych Stevie, narzędzi. Włosy miała związane w dwa kucyki, a ze słuchawek, które zsunęła na szyję, dobywała się głośna muzyka. Janelle zamarła na moment w bezruchu. Po czym...

– BożecosiędziejczemuminiepowiedziałaśjakdotegodoszłoBoże.

Wzięła Stevie w objęcia pachnące kwiatem pomarańczy, olejem kokosowym, dynią i rozpuszczalnikiem.

– Ale jak, jak... – Cofnęła się, chwytając Stevie za ramiona, aby lepiej się jej przyjrzeć. – Jakim cudem...

– Stało się to – odrzekła Stevie – błyskawicznie. – Dzisiaj. Zmienili zdanie.

– Co? Cooo? Boże, to niewiarygodne...

Sekundę później Janelle wzięła Stevie za rękę i pociągnęła ją ku wąskim, krętym schodom na drugim końcu korytarza. Stevie przypomniało się, że pierwszą osobą, którą spotkała w Minerwie w dniu przyjazdu do Akademii Ellinghama, był Hayes Major. Zwerbował ją do wnoszenia swoich rzeczy po tych niewygodnych schodkach. Podczas gdy ona wylewała siódme poty, Hayes wyglądał pięknie i świeżo. Chwalił się, że dzwonią do niego z LA, a Stevie nie wiedziała, w jakiej sprawie, bo nie pytała go o to i nie obchodziło jej, z kim rozmawia przez telefon. „Cały Hayes. W kółko głądził o swojej sławie i o kontrakcie na film, skłaniając ludzi, by pracowali za niego... Te schody już do końca życia będą mi się kojarzyły z Hayesem”.

Gdy Stevie i Janelle zastukały do pokoju Nate'a (na górze), przez chwilę panowała głucha cisza. Kiedy Janelle zaczęła stukać głośniej, drzwi w końcu się uchyliły.

Nate poupychał meble i cały swój dobytek pod ścianami. Krzesło stało do góry nogami na biurku, a łóżko pionowo, żeby nie zajmować miejsca. Drewnianą posadzkę pokrywało coś w rodzaju wzoru – siatka punkcików i linii wyklejona starannie przyciętą czarną taśmą. Nate siedział pośrodku swej pajęczej sieci, ubrany w wyblakłe niebieskie spodnie od piżamy i wyciągnięty zielony tiszert z napisem: „Żyję, by wnuczeta nie schodziły na złą drogę same”. W pokoju unosiła się mieszanina woni taniego korzennego odświeżacza i nastolatka. „Całkiem miły ten zapach” – pomyślała ze zdumieniem Stevie.

– Zobacz! – zawołała Janelle, wskazując Stevie. – Zobacz! Zobacz! Zobacz!

Nate zerknął z niedowierzaniem w stronę Stevie, po czym wolno podniósł się z podłogi. Nieobcinane od przyjazdu włosy zwisały mu na czoło i opadały na kark. Co chwila drapał się po kilkudniowym zarostcie. Miał minę, którą Stevie pokochała – wyrażającą lekką irytację wszystkim, może z wyjątkiem niej i Janelle.

- To podpucha? – spytał, unosząc brew.
- Żadna podpucha – odparła Janelle. – Przyjechała. Tyle.
- Pach-pach – dodała Stevie.
- Czyli... wróciłaś?
- Z kosmosu – odpowiedziała Stevie.
- Jak tam jest?
- Lepiej nie wiedzieć.
- Nate, wróciła!!! – rzekła Janelle. – Co robisz? – zapytała niepewnie.
- Przytulam was duchowo – odparł chłopiec.
- Z pewną nieśmiałością – powiedziała Stevie – duchowo padam ci w ramiona. – Czym się zajmujesz? – wskazała dzieło z taśmy na podłodze.
- Piszę.
- Taśmą? Na podłodze?
- To mapa. – Nate się rozejrzył.
- Księżycowego blasku?
- Nie.

Obie uznały, że nie ma sensu dopytywać.

Gdy wszyscy troje wyszli na ciemny korytarz, Stevie obróciła się w stronę pokoju Davida. Spod jego drzwi nie dobywało się światło, nie dochodziły też stamtąd żadne dźwięki.

– Nie ma go – powiedział Nate. – A zresztą nie wiem. Może jest. Dałbym sobie spokój.

– Chodź – rzekła Janelle. – Trzeba wnieść jej rzeczy.

Kiedy Janelle kierowała się ku schodom, zwykle ponury Nate uśmiechnął się do Stevie.

– Jak tego dokonałaś? – spytał.

Stevie natychmiast przypomniała sobie, że obiecała Kingowi siedzieć cicho. „Nic to nie da. Mnie ani nikomu”.

– Czary – odparła.

Smętny dobytek Stevie czekał już w świetlicy. Pix dała jej klucz do pokoju. Otworzywszy drzwi, Stevie doznała lekkiego szoku. „Tak tutaj ciemno, zimno, obco”. Ledwie włączyła światło, usłyszała objadającą się o żyrandol zagubioną ćmę. Ściany były puste, a szuflady i drzwi szafy niedomknięte, odkąd, rozżalona, wyszarpywała z nich ubrania... Pokój wyglądał, jakby ktoś opuszczał go w pośpiechu, ze łzami w oczach – i nic dziwnego, bo właśnie tak się stało.

Stevie, Nate i Janelle szybko pownosili do środka pudła i torby. Na widok ubrań, które Stevie wysypała z worka na śmieci, Janelle wzdrygnęła się i pobiegła po wieszaki i parownicę. Nate wypakował książki. Stevie nigdy do nich nikogo nie dopuszczała, ale dzień był wyjątkowy, a Nate – układając je w zgrabne stosy według gatunków – obchodził się z nimi ostrożnie.

– A co z Davidem? – spytała Stevie, znów badając teren. – Wyjechał czy jak? Bo nie mówicie jasno.

Janelle zastygła z ręką w stercie zmiętych prześcieradeł i wymieniła spojrzenie z Nate'em.

– Nie, nie – odparła. – Nie wyjechał.

Jej słowa zawisły na moment w powietrzu.

– Wszystko w porządku? – Stevie popatrzyła na oboje. – O co tu chodzi?

– O to... – Nate porzucił książki – że David totalnie ześwirował.

– Zawsze był psychiczny – rzekła, ścisząc głos, Janelle.

– No a teraz osiągnął szczyt możliwości. Nasza gąsieniczka zmieniła się w pokręconego motyla.

– Powiedz o wrzaskach – poprosiła Nate'a Janelle. – Bo ja nie dam rady.

– Wrzaskach? – powtórzyła Stevie.

– Kiedyś rano zaczął „medytować poprzez krzyk” – wyjaśniał Nate. – Zgadnij, na czym to polega. Mhm, na wydzieraniu się, brawo. Przez pełny kwadrans. Piętnaście. Minut. Na dworze. O piątej. Wiesz, co się dzieje, jak ktoś wrzeszczy kwadrans na dworze w górach, zwłaszcza po...

Wielokropek oznaczał: „śmierci ucznia w wyniku strasznego wypadku lub morderstwa – i zaginięciu uczennicy”.

– Gdy go dopadli ochroniarze, stwierdził, że to jego nowa religia – i że co rano ma przemawiać tak do słońca.

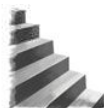
„A więc to miał na myśli Edward King”.

– Czasem – ciągnął Nate, poklepując grzbiety książek, by nie wystawały ze stosu – śpi na dachu. Albo gdzie indziej. Na przykład na skwerze.

– Nago – dorzuciła Janelle. – Sypia na skwerze nago.

– Albo w salach – rzekł Nate. – Raz ktoś wchodzi na równania różniczkowe, a ten śpi w kącie pod kołdrą w pokemony.

– Twój chłopak choruje – stwierdziła Janelle. – Bez ciebie w ogóle źle się tutaj działo. Ale wróciłaś i wszystko znowu się ułoży!



Nate wyszedł po chwili, więc Stevie i Janelle mogły porozmawiać. Tyle że Stevie była wykończona. Zaledwie przed kilkoma godzinami siedziała jakby nigdy nic w Czadowej Maupie. I oto nagle znalazła się w Akademii. W głowie miała jeden wielki chaos, nie pamiętała, co działo się w międzyczasie. Wyczuwając, że powinna się przespać, Janelle porządnie posłała jej łóżko, a potem patrzyła, jak opróżnia butelkę wody mineralnej, aby wyrównać sobie ciśnienie. Na wszelki wypadek postawiła obok łóżka drugą.

– Vi przywita cię na brunchu – powiedziała. – Wypocznij. W razie czego jestem za ścianą.

Janelle wiedziała, że Stevie miewa w nocy napady paniki.

– Dzięki – odparła Stevie – za wszystko.

Po wyjściu Janelle Stevie długo stała przy oknie, wpatrując się w mrok i odbicie swojej twarzy. Okno – jak gwiazdy – przywołało wspomnienie. W noc przed śmiercią Hayesa miała sen. Tak przynajmniej jej się wydawało. Zapamiętała światło, spojrzenie na ścianę i litery jakby z listu Nieodgadnionego... Słów nie pojęła, nadal więc nie dawało jej to spokoju. Obudziła się wtedy rozdygotana, wyskoczyła z łóżka i podpełzła pod okno. To okno. Wypchnęła przez nie opasłą książkę, licząc, że trafi tego, kto się tam zaczął, lecz na próżno – książka wylądowała na ziemi.

Od początku uważała za niedorzeczność, by coś takiego wyświetlono w jej pokoju. „Wymagałoby to masy pracy – trzeba byłoby przygotować liścik, znaleźć osobę, która go wyświetli, kryć się w mroku... Uczniowie Akademii robią różne dziwne rzeczy, ale wątpię, by ktoś zadał sobie tyle trudu tylko po to, żeby mnie nastraszyć...

Chyba że David. David jest zdolny do wymyślnych żartów. Ale skoro podobno mnie lubi, po co miałby robić mi na złość? Po drugie stało się to tuż przed śmiercią Hayesa, więc nie bardzo sobie to wyobrażam”.

Tamtej nocy rozmawiała z Janelle, która, uspokajając ją, tłumaczyła, że sny bywają nad wyraz realistyczne. Dlatego ludziom wydaje się czasami, że widzą duchy, postaci przy łóżku. Granica między snem a świadomością bywa cienka. A że bez reszty pochłonięta sprawą Ellinghamów Stevie zwiedziła nawet tunel, w którym przebywali porywacze – jej mózg musiał jakoś wyprojektować całe to kłębowisko.

Stevie odeszła od okna i spojrzała na miejsce, w którym pokazała się wiadomość. „Jak to szło? «Zagadka na ścianie»... Chyba «mokra robota». Coś o zwłokach na polu... Coś o Alice”.

Stevie dzieliła tę ścianę z Ellie. Minerwa zrobiła się pusta i złowieszcza. Dottie Epstein i Hayes Major zginęli, a Element Walker

ścigano.

„A może Ellie? Czy wiadomość była jej performansem? Czy to ona zaniósła suchy lód do tunelu? Czyżby Ellie miała tak chore poczucie humoru, czy po prostu nienawidziła skrycie ludzi? Nie wygląda na obrażoną na świat, ale nigdy nie wiadomo”.

Stevie podeszła do leżącej w kącie torby i wyjęła z niej puszkę. Tym razem interesowały ją wyłącznie zdjęcia. Zwłaszcza jedno. Grubsze od reszty, bo sklezione z innym. Między dwoma zdjęciami tkwił klucz.

Wyraz.

Wycięte z czasopisma słowo „my”.

Te dwie litery wsunięte między stare fotografie były pierwszą poszlaką od osiemdziesięciu lat, Stevie nie wybaczyłaby więc sobie, gdyby nie wróciła. Sprawę Ellinghamów nazywano nieraz sprawą Nieodgadnionego, bo w pamiętnym tygodniu do Alberta Ellinghama przyszedł list o zbliżającej się zbrodni, złożony ze słów powycinanych z magazynów i gazet. Jak każda z zaangażowanych w sprawę osób, Stevie umiała recytować go z pamięci:

SPOJRZ, ZAGADKA, CZAS SIĘ BAWIĆ.
UŻYĆ SZNURA, SPŁUWĘ SPRAWIĆ,
OSTRE NOŻE LŚNĄ TAK CUDNIE.
TRUTKA WOLNA; DZIAŁA TRUDNIE.
OGIEN CIESZY, A POD WODĘ,
CÓŻ, NIESPIESZNO JEST NIKOMU,
WESZAĆ MOŻNA, ALE PO CI,
KIEDY TRZEBA IŚĆ DO DOMU,
ŁEB ROZBITY, UPADŁEK PASKUDNY.
PĘDZI AUTO, A TU MÓJ OKRUTNY.
WYBUCH - A NI CHYBI
UCIECHA TO GORĄCA,
JEDNAK NI M SENS KARAC
NIESPODNIEGO CHŁOPCA!
CÓŻ POZIĄC, STRASZNY MAM AMBARAS.
JAKI TY, KRYĆ SIĘ, CZY BRAC NOGI ZA PAS.
HIA, HIA.

WASZ
NIEODGADNIONY

Znalezisko z pokoju Ellie dowodziło, że na kampusie mieszkali entuzjaści gangsterów, autorzy wiersza o strącaniu z tronu króla, który żył na wzgórzu i lubił „partyjki”. To oni wycinali i sklejali słowa z gazet. Krótko rzecz ujmując, Stevie odkryła, że Nieodgadnionym mógł być któryś z uczniów Akademii. A skoro tak, to właśnie uczennica mogła go zdemaskować – nawet teraz, po tak wielu latach.

Gdyby też mogła poradzić sobie z człowiekiem, który w tej chwili był pewnie gdzieś nad nią... Człowiekiem, którego tak pragnęła ujrzeć,

którego obecność czuła niemal w każdej chwili. Na samą myśl, że David jest w pobliżu, Stevie robiło się gorąco. Pamiętała każdy gest, każde muśnięcie. Kręcone włosy, zagłębienie szyi, pocałunek.

W głowie Stevie brzmiał głos Edwarda Kinga, kpiącego z jej najskrytszych uczuć do Davida. „Nie mogę iść na górę. Nie mogę go szukać. Może muszę unikać go, dopóki żyję. Unikać miłości. Kontaktu. To jedyny sposób”.

Chwyła kołdrę i naciągnęła ją na głowę, by przestać myśleć, zatopić się w nocy.

crimestuff.com

Pięć legend o Akademii Ellinghama

Na pewno wiesz coś o Akademii Ellinghama, słynnym porwaniu i morderstwach. A czy słyszałeś o tych zwrotach akcji?

1. Alice na strychu

Jedna z historii głosi, że porwanie zaaranżował – jako element gry – sam Albert Ellingham. Gdy gra poszła nie tak i zginęły dwie osoby, musiał wszystko zatuszować. Córkę, Alice, przywiózł do Akademii i trzymał zamkniętą na strychu. Służbie zabronił tam wchodzić. Kiedy Alice dorosła i życie na strychu jej zbrzydło, nie mogąc uciec, popełniła samobójstwo. Do dziś błąka się tam jako duch; podobno czasem słyszać, jak bawi się zabawkami.

2. Tajemnica jeziora

Według innych Iris i Alice Ellingham wcale nie uprowadzono. W tej wersji zdarzeń Iris przeżyła załamanie i utopiła córkę w jeziorze na terenie posiadłości. Ponoć widziała to na własne oczy uczennica nazwiskiem Dottie Epstein. By to ukryć, zamordowano Dottie i wymyślono historię z porwaniem. Przetrzymywana w ukryciu Iris w końcu uciekła i odebrała sobie życie. Zdesperowany Albert Ellingham osuszył jezioro. Rzecz jasna na skraju jeziora wciąż pojawiają się duchy Iris, Alice i Dottie. Tyle duchów...

3. Zatopiony skarb

Radujcie się, piraci! Czyżby kryła się tu wielka fortuna? Ponoć kiedy odnaleziono zwłoki Iris, Albert Ellingham zebrał jej klejnoty i wrzucił w

wodoodpornej kasetce do jeziora Champlain. Jeśli więc masz czas i sprzęt do nurkowania, rozejrzyj się. Duchów nie spotkasz, ale możesz niezłe się obłowić.

4. Następca tronu

Jeśli sądzisz, że trójka to odlot, uważaj teraz, żeby nie spaść z krzesła. Według niektórych źródeł po porwaniach i morderstwach Albert Ellingham zmienił testament, zapisując cały majątek osobie (z wykluczeniem sprawców tych przestępstw), która znajdzie Alice żywą lub martwą. Posiadłość ziemska i przedsiębiorstwa Ellinghama są dziś warte ponad dwa miliardy dolarów. Więc bierz się do roboty!

5. Niezaistniałe przestępstwa

Ani fortuny, ani duchów, tylko przednia zabawa. Są i tacy, którzy twierdzą, że w Akademii wcale nie doszło do porwania i zabójstw. Poszukiwania, zwłoki i śledztwo – wszystko to tworzyło najwymyślniejszą z gier Alberta Ellinghama. Uczennicą, która zginęła, Dottie Epstein, była wynajęta przez niego aktorka. Ellingham zakończył grę dwa lata później, pozorując swoją śmierć w wybuchu. Cała zabawa więc skończyła się szczęśliwie: jej uczestnikom nie stało się nic złego. Później wszyscy mieszkali razem pod przybranymi nazwiskami, rezygnując z bogactwa i sławy. Czy też ze sławy tylko, bo pieniądze pewnie zachowali.

Który wariant zafrapował cię najbardziej? Ten ze skarbem czy z duchami? A może z happy endem?



– Mam ochotę w to wleźć – oznajmiła, podskakując, Janelle. – Ale nie chcę bałaganić... Strasznie mnie korci.

Nazajutrz Stevie, Nate i Janelle wybrali się do stołówki. W każdy weekend można było zjeść tam brunch. Stevie dotąd go zwykle przesypiała, lecz dzisiaj, szczęśliwa z powrotu, wstała wcześniej. Nawet Nate przywłókł się na górę. Teraz właśnie zmierzali w stronę skweru. Jesienny ranek był porażająco piękny. Niebo aż drgało ciemnym błękitem. Kilku technicznych wznosiło dmuchawami gigantyczne kopce z zeschniętych liści.

Janelle miała na sobie połyskliwy oranżowy sweter, dzinsy i mięsisty czarny szalik; pachniała jesiennie, cytrusowo-goździkowo. Stevie włożyła najmniej pomięte i w miarę czyste rzeczy z worka na śmieci – czarną bluzę z kapturem i powyciągane szare legginsy. Nic w tym dziwnego, bo większość jej ubrań była czarna, szara i powyciągana, a kaptur miały prawie wszystkie bluzy. Stevie nie mogła napatrzeć się Janelle, która w smugach przedzierającego się przez liście blasku wyglądała niebywale wprost stylowo. Każdy jej krok, zwyczajny przecież, wydawał się tak wytworny. „Inni istnieją – pomyślała Stevie. – Janelle żyje”.

Przemierzając kręte ścieżki wiodące do Wielkiego Domu, Stevie spoglądała na gęste sklepienie liści. Drzewa najwcześniej zmieniające liście lśniły krwistą czerwienią i złotem. Gdy dotarła do skweru, widok się poszerzył. Jaskrawe barwy otaczały wzgórze aureolą. „Chyba nigdzie nie jest piękniej”. Hipnotyczny pejzaż tworzyły złotooranżowe oceany,

poprzetykane rdzą jak strumieniami lawy buchającej z górskich szczytów.

Stevie nie przepadała za jesienią. Coraz krótsze dni wprawiały ją w niepokój, bo nocami miewała napady paniki. Teraz jednak stwierdziła, że tak być nie musi, że oswoi się z jesienią tu, w górach. „Flanela jest fajna. Jabłka są wyborne. A dynie to jesienne arbuzy. Skoro inni mogą, to i ja potrafię cieszyć się z jesieni. Nic trudnego”.

Zdumiewała ją nierealność sytuacji. „Jeszcze wczoraj siedziałam w salonie z Edwardem Kingiem, potem szast-prast – samolot i umowa, a teraz, proszę, ten psychodeliczny pejzaż... Obłąd”.

- Ten! – Janelle podeszła do wielkiego kopca liści. – Wchodzę.
- Ogarniając wzrokiem inne kopce, Nate rzekł ze znawstwem:
- Pełno w nich zwierzęcych odchodów.
- Nate, odpuść sobie – fuknęła Janelle.
- Moment. Sterta liści to gigantyczne szambo. Żyje tu przecież masa zwierząt. Lisy. Jelenie. Szopy. Łosie...
- Łosi nie ma – wtrąciła Stevie.
- Ptaki – ciągnął Nate. – Wiecie, ile tutaj ptasich gównien? Że nie wspomnę o gównach nietoperzy. Ich odchody są zresztą cenne. Nazywa się je guanem.
- Słyszałam o guanie – odrzekła Janelle ostrzegawczo. – Może byś przestał głądzić o tych gównach? Zamierzam cieszyć się jesienną aurą.
- Nawet wiewiórki muszą się załatwiać.
- Wiewiórki muszą się załatwiać – powtórzyła mądrym tonem Stevie.
- Musisz zepsuć mi ten cudny ranek? – zwróciła się do Nate’a Janelle.
- Każdy ma inne powołanie – odparł chłopiec. – Mnie powołano do tego.

Janelle burknęła coś pod nosem. Stevie stwierdziła, że oboje się przed nią popisują – Janelle była przesadnie radosna, a Nate jeszcze bardziej ponury. Dawali jej odczuć, że nic się nie zmieniło, że wszystko jest

super jak zawsze. A... nie było, bo na drzewach, latarniach i domach zauważyła, niewidoczne na pierwszy rzut oka, maleńkie obiektywy.

Oczy Edwarda Kinga.

– Wzmocnili – rzekła – system bezpieczeństwa.

– Mhm – przytaknęła Janelle. – W zeszłym tygodniu.

– Ja na przykład witam nową straż z radością – zawołał Nate do najbliższej kamery.

– Według mnie to świetny pomysł – dodała Janelle. – To odludzie, nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Zbliżyli się do altany, gdzie urządzono prowizoryczne miejsce pamięci Hayesa. Stevie była do głębi poruszona panującym tam smutkiem. Autentycznym. Bo zamiast rzuconych niedbale kilku kwiatów, zobaczyła gęste bukiety. Bukiety róż, świeże na zeschniętych, zaścielały całą posadzkę. Wokół piętrzyły się rysunki, zdjęcia, listy. Między nimi stały niezliczone świeczki – na baterię, bo od prawdziwych wybuchłby tam wielki pożar.

– Przychodzi to dzień w dzień – wyjaśniła Janelle. – Czasem poczta spóźnia się trochę. Tak czy owak, techniczni przynoszą wszystko tutaj.

Wiatr poruszył płatkami więdnących kwiatów.

– Niezła radocha – mruknął Nate z przekąsem. – Może lepiej posmucimy się przy brunchu?



Wielka jadalnia Akademii Ellinghama przypominała górskie schronisko. Miała wysoki spadzisty sufit, pod którym na skrzyżowanych nagich belkach stały, patrząc krytycznie na zebranych, lampiony z dyń. Stołówka w dawnej szkole Stevie była wyłożona linoleum, a na gorące metalowe tace nie wykładano nic prócz tacos, krokietów ziemniaczanych i rozgotowanych brokułów. Jadalnia Akademii żywiła mniej osób, nie oszczędzono więc pieniędzy na jej urządzenie i stylowy

wystrój. Butelkę napełniało się wodą (gazowaną lub niegazowaną), podstawiając ją pod któryś z bezdotykowych dozowników. Menu wypisywano na tablicach kolorową kredą. „Taki brunch to ja rozumiem” – pomyślała Stevie na widok stanowiska do smażenia omletów (również z tofu – dla niejedzących jajek). Czego tam nie było... Świeże naleśniki i gofry, do nich zaś różne owoce jagodowe, banany, czekoladowe wiórki. Poza tym wędliny i ich wegetariańskie odpowiedniki. Stanowisko do własnoręcznego sporządzania smoothies, świeże pieczywo, miejscowy miód, półka pełna herbat, mnogość kaw, rozmaite rodzaje mleka... I rzecz jasna syrop klonowy – siła napędowa Vermontu. Aromat syropu i woń palonego drewna – te dwa zapachy jak nic innego kojarzyły się Stevie z Akademią.

Stevie wzięła gofra na zamówienie i kokilkę gorącego syropu. Odwracając się z tacą, stwierdziła, że już ją zauważono. Zgromadziła się przed nią cała, prawie cała szkoła. Po lewej, z kilkorgiem lokatorów Junony, siedziała Gretchen, eksdziewczyna Hayesa, pianistka. Gretchen pożyczyła Hayesowi pięćset dolarów, a rzuciła go, nie mogąc dłużej znosić jego kręctw. W dniu śmierci Hayesa Stevie była świadkiem ich sprzeczki. To od Gretchen dowiedziała się, jak wykorzystywał innych. Płomiennorudej Gretchen nie dało się nie zauważyć.

Dwa stoliki dalej siedzieli Dash i Maris, którzy też pracowali nad wideo Hayesa. Maris była wokalistką. Miała kruczoczarne włosy i zawsze ubierała się jak na występ w zadymionym kabarecie. Dziś włożyła obcisły czarny sweter oraz dzinsy i kozaki za kolano. Mimo wczesnej pory zrobiła pełny makijaż. Jej wiecznie mocno umalowane oczy nie dziwiły tu nikogo. Dash, kierownik planu, nosił luźne ciuchy. To on – nie Hayes – panował nad kręceniem. Spostrzegli Stevie; Maris machnęła do niej ręką. Widząc to, zerwał się z miejsca i ruszył w stronę Stevie Kazim Bazir, szef samorządu uczniowskiego Akademii Ellinghama.

- Stevie! – zawołał. – Nie do wiary! Kiedy wróciłaś? To cudownie!
- Wczoraj wieczorem – odparła, zawstydzona nagle, Stevie.

„Jaki on miły, choć właściwie się nie znamy”. Kaz zawsze był pełen werwy i entuzjazmu. Zaangażowany w ochronę środowiska, jak tylko mógł, zachęcał dyrekcję do wprowadzenia toalet kompostujących. Kaz Bazir nie wyobrażał sobie bez nich życia.

Stevie bacznie przyglądał się ktoś jeszcze – drobna osóbką o wielkich lśniących oczach. Miała na sobie brązowy sweter i co chwilę zerknęła na nią znad tabletu.

Germaine Batt.

Germaine de facto nie zrobiła nic złego. To nie jej wina, że, przeczytawszy raport, rodzice Stevie wywieźli ją do domu. Jednak uraz pozostał.

Davidą w jadalni nie było.

– Jak się czujesz? – spytał Nate, gdy szli do stolika.

– Jak największa piękność na klonowej górze – odpowiedziała Stevie.

Usiedli pod oknem. Janelle zaczęła się rozglądać. Naturalnie w poszukiwaniu Vi. Wszyscy troje zabrali się do jedzenia. Stevie ukroiła kawałek chrupiącego wafla z wiórkami czekoladowymi i zanurzyła go w gorącym syropie.

Do jadalni wpadła jak burza Vi Harper-Tomo. Drzwi aż odskoczyły, gdy otworzyła je z impetem. Dziś włożyła ulubiony obszerny biały kombinezon i górę od szarego dresu. Ufarbowane na srebrno jasne włosy miała – jak zwykle – postawione na sztorc. Wymachiwała rękami jak wariatka.

Witając się ze Stevie, tak jak Janelle wyrzuciła z siebie bezładny potok czułych słów.

– Nieprawdopodobne – zakończyła.

I skierowała wzrok na Janelle. Pocałowały się jak zakochana para z telewizji. Kiedy Nate wolno rozrywał na pół wafla, dziewczęta trwały w namiętym uścisku.

– Słodziczki z nas, co? – szepnęła do Nate’a Janelle.

– Uwielbiam słodycz – odparł Nate.

– Przyda ci się to do wątku miłosnego w książce, prawda? – zapytała Stevie.

– Nie pisuję o miłości. Piszę o znajdowaniu smoków i łamaniu magicznych kamieni.

– Magiczne kamienie to przyjaźnie nawiązywane przez nas w życiu – odparła Stevie. – Racja?

– Tak okazuje radość z naszego szczęścia – spuentowała Janelle.

Nate podniósł na nie mocno podkrążone oczy.

– Właśnie dlatego od ludzi wolę książki.

– Też cię kochamy – odpowiedziała Janelle.

Mimo że miała już jedzenie, stanęła z Vi w kolejce, by dotrzymać jej towarzystwa.

Nate przesunął jajecznicę na środek talerza.

– Co się stało, że rodzice odpuścili? – spytał.

Stevie nerwowo zanurzyła wafla w syropie.

– Sama nie wiem.

– Nagle stwierdzili, że cię odsyłają? Jak to?

– Niby... – Stevie nerwowo potarła policzek. – Gadaliśmy o tym trochę, ale...

Nie dopowiadając, balansowała na granicy prawdy. Od kłamstwa dzielił ją krok.

– Nie mam pojęcia, czym powodują się rodzice – rzekła z myślą: „Skłamałam i cześć. Łatwizna”. – Słyszeliście może, co z Ellie? – spytała, zmieniając temat. – Są jakieś wieści?

Nate, który długo nie odrywał wzroku od twarzy Stevie, skapitulował i znów zajął się jajecznicą.

– Nie – odparł. – To znaczy: szukała jej policja. Kilka dni kręcili się po kampusie. Cicho, dyskretnie, ale chyba nawet z psami... Pewnie wybyła do Burlington, no bo zna tam sporo ludzi.

Stevie łyknęła kawy i wyjrzała przez okno. Siedzieli na wprost szpaleru drzew, który obrzeżał posiadłość z jednej strony. Za dnia drzewa wyglądały pocziwie. Nocą jakby coś się tam kotłowało. Płaski teren szkoły gwałtownie opadał w kierunku drogi graniczącej z rzeką. Inna droga wiodła pod górę, ku poszarpanym skałom, wyższym szczytom i gęstszym lasom.

„Nie tak łatwo stąd uciec. A w dodatku tamtej nocy Ellie chyba nie miała na sobie nic ciepłego...”

– To nie twoja wina – rzekł Nate ni stąd, ni zowąd.

– Słucham?

– To nie twoja wina – powtórzył. – Obojętne, co zrobiła Ellie... Nie przez ciebie prysnęła, pamiętaj.

– Wiem. – Stevie skupiła się na kwadracikach wafli. – A mówią, że przeze mnie?

– Nie – odparł prędko. – Ale... Nie. Nie było tematu. One chyba tam szczytują.

Odwróciwszy się, Stevie ujrzała Vi i Janelle mocno przytulone obok stanowiska z kawą.

– Ostatni tydzień strasznie mi się dłużył. Nie wyjeżdżaj już. Nie zostawiaj mnie tu z tymi ludźmi.

– Którymi? – Stevie nie zrozumiała.

– Z ludźmi w ogóle.

– Nie zaliczasz mnie do ludzkich istot?

– Jasne, że nie – odpowiedział. – Wszyscy gładzą o miłości i tak dalej. Chcę wrócić do odrętwienia i wyobcowania. Ty jesteś świetna w te klocki.

Stevie z uśmiechem sprawdziła czas w komórce.

– Muszę iść – powiedziała. – Mam spotkanie z MówcamiCharlesem.

– Idź więc i ucz się – odparł Nate – albo coś w ten deseń. Widzimy się w domu.

„Tak właśnie: w domu – pomyślała Stevie. – W tym domu jestem mile witana, co w moim życiu nie stanowi normy. W tym domu będę musiała nieźle kłamać, ale do tego już przywykłam w tamtym”.

14 kwietnia 1936, 15.00



– Musimy odczytywać znaki – stwierdził Eddie. – Czas stąd iść. Ciemne gwiazdy wyraźnie nam sprzyjają.

Przykucnąwszy na podłodze sali gimnastycznej, Eddie podskakiwał jak zepsuta sprężynowa zabawka. Francis, która nie dawała wiary astrologii, przymykała oczy na jego zachwyty nad nią. Ale nie dzisiaj. Dziś teorie Eddiego zawiodły.

– Uciekajmy. Wcielmy plan w życie.

– Nie – odrzekła kamiennym tonem Francis. – Nie, nie teraz. Teraz na pewno się nie uda. Wiesz, co to znaczy?

– To znaczy, że ciemna gwiazda...

Edward znów chciał zacząć pleść androny o ciemnej gwiazdzie, srebrnej księżniczce i innych bytach zamieszkujących jego głowę. Jako poeta przebierał często miarę, plątał się w symbolach. Francis to ucięła.

– Bez względu na to, co się dzieje – rzekła – jesteśmy w to wmieszani przez list. Przyjadą gliny, Eddie. Będzie ich tu pełno.

– I co z tego? Wyjmą nas spod prawa!

– Jeśli teraz uciekniemy – odparła Francis – schwytają nas w godzinę. Trzeba odczekać. Zachowywać się spokojnie.

– A gdzie tu frajda? – Edward przywarł do niej, owiewając ją gorącym oddechem.

– Frajda... – Odepchnęła go lekko. – To planowanie ucieczki i ucieczka. Gdy uciekniemy, to na zawsze, pomyśl. Powinniśmy kierować

się rozważa.

W takich chwilach Eddie działał jej na nerwy. Był szalony, miał nieujarzmioną wyobraźnię, wizje. Ale nie brał pod uwagę realiów, nie myślał o agentach federalnych, o psach ani o blokadach dróg. Chciał być bandytą, lecz bez konsekwencji. Francis nie mogła nie trzymać go w ryzach. Wiele przygotowań poczyniła więc na własną rękę. Teraz musiała wracać do Minerwy. Niezbędne rzeczy znajdowały się w jej pokoju.

– I tak nas wyrzucą – odpowiedział Eddie.

– Na dzień, dwa. Może tylko na kilka godzin. Zaufaj mi. Zachowaj zimną krew. Idź do domu.

Przycisnęła wargi do jego warg i wyszła z sali gimnastycznej. Powrót tunelem byłby ryzykowny. „Jeżeli jest tam jeszcze panna Nelson – pomyślała – włącz po drugiej stronie pewnie jest zamknięty”. Postanowiła nie korzystać z podziemnego korytarza.

Wieczór miał atut w postaci sianej mgły. „Jak będą strzelać, tylko to mnie uratuje”. Pochłodziła, mgła wdierała się do nosa i ust Francis, wypełniając jej płuca. „Żeby dobiec do domu spod biblioteki, wystarczy dać parę susów przez skwer. Teoretycznie... Ponieważ drzwi na pewno są strzeżone, nie da się tamtędy przemknąć”.

Francis wybrała długą drogę naokoło, skrajem kampusu, przez plac budowy nieopodal szosy.

Chyląc głowę, szła od drzewa do drzewa. Potykała się o korzenie i gałęzie, a pod nogami trzeszczały jej liście. Wtem spostrzegła snajperów w mundurach i płaszczach, z dubeltówkami przewieszonymi przez ramię. Było ich trzech. Rozmawiali pod altaną. Padła na ziemię, puls jej przyspieszył. „Dziś będą strzelać. Nie zawahają się”. Spróbowała sobie wyobrazić gorący nabój w piersi, siłę uderzenia. Serce łomotało jej boleśnie, pociły się dłonie. „A gdyby zawołać, poprosić o pomoc... Wzięliby mnie do domu, do Minerwy. Wpadłabym w tarapaty, ale nie zostałabym postrzelona”.

Nie zawołała. Przywarła do ziemi niczym kot. W posiadłości koty ubóstwiano. Albert Ellingham mawiał, że są najmądrzejsze. „Przemknę, prześliznę się przez wielki kampus. Mam dość odwagi. Dziś się wykażę” – powtarzała sobie w duchu.

Najtrudniejsze okazało się pokonanie szosy. Teren tam był prawie nieosłonięty. Francis musiała zejść z boczem do lasu i w ciemności przebiec gdzieś na drugą stronę. Zaczęła posuwać się w dół stromej pochyłości. Wtem jej drogi płaszcz zahaczył o jeżyny i upadła. Podwinęła płaszcz i przemierzyła kilka metrów bokiem. Próbując wstać, mogłaby się przewrócić i poobijać o skały i drzewa. Łapała się podłóża, raniąc ręce o kamienie. Cuchnęło ziemią i gnijącymi liśćmi.

– Co to? – spytał jeden z mężczyzn.

Francis zamarła.

Za drzewami coś mignęło.

– Pewnie zwierzę – odparł inny.

Bliska wymiotów, przełknęła ślinę i zamarła. Trwała w bezruchu dobry kwadrans, aż odważyła się poruszyć. Oddaliwszy się znacznie od posągów i mężczyzn, podkradła się na skraj drogi, wzięła głęboki wdech i pobiegła. Droga była bardzo wąska, tak że wystarczyło zrobić kilka kroków. Po drugiej stronie Francis wpadła do przepustu i uderzyła się w głowę. Ale nie krzyknęła. Poczłgała się w ciemność.

Zaczęła się wspinać, co było znacznie trudniejsze. Oddychając z mazołem, myślała o zabawie w gliniarzy i złodziei, o czających się w mroku federalnych z bronią. „Udało się! Francis Josephine Crane, córka sławnego przemysłowca, tapła się w błocie nocą”. Jak szalona ryła paznokciami w ziemi, nie przejmując się, że je połamie. Nie dbała o ubranie ani buty. „To się nazywa życie!”

Wspiąwszy się na szczyt, znalazła się po drugiej stronie drogi. Do Minerwy musiała dojść zakosami. Wolno mijała posągi, domy, drzewa, owinięta mgłą jak futrem.

Dotarłszy do Minerwy, przestała martwić się, jak wejdzie. „Coś się wymyśli. Drzwi pewnie są zamknięte na klucz, ale moje okno nie jest”. Skryła się za budynkiem i wyjrzała zza węgła. Na dworze nie było nikogo. Zakradła się pod dwójkę. Spróbowała unieść okno, lecz nie ustąpiło.

„Pokój Dottie? Dottie też jest cwana. Może podparła okno, trzeba sprawdzić. Mówi, że lubi je mieć uchylone, bo kojarzy się jej z otwartym oknem przy schodach pożarowych w domu”.

Chyłkiem podeszła pod okno trójki. Zajrzała przez nie. Za szybą było ciemno. Małeńka szpara, szerokości palca, wystarczyła. Francis podniosła z ziemi patyk i wolniutko podważyła ramę. Po czym wciągnęła się do środka i zamknęła okno, opuszczając je ostrożnie, cal po calu. Pokój Dottie, identyczny jak jej, wyglądał nad wyraz nędznie. Nie było w nim futrzanych narzut, dodatkowych mebli, nart, kufrów pełnych ubrań, radia ani fonografu. Tylko to, co zapewniała szkoła, i książki. Stosy równo ułożonych książek. Wszędzie.

Francis wyjrzała na korytarz. Widząc, że jest pusty, wyszła z pokoju i...

– Francis Crane!

Zapłonęło górne światło. Na wprost Francis stała poczerwieniała z gniewu panna Nelson.

Francis Crane – córka sławnego przemysłowca, którą miano wyjąć spod prawa – została przyłapana dwa kroki od swych drzwi. Otworzyła usta, nie wiedząc, co powiedzieć. „Zaraz coś się znajdzie – pomyślała. Panna Nelson niby tutaj rządzi, ale jest ugodowa. Więc przeproszę i...”

Dziś panna Nelson nie była ugodowa. Jej łagodne rysy zaostrzyły się, a wyraz twarzy dobitnie świadczył o tym, że o sprawkach Francis wie aż nadto dobrze.

– Tu – rzekła zimno panna Nelson, wskazując świetlicę. Zza jej pleców wyłonił się... mężczyzna w mundurze i kaszkiecie. Z dubeltówką.

Francis zapomniała udąć zaskoczenie, więc panna Nelson nasrożyła się jeszcze bardziej. Zdradziwszy się, Francis posłusznie weszła do świetlicy, w której płonęła jedna tylko lampa. Mężczyzna z dubeltówką stanął pod frontowym oknem, aby wyrzeć na dwór.

– Masz tutaj siedzieć. – Panna Nelson wskazała Francis kanapę. – I się nie ruszać. Prześpisz się tu. – Zwróciła się do mężczyzny: – Nie ma prawa stąd wychodzić.



Wielki Dom niezmiennie wprawiał Stevie w zachwyt. Nic dziwnego – miał robić wrażenie. Był pałacem Alberta Ellinghama, stworzonym przez najświetniejszych architektów i projektantów wnętrz jako imponująca budowla. Palisander przywieziono z Indii. Różowy marmur, austriackie kryształy, szkockie witraże... wszelkie, najdrobniejsze nawet elementy zostały sprowadzone z najdalszych zakątków świata, by cieszyć oko Alberta Ellinghama i jego starannie dobieranych gości.

Tuż za frontowymi drzwiami, za swym obszernym biurkiem siedział ostrzyżony krótko szpakowaty Larry, niezawodny niczym chronometr. Wpatrywał się posepnie w kubek z logo Akademii Ellinghama.

– Hej, Larry – przywitała się Stevie. – Czyżby coś nie tak z kawą?

– Jakiś gamoń kupił kapsułki o smaku dyni. Gdybym chciał sobie zepsuć dzień, zjadłbym świecę.

– Nie przepada pan za dyniową latte?

– Za czym? – nie zrozumiał Larry.

Drzwi niewielkiego pokoju ochrony za jego plecami były uchylone. Pierwotnie mieścił się tam salonik. Kiedy Stevie ostatnio zaglądała do pokoju, stały w nim biurka i kilka monitorów. W ich miejscu zobaczyła dziś wąskie pulpity, a na przeciwległych ścianach ustawione jeden nad drugim duże ekrany, na których mniej więcej co dziesięć sekund pojawiał się obraz innego punktu Akademii.

– Postarali się – powiedziała.

– Oprowadzę cię – rzekł Larry, wstając. – Wejdz.

Stevie ruszyła za nim ostrożnie. „Nie bez powodu pokazuje mi system ochrony”. Zasiadłszy przed pulpitem, Larry wystukał coś na klawiaturze. Gdy na jednym z ekranów pojawiło się nazwisko Stevie, zaczął śledzić jej wędrówkę od końca. Najpierw pokazały się drzwi Wielkiego Domu. Później ona stojąca pod drzwiami. Zbliżająca się do Wielkiego Domu. Patrząca na Wielki Dom. Idąca samotnie ścieżką. Zerkająca spode łba na jedną z kamer. Wychodząca z jadalni. Wreszcie zbliżenie przekraczających próg jadalni jej, Janelle i Nate’a...

– Jak to działa? Rozpoznaje twarze?

– Czasem się myli – odrzekł Larry. – Zwłaszcza nocą. Ale w sumie nieźle się sprawdza. Poza tym wszędzie są czujniki, odczytujące ID z dwóch metrów. Nazywają je stanowiskami nasłuchu. Rozmieszczono ich ponad osiemset.

Nacisnął return, obrazy Stevie zniknęły.

– Rzecz w tym, że człowiek niechętnie zmienia nawyki. Ale gdy zasugerujesz mu, czemu ma...

– Rozumiem – przerwała Stevie. – Widzi pan wszystko.

Larry wskazał palcami swoje oczy i oczy Stevie.

– Wszelkich wyjaśnień udzielają odpowiednie władze. Aczkolwiek wątpię, by było tu coś do wyjaśniania.

– Odpowiednie władze – powtórzyła Stevie. – Jasne.

– Świetnie. Czekają na ciebie na górze. Sama trafisz.

Stevie cofnęła się do holu głównego, po czym ruszyła w górę ogromnymi schodami. Na półpiętrze wisiał portret małżonków Ellingham, pędzla ich przyjaciela, Leonarda Holmesa Naira. Obok obrazu nie dało się przejść obojętnie. Wysoki na około półtora metra, nie porażał w tym gigantycznym miejscu rozmiarami. Zwracał jednak uwagę kolorystyką – żółcią i błękitem skłębionymi na niebie, otaczającymi parę. Sylwetki zostały ledwie zarysowane; najważniejsze

były zlewające się z księżycem i drzewami twarze. Pejzaż i niebo pochłaniały Iris i Alberta, odciągały ich od siebie i od świata.

Obraz był upiorny.

– No tak – Stevie dobiegł głos. – Ale jeszcze mamy. Nie potrzeba nam. Kupimy najwcześniej za dwa lata.

Głos należał do doktor Jenny Quinn, wicedyrektorki szkoły, która wyglądała, jakby piła łyży uczniów i pożerała pomniejszych wykładowców.

– Chcę mieć coś do powiedzenia, Jenny.

Był to doktor Charles Scott. Debatowali bezpośrednio nad nią, na podeście drugiego piętra. Nie rozmawiali głośno, ale akustyka holu była lepsza niż w teatrze, a poza tym Stevie stała tuż pod nimi.

– Nie powinien mieć nic do gadania. Chcesz się włączyć w tę narrację? Chcesz, by się chwalił, że zapewnił Akademii bezpieczeństwo?

„Na sto procent chodzi o Edwarda Kinga”. Stevie cofnęła się o krok, sprawdzając, czy jej nie widzą. Lecz nie umknęła czujnemu oku Larry’ego.

– Nie – odpowiedział doktor Scott. – Podobnie jak ty nie darzę go sympatią. Ale czemu nie mógłby się tym zająć? Niech ma satysfakcję, że się przydał. A potem pewnie sobie pójdzie. Oby.

– Nie da nam spokoju. To pomylenie. Jego synalek notabene nie jest lepszy.

– Tu się nie zgodzę – odparł doktor Scott. – Trzeba zadbać o to, by chłopak wyszedł na ludzi. Wolisz, żeby stał się kopia ojca i utknął w jakiejś prywatnej szkole?

– Nie łudź się. Chcę zebrania zarządu.

– Nie ma sprawy.

– Marsz na górę. – Słowa Larry’ego rozbrzmiały na schodach głośnym echem.

Rozmowa urwała się gwałtownie. Chwilę potem przed Stevie stanął doktor Scott, który zszedł tylnymi schodami, używanymi przez służbę.

Doktor Scott alias MówciemiCharles był dyrektorem szkoły i opiekunem naukowym Stevie. Pełny entuzjazmu i żywiołowy jak chyba nikt z grona pedagogicznego, nawet gdy milczał, zdawał się krzyknąć: „Nauka to frajda!”. Jak przystało na zamożnego geeka, nosił markowe dżinsy i tiszerty z superbohaterami. Jasne włosy miał poprzetykane siwizną. Dziś, w dopasowanym czarnym kaszmirowym swetrze w szpic i szarych wełnianych spodniach, wyglądał jak podstarzały elegancik z Nowej Anglii. Przyskoczył do Stevie jak tygrys z komiksu.

– No proszę! – zawołał. – Kogo my tu mamy! Bardzo się cieszę, że rodzice się rozmyślili.

– Ja też – odpowiedziała Stevie.

– Chodź. Porozmawiajmy.

Gabinet Charlesa mieścił się w prawym korytarzu. Górne kondygnacje Wielkiego Domu, wyjąwszy strych, otwierały się na główny hol. Drzwi – ciemne, drewniane – wyglądały poważnie i dostojnie, a na drzwiach doktora Scotta wisiała tablica korkowa pełna naklejek i plaketek z hasłami w stylu: „Prowokujcie mnie” i „Uwaga, mam w zanadrzu naukę”. Jego gabinet był pierwotnie przebieralnią Iris Ellingham, sławną przebieralnią, w której w noc porwań zniknęła Flora Robinson. Wielu rzeczy w pokoju nie zmieniono. Wyblakła srebrna tapeta błyszczała w świetle jesiennego ranka. Stevie wiedziała, że jest autentycznym, bo wielokrotnie oglądała ją na zdjęciach. Pozostało kilka półek i innych sprzętów. Teraz rzecz jasna było tam też pełno regałów z książkami oraz biurko, krzesła, szafy na dokumenty i drukarka. Ścianę zdobiły dyplomy i certyfikaty. Doktor Scott miał ich bardzo dużo.

Wskazując Stevie krzesło, usiadł za biurkiem i złożył dłonie.

– Jak się miewasz? – zapytał.

– Okej.

Kiwnął głową i ogarnął wzrokiem Stevie, przyswajając jej mowę ciała i wyraz twarzy. Stevie wyprostowała się.

– Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem na wieść, że wracasz – oznajmił. – Wziąwszy pod uwagę, co się wydarzyło, to odważny krok z twojej strony, Stevie.

– Bez przesady – odparła.

Doktor Scott mruknął z zadowoleniem.

– Zauważyłaś pewnie, że mamy nowy system bezpieczeństwa...

– Zauważyłam.

– Chcemy w ten sposób dodać wam otuchy, zagwarantować spokój. Nic złego się nie zdarzy. Tragiczne wypadki, do których doszło w tym semestrze, to już przeszłość.

„I Larry, i Mówciemi Charles poruszyli temat systemu bezpieczeństwa. Obaj mają swoje powody, ale chyba też dają mi do zrozumienia, że wiedzą, kto mnie tutaj przywiózł... Skoro tak, to dlaczego nie mówią tego wprost? Czyżby nikt nie wiedział? Może” – pomyślała Stevie.

Tak czy inaczej, była tym lekko skołowana.

– Czujesz się gotowa wrócić do pracy? – zapytał doktor Scott.

Stevie czuła się gotowa jak nigdy, tym bardziej że udało jej się dokonać przełomu w sprawie liczącej ponad osiemdziesiąt lat. „Ale on chyba ma na myśli naukę. No więc nie: nie jestem gotowa”.

– Zdecydowanie – skłamała.

– Powiadomiłem twoich wykładowców, byś mogła szybko nadrobić zaległości. Gdyby pojawiły się problemy, uporamy się z nimi, bądź spokojna.

Gdzieś tykał zegar, głośno jak bomba. Rozejrzawszy się, by sprawdzić, skąd dochodzi hałas, Stevie zobaczyła na gzymsie kominka ciężki zegar z zielonego marmuru, otoczony książkami i zdjęciami w ramkach.

– Czy ten zegar był tu ostatnio? – zapytała.

– Nie – odrzekł Charles. – Zmieniamy wystrój gabinetu Alberta Ellinghama, więc przeniosłem zegar tutaj. Piękny, prawda? Podobno

należał do Marii Antoniny. Nie wiem, czy to udowodniono. Ale słyszałem, że swego czasu była tu jakaś należąca do niej porcelana...

– Pasterka.

Charles zerknął na nią znad wytwornych okularów.

– Iris kolekcjonowała starą francuską porcelanę – rzekła Stevie.

– Tobie nic nie umknie – odparł. – Tak czy owak uznałem, że ten piękny przedmiot nie może stać w nieuczyszczanym prawie pomieszczeniu. Powinien cieszyć oko. Ale wróćmy do spraw bieżących. Znasz tę książkę?

Z piętrzącego się na biurku stosu książek wyjął egzemplarz monografii doktor Irene Fenton *Nieodgadniony: Zbrodnie w posiadłości Ellinghamów*. Stevie знаła ją na wylot. Wiele osób zainteresowanych tematem sięgało najpierw właśnie po nią.

Stevie przytaknęła.

– Tak myślałem. Zadzwoiła do mnie jej autorka. Doktor Fenton wykłada na uniwersytecie w Burlington. Właśnie uaktualnia monografię i poszukuje asystentki. Wielu naszych uczniów pracowało tam w tym charakterze. Według mnie nadajesz się do takich badań jak nikt inny. Co o tym sądzisz? Byłabyś zainteresowana?

Stevie nie zdołała nie podskoczyć na krześle. Poderwała się jak sprężyna. Los niespodzianie ofiarował jej wspaniały prezent.

– Co miałabym robić? – spytała.

– Porządkować badania, sprawdzać fakty – odpowiedział Charles tak nonszalancko, jakby to nie była najwspanialsza rzecz na świecie. – Mógłbym zaliczyć ci tę pracę na poczet angielskiego i historii oraz indywidualnego projektu. Biorąc zaś pod uwagę twoje dokonania w tej dziedzinie, postarałbym się, abyś nie musiała nadrabiać opuszczonych zajęć.

Stevie już kiwała głową.

– Dziękuję.

– Nigdy nie dziękuj mi za własne osiągnięcia. Przeczując, że się zgodzisz, umówiłem was na jutro. Rano pojedziesz autobusem do Burlington. Doktor Fenton będzie czekała o dwunastej w Chudym Naleśniku. To popularna kawiarnio-naleśnikarnia na nadbrzeżu. Spodoba ci się. Co ty na to?

Stevie była zachwycona.

– A teraz... – Doktor Scott otworzył laptop. – Sprawdźmy, co powinnaś nadrobić. Nie wiem, czy w domu kontynuowałaś pracę i czy czytałaś lektury...

„Hahahahahahahahahahahahahahahahaha”.



Pół godziny później, z nowym harmonogramem i niepokojącym zestawem testów do wypełnienia w rękę, Stevie wyszła na wolność, uszczęśliwiona, ale i pełna obaw, co w jej przypadku aż nadto często zapowiadało napad paniki. Wokół niej było kilka osób, z którymi zawsze mogła porozmawiać. Janelle, Vi, Nate – każde z nich pogadałoby z nią z chęcią.

Ale stwierdziła, że tego nie zrobi. Bo ilekroć coś ją przerastało, mimo że chciała podzielić się tym z kimś, nie potrafiła. W podobnych sytuacjach zazwyczaj unikała ludzi, wołała kryć się w cieniu. Uciekała w podcasty i internet, choć pragnęła też towarzystwa przyjaciół. Teraz więc wybrała się do biblioteki, by szukać osób, które pewnie już nie żyły. A mianowicie Frankie i Edwarda. Stevie liczyła, że bibliotekarka Kyoko Obi udostępni jej materiały zawierające informacje na ich temat.

Budynek biblioteki, zwany Asterią, należał do najokazalszych na kampusie. Albert Ellingham uważał bibliotekę za świątynię wiedzy, zaprojektował więc swoją jako niewielki gotycki kościół z wieżyczką. Już wejście do niej było oszałamiające – po otworzeniu drzwi dzięki niezwyklej architektonice powietrze wpadało do wnętrza z siłą huraganu, wzbijając się i omiatając balkony z ich misternymi jak

skamieniałe koronki zdobieniami z kutego żelaza. Światło sączyło się do środka przez barwne witraże przedstawiające greckich herosów i tytanydy: Heliosa, Selene, Metydę, Eos, Latonę, Pallasa i Perseusza.

Siedząca za olbrzymim biurkiem Kyoko wyglądała jak sędzia na hajju. Sędzia w polarze i z odgnieceniami od kasku na włosach. Kyoko prowadziła też szkolne kółko rowerowe i co dnia wjeżdżała do biblioteki i wyjeżdżała z niej w iście olimpijskim tempie. Za wielkimi stołami siedziało dziś zaledwie kilka osób, a że na uszach miały słuchawki, Stevie mogła porozmawiać z Kyoko, nie przeszkadzając im w pracy.

– Nie tracisz czasu – rzekła na powitanie Kyoko. – Właśnie dostałam wiadomość, że wróciłaś.

Stevie chciała się uśmiechnąć i przytaknąć, ale wzruszyła tylko ramionami.

– Potrzebuję materiałów do badań – odpowiedziała. – Na temat posiadłości, szkoły. Chcę przejrzeć dokumentację pierwszego roku akademickiego. Koniecznie spis uczniów. Mogę o to prosić?

Kiwnąwszy głową, Kyoko łyknęła wody z butelki z logo Akademii. Postawiła na biurku tabliczkę „Zaraz wracam” i poprowadziła Stevie przez ciemne drewniane drzwi ze złotym napisem „Biuro biblioteki”.

Frontowa część biblioteki olśniewała eleganckim wystrojem z żelaza, szkła i rzeźbionego ciemnobrązowego drewna – oraz rzecz jasna fantastycznym zbiorem książek. Wśród bezliku książek, przechowywanych od inauguracji szkoły w 1935 roku, było wiele starannie dobieranych woluminów, oprawionych w skórę niemych świadków tutejszych wydarzeń. Stevie jednak najbardziej frapowało biuro. Mieściły się tam wielkie metalowe półki pełne pudeł z dokumentami.

Takie pudło to dla zafascynowanych zbrodnią rarytas.

Może być w nim wszystko. Archiwalia. Poszlaki. Dowody. Pudło z dokumentami przetrząsa się w poszukiwaniu tropu, zapisanego na kartce zdania, na którego widok człowiek podrywa się na równe nogi i w szaleńczym upojeniu stwierdza, że rozpracował sprawę.

Tak w każdym razie wyglądało to w przypadku Stevie.

– Wczesne archiwa są tam – rzekła Kyoko, wskazując jeden z regałów.
– Zależy ci na...

– Pierwszym roku. 1935–1936.

– Dobrze. – Kyoko skierowała się do pierwszego rzędu półek. – Z uwagi na porwania tamten rok akademicki był niepełny. Pierwszy pełny rok zaczął się jesienią 1938 roku. Sama wiesz.

Stevie przytaknęła.

– Uczniów było mało. Był to rok rozpoznawczy, więc rejestry nie są zbyt obszerne. Kroniki szkolnej nie domknięto wprawdzie, ale wydano poradnik dla pierwszorocznych.

Z jednego z pudeł Kyoko wyjęła niewielką książkę w płóciennnej oprawie, opatrzoną napisem „Akademia Ellinghama”. Jej stronice, grube i pożółkłe, zapisane były czerwonym zbrązowiałym atramentem.

– Są też zdjęcia – mówiąc to, Kyoko podała Stevie płaską skrzynkę, której zawartość, sądząc po ciężarze i grzechocie, była skromna. – Możesz je zabrać do czytelnicy głównej.

Stevie podniosła skarb, wróciła z Kyoko do czytelnicy, usiadła za wielkim stołem i włączyła sobie lampę. Drżącymi dłońmi otworzyła książeczkę. Pierwsza stronica zawierała drobiazgową mapę kampusu, pokazującą budynki ukończone i planowane. Później był list powitalny Alberta Ellinghama, spisy uczniów i wykładowców... Każdemu z uczniów poświęcono jedną trzecią strony. U dołu pierwszej widniał portret Francis. Dziewczyny, która przebierała się za Bonnie Parker. Stevie przeczytała:

Francis Josephine Crane, urodzona 15 lutego 1919 roku w Nowym Jorku.
Zainteresowania: chemia, kino, balet.

– Bingo! – rzekła Stevie półszeptem.

Parę stron dalej znalazła kolejną z osób, których szukała.

Edward Pierce Davenport, urodzony 12 listopada 1918 roku w Bostonie.
Zainteresowania: literatura, opera, sztuka.

Na szkolnym zdjęciu Edward uśmiechał się perfidnie, jakby coś ukrywał.

„Trochę podobny do Davida”.

Stevie przekopła skrzynkę. Wiele zdjęć przedstawiało budynki albo place budowy na terenie posiadłości. Kilka widoki na góry. Inne uczniów w sztywnych pozach za biurkami i stołami. Na jednym – przypominającym do złudzenia reklamę firmy odszkodowawczej – dziewięć czy dziesięć osób wpatrywało się z uśmiechem w otwartą książkę. Niektóre uwiecznione wtedy sprzęty wyglądały identycznie jak dzisiaj. Stevie bez trudu rozpoznała Francis i Edwarda. „Ewidentnie byli przy kasie”. Ze zdjęć wynikało, że Francis miała dwa futra – białe do pasa i dłuższe, ciemne. Edward nosił długi płaszcz futrzany, a pozował niedbale, jak to burżuj, odchylając głowę do tyłu, z półuśmiechem.

„Czy ci dwoje mogli uprowadzić Iris i Alice i Dottie Epstein? – rozmyślała Stevie. – Niewykluczone. Ktoś pewnie spostrzegłby zniknięcie dwojga uczniów w dniu porwania. Ciekawe, jak by się wydostali z kampusu. Samochodu przypuszczalnie nie mieli. Po co porywaliby Iris i Alice? Wątpliwe też, by w środku nocy pobili George’a Marsha, zaprzyjaźnionego z Albertem Ellinghamem agenta FBI, telefonowali z żądaniem okupu, a dwa dni później wysłali po okup łódź na jezioro Champlain. Sami? Nie. Czyżby mieli wspólników?”

Próbowała to wszystko ogarnąć.

Dottie Epstein, która też pojawiała się na zdjęciach, wyglądała biednie. Jej ubrania były skromne i najwidoczniej miała ich mało. Wydawała się jednak szczęśliwsza od Edwarda i Francis. Pozowała promiennie uśmiechnięta, zwykle z książką – w dłoniach lub pod pachą.

– Mogę to zeskanować? – zapytała Stevie.

– Jasne.

Kyoko znów wpuściła ją do biura i wskazała skaner.

– Pierwszy raz, gdy tutaj byłam, pokazywała mi pani dawne rejestry biblioteczne, co wypożyczali uczniowie...

– No i?

– Mogłabym jeszcze na nie spojrzeć?

– Idziesz jak burza – odparła Kyoko z uśmiechem. – Zaraz ci przyniosę.

Przeglądając tę listę poprzednio, Stevie chciała dowiedzieć się, co czytywała Dottie. Sprawdzając teraz kolejne jej wypożyczenia, odkryła, że szmatławce brał ktoś jeszcze. „Dziewczyny Gangsterów”, „Detektyw z Obyczajówki”, „Detektyw za Dziesięć Centów”, „Na Wskroś Prawdziwe Historie Kryminalne” – większość tych dzieł oznaczono inicjałami FC. Francis Crane.

– Macie któreś? – spytała Stevie.

– Szukałam ich – odparła Kyoko. – Bardzo bym chciała je odnaleźć. Ale chyba zniknęły dawno temu. Uczniowie pewnie ich po prostu nie zwracali.

„Ci uczniowie, zdaje się, cięli je na kawałki – pomyślała Stevie. – Gdybym odszukała je gdzieś w sieci, obejrzałabym czcionki i porównała z nimi list Nieodgadnionego. Mógłby zrobić to ktoś z FBI. Na przykład”.

Nie rozwiązała wielu wątpliwości, ale czegoś się dowiedziała. Teraz czekało ją żmudne skanowanie dokumentów. Nałożywszy słuchawki, włączyła *Moją ulubioną zbrodnię* i zaczęła od poradnika dla pierwszorocznych. Strona po stronie, zdjęcie po zdjęciu, kopiowała wszystko bez wyjątku.

Po godzinie wróciła do czytelni głównej i otworzyła laptop. Nadszedł czas na wyszukiwanie podstawowe. W kronikach towarzyskich o Francis Josephine Crane wspomniano tylko kilka razy, odnotowano jej udział w balu debutantek, ale to, co działo się z nią po 1940 roku, pozostawało tajemnicą.

Tymczasem nazwisko Edward Pierce Davenport pojawiało się w wyszukiwarce wielokrotnie. Wikipedia opisała go króciutko:

Edward Pierce Davenport (1918–1940) był amerykańskim poetą. Jego jedyna publikacja to wydany w 1939 roku zbiór wierszy *Mleczny księżyc*. Sławę zawdzięczał głównie znajomościom, nawiązanym pod koniec lat trzydziestych XX wieku z innymi zamieszkałymi we Francji amerykańskimi pisarzami i poetami – oraz hulaszczemu trybowi życia. Popęłił samobójstwo w Paryżu 15 czerwca 1940 roku, dzień po wkroczeniu nazistów do miasta.

Stevie kliknęła umieszczony niżej przypis, który doprowadził ją do fragmenciku książki.

15 czerwca 1940 roku, dzień po wkroczeniu nazistów do Paryża, Edward Pierce Davenport spędził na paleniu opium i piciu fiołkowego szampana. O zachodzie słońca, gdy przez głośniki na ulicach ogłaszano godzinę policyjną, spowity w złoty szlafrok wspiął się na dach domu, w którym zamieszkiwał, przy Rue de Rennes w dzielnicy Saint Germain. Wzniósłszy toast za Paryż i zachodzące słońce, wychylił ostatni kieliszek szampana i skoczył z budynku. Jego ciało uderzyło o dach niemieckiego pojazdu wojskowego, zostawiając w nim wgniecenie. – Poetą był trzeciorzędnym – skomentował znajomy Davenporta. – Ale śmierć miał pierwszej klasy.

– Twoi znajomi to gnoje – powiedziała Stevie.

– Racja – odparł głos. – Ale innych nie mam.

I wtedy podniósł się wrzask.



Stevie wiedziała z doświadczenia, że wiewiórki są czupurne i że zdarza im się łączyć w świetnie skoordynowane bataliony. Te na jej gust zorganizowały się aż za dobrze. Przemykała ich przez bibliotekę chyba setka. Gnały po schodach z kutego żelaza, śmigały po poręczach nieogarnioną, nieprzerwaną falą.

Bardziej jednak niż ocean wiewiórek zbiło ją z tropu to, co ujrzała przed sobą. Rozłożone na stole dobrze jej znane smukłe, subtelne dłonie. Znoszony tiszert, umięśnione żylaste przedramiona. Podnosząc wzrok, zobaczyła wpatrzone w nią cętkowane złotem piwne oczy.

Podniosła nogi, bo wiewiórki pomknęły pod stołami.

– Dziwne – rzekł David, patrząc na to pandemonium. – Kiedy wróciłaś?

Stevie opanowała chęć grzmotnięcia go laptopem głównie dlatego, że nie zamierzała go uszkodzić.

– Coś ty narobił? – syknęła.

– Ja?

– Nie udawaj idioty.

– Stało się. Czekał. Za wcześnie na kłótnie. Może najpierw uścisk?

– Wychodzić! – Kyoko wskazała palcem na Davida. – Wszyscy.

– Takie akcje nie służą nauce – mruknął David pod nosem.

Biorąc rzeczy, Stevie wsunęła do torby parę zdjęć – i pośpieszyła na dwór. Tymczasem Kyoko ganiała po całej bibliotece, zamykała drzwi i sprawdzała każde okno.

Słoneczne światło niemal oślepiło Stevie, gdy wyszła z pogrążonej w mroku biblioteki. David potarł kilkudniowy zarost na podbródku.

David Eastman, a właściwie David Eastman King, miał blisko metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Muskularny, przypominał zwój kabli elektrycznych – i to sypiących z trzaskiem iskrami. Zazwyczaj chodził w obszarpanych rzeczach, lecz nie miało to nic wspólnego z modą. Jego dzinsów nie targali styliści. Dziury i plamy na koszulce z motywem surfingowym też zawdzięczał własnemu niedbalstwu. Na piegowatym nadgarstku nosił porysowanego roleksa i kilka sznurkowych bransoletek. Miał pociągłą twarz o wystających kościach policzkowych. Mimo wiecznie półprzymkniętych powiek, David kipiał energią. „Trzeba uważać na zwierzę, gdy udaje senność”.

Wyglądał pięknie nawet gdy był wykończony. Zwłaszcza wtedy, bo zmęczenie dodawało mu uroku. „Gdyby nie kształt szczęki i uśmiech Edwarda Kinga...” Na samą myśl, kto spłodził i utrzymuje Davida, Stevie czuła obrzydliwy niesmak.

– Coś ty, cholera, narobił? – powtórzyła.

– Miło, że myślisz, że jestem tak wpływowy, ale nie panuję nad lokalną fauną. Booże. Jakie to nerwowe.

„Koleguję się z tobą z przymusu” – pomyślała.

Stevie przemknęło przez głowę, czy by nie zrezygnować. „Długo nie zniosę tej obłudy. Ale... śledztwo. Puszka. Dowód. Spróbuję jakoś. To jedyna szansa”.

Przez skwer spieszyła Pix z pudełkiem w ręku. W biegu rzuciła okiem na Davida, ale nie podeszła do nich ani nawet się nie zatrzymała.

– Wiesz – spytał David – że doktor Nell Pixwell studiowała ochronę przyrody? Ileż ona ma talentów...

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Stevie. – Pix ugania się za wiewiórkami tylko dlatego, że tak ci się podoba?

– Potrzebuję pomocy – odpowiedział chłopak. – Musimy się sprężyć. Mamy godzinę.

– Na co?

– Pokój Ellie. Chcę, żebyś go przeszukała.

Stevie przetarła twarz z niedowierzaniem.

– Znasz się na tym – odparł David. – Prawda?

Mimo że chciała, nie mogła odwarknąć, że nie. Niestety kiedyś przeszukiwała jego pokój, kiedy wyszedł; chciała sprawdzić, co przed nią ukrywa. Ukrywał sporo, więc nie czuła się winna. Przeszukała też pokój Hayesa po jego śmierci, bo coś jej nie grało. Podejrzenia sprawdziły się, a Hayes już nie żył, w gruncie rzeczy więc nie zrobiła nic złego.

– Nie kpię – dodał David, widząc oburzenie Stevie. Mówił serio: jego mina i postawa się zmieniły. – Czy według ciebie Ellie lubi przebywać na powietrzu?

– Na powietrzu?

– Jest jedyną znaną mi palaczką, która nie wie, jak zapalić zapalną. Widziałem, jak się z tym męczy. Niewiarygodne. Używa zapalniczek, bo zapalniczki są zbyt skomplikowane. Zeszłej zimy zauważyłem, że panicznie boi się śniegu. Nie ma butów górskich. Ma zerowy instynkt samozachowawczy. Nie umie prowadzić. Jest stworzona do życia w mieście i uprawiania sztuki. Wiesz, jak trzeba się natrudzić, żeby zejść z tej góry w pojedynkę? Odpowiedź brzmi: bardzo. Próbowałem.

– Ciekawe, bo wiecznie wybywała do Burlington – odparła Stevie.

– Ze mną. A jej znajomi tam mają samochody. Popsułem kamerkę przy bramie głównej, żeby mogli wjeżdżać na kampus. Ellie jest bardzo zdolna, ale nieporadna. Wątpię, żeby zwała stąd tak sobie, bez niczego, nawet bez komórki. Żeby na tyłach nikt na nią nie czekał... i żeby samodzielnie przepłynęła się przez rzekę. Przez most nie przeszła, bo ledwie zniknęła, Larry wysłał kogoś na drogę. Rzeka ma ponad trzy i pół metra głębokości, jest rwąca i lodowata. Dziewczyna biegnie kawał drogi sama, po ciemku przez las, w dół, przez górską rzekę do obserwowanej drogi...

– Okej – odrzekła Stevie. – Co sugerujesz?

– Sugeruję, że coś tu się nie zgadza. Dlatego chciałbym, abyś przeszukała rzeczy Ellie, zanim znikną, bo nikt nie zrobi tego lepiej od ciebie. Przyjaźnię się z nią. Nie wiem, gdzie jest. Liczę, że wykryjesz, gdzie się podziewa i czy żyje.

„Podpuszcza mnie? Bo trochę tak to wygląda – pomyślała Stevie. – Ale się nie płacze, więc chyba jednak nie kłamie”.

David i Ellie przyjaźnili się od dawna. Kiedy Stevie przyjechała do Akademii po raz pierwszy, zauważyła, że są sobie bliscy. Czuli się tak, jakby byli parą. Ale nie. Byli po prostu przyjaciółmi.

David był nie w ciemną bity. Czuł, że gdy zasieje w Stevie ziarno wątpliwości, niemal natychmiast zacznie ono kiełkować. Wschodząc, oplącze jej myśli tak gęsto i ciasno, że w głowie zostanie tylko pragnienie poszukiwań.

„Puszkę znalazłam właśnie u Ellie...”

– Przecież cię tam ciągnie – przekonywał David. – Janelle pracuje w szopie nad projektem, a Nate na pewno nic nie zauważy.

„Gadam z nim zaledwie od dziesięciu minut, a w bibliotece już się roi od wiewiórek. Jakby tego było mało, zachęca mnie do włamania. Super”.

Stevie utwierdziła się w przekonaniu, że jest u siebie.



W Minerwie było ciszej niż zwykle, gdy David i Stevie wchodzili do świetlicy. Widział ich tylko łoś na ścianie. „Ciekawe, czy w nim też zamontowane są kamery. Jeśli tak, to pewnie w oczach... Czy Edward King chce również sprawdzać, kiedy jego synuś wraca do akademika?”

Stevie uznała tę myśl za niemądrą. Denerwowała się. Pociły się jej dłonie. David był tuż za nią, więc niemal namacalnie czuła na plecach jego cień.

– Janelle? – zawołała.

Cisza.

– Nate, jesteś tu?

Łoś wpatrywał się niemo w przestrzeń.

– A nie mówiłem? – rzekł David. – Cały dom nasz. Milutki i przytulny.
„W całym domu tylko my dwoje. Sami”.

– Drzwi są zamknięte?...

David wyjął z kieszeni klucz.

– Skąd go wytrzasnąłeś?

– Nie zajmuj się tym – odpowiedział David.

Mimo jaskrawego blasku południa na korytarzu Minerwy panowała ciemność. Jedyne źródło światła stanowił witrażyk przy schodach. Kinkietu za dnia nie włączano. Stevie cicho minęła pokój Janelle i swój, kierując się na koniec korytarza, do trójki.

Pokój Ellie niewiele różnił się od ich pokoi. Odrobinę większy, miał niedużą wnękę. Po Ellie zostały zaledwie trzy niewielkie pudła. Kiedy Stevie była tu ostatnio, na łóżku piętrzyła się sterta barwnych koców i narzut. Na podłodze walały się przybory plastyczne, farby, pastele i ołówki, boa, brudne zdumiewające części garderoby, książki, grafiki i szkice oraz stopniałe świece i przybrane pawimi piórami butelki po winie. Wszystko to zniknęło. Ogołoczone łóżko – drewniana rama z owiniętym w folię materacem – wyglądało jak wstawione wczoraj. Ściany nadal – jak wiekowe graffiti – ozdabiały wiersze i rysunki Ellie. Cytaty, teksty piosenek, poetyckie frazy po angielsku i francusku, plamy koloru, sprośne i dowcipne obrazki, ciapki... Twórcza, pełna temperamentu Ellie wносиła do świata radość.

Jak przystało na detektywa, Stevie najpierw objęła spojrzeniem całą przestrzeń, a potem zaczęła wgłębiać się w szczegóły. Obeszła pokój, patrząc na zapiski i rysunki, zaglądnąc do szuflad, żeby sprawdzić, czy coś w nich nie zostało. Toaletkę, jak i stolik nocny, wciąż pokrywała gruba warstwa sypkiego pudru i wosku do depilacji.

Stevie otworzyła szafę. Nie znalazła w niej nic oprócz pogniecionej reklamówki. Widząc, że sam pokój nie skrywa niczego, podeszła do pudeł i przejrzała je z uwagą. Stojące najwyżej zawierało ubrania – w stylu określanym przez Davida krzyżówką lumpeksu i paryskiego punku. Zwinięte w kłębki tiszerty, powłóczyste pstrokate spodnie indyjskie, rzeczy umykające wszelkim definicjom. Następne pudło zawierało używaną pościel zdjętą z łóżka, a najniższe – przybory toaletowe i ręczniki. Obejrzawszy kupione w markecie szampony i żele pod prysznic oraz francuskie olejki do ciała, Stevie powkładała wszystko z powrotem do pudeł.

– Masz coś? – spytał David spod okna. – Jak tam szare komóreczki?

Machnęła ręką, by jej nie przeszkadzał.

„Kiedyś w pokoju mieściło się całe tutejsze życie Ellie. Przechowywała w nim tę nadzwyczajną puszkę. Trzeba się bardziej przyłożyć. Co to miejsce mówi mi o Ellie Walker?”

Stevie położyła się plackiem na podłodze i oparła brodę na złączonych dłoniach. W rowkach w parkiecie wciąż połyskiwał brokat, a ze szpar sterczały strzępy piór. Tu, na dole, czuła woń kadzidła, które Ellie paliła bez przerwy mimo obowiązujących w szkole zasad.

– Ellie: nie palimy – powiedziała Stevie głośno.

– Co? – zapytał David.

– Pierwsza rzecz, której dowiedziałam się o Ellie w pierwszym dniu, zanim przyszedłeś. Spóźniłeś się, kiedy mieliśmy pogawędkę zapoznawczą... – Stevie przeliczyła koty z kurzu. – Pix upomniała ją, że w szkole się nie pali. Czyżby Ellie wywołała pożar?

– Mhm. W zeszłym roku. Przewróciła świecę.

– Tutaj?

– Tak.

– A nie potrafi zapalić zapalki – rzekła Stevie do siebie. Podniosła się na kolana. „Gdzie szukać Ellie, palaczki, która boi się zapalek? Albert Ellingham też szukał ludzi – zaginionej córki szukał bez końca. Dotąd

wszystko kręciło się wokół Iris. No i proszę: na górze mamy kolejną zaginioną córkę”.

Stevie zobaczyła opartą o pudło pod drzwiami Rootę, ukochany saksofon Ellie. Ellie nie umiała grać na saksofonie, ale nigdy jej to nie powstrzymywało. Kupiła Rootę za pięćset dolarów, które Hayes zapłacił jej za scenariusz *Kresu* – a które „pożyczył” od swojej eksdziewczyny, Gretchen. Gdy Stevie poznała Ellie, ta grała na Roccie, leżąc w wannie łazienki na końcu korytarza, farbując ubranie i siebie na różowo. Później Stevie odkryła pod wanną kilka metalowych zadr, które zarysowały pokrywę laptopa Hayesa, kiedy pospiesznie chowała go tam Ellie.

Taką to rolę odegrała dotąd w sprawie Roota.

Podnosząc ją teraz, Stevie spostrzegła wypalony ślad u dołu ściany. Widoczny, choć ktoś zmywał go, a nawet zamalował. Nie tylko to jednak zwróciło jej uwagę. „Coś tu nie pasuje” – stwierdziła, przejęta.

– Nie sądzisz, że coś nie gra z tymi zapalkami? – Pochyliła się, by obejrzeć ścianę.

– No przecież ci mówiłem.

– Nie – odparła. – Mówiłeś, czemu twoim zdaniem nie poradziłaby sobie w lesie w pojedynkę. Nie uważasz, że to dziwne? Ellie jest artystką. Ma zdolności manualne, jest zręczna.

W miejscu, które zaintrygowało Stevie, było wgniecenie, jakby coś tam spadło. Co ciekawsze jednak, ściana wydawała się... nierówna?! Powiodłszy po niej dłonią aż do listwy podłogowej, Stevie wymacała szczelinę. Drobną, maleńką, na kilka milimetrów.

– Podaj mi torbę – poprosiła Davida.

Gdy pchnął torbę w jej kierunku, przysunęła ją sobie i przetrząsnęła. Znalazłszy długopis, zdjęła zatyczkę i podważyła nim listwę. David podszedł do Stevie i przykucnął.

– Włącz latarkę – nakazała.

– Co to jest?

– Jeszcze nie wiem – rzuciła niecierpliwie. – Latarka!

Zanim włączył funkcję latarki w telefonie, Stevie obluzowała listwę. Niemal bez trudu, bo ewidentnie już ją podważano. Pod listwą krył się otwór w ścianie. Mniej więcej rozmiaru zaciśniętej pięści.

Bez cienia kpiny David bezgłośnie podał jej latarkę, ale nie wzięła jej od razu. Wpierw wyjęła z przedniej kieszeni torby niebieskie nitrylowe rękawice.

– Nie do wiary – rzekł David, kiedy je wkładała. – Nosisz rękawiczki detektywistyczne?

– Są w każdej drogerii – odparła. – Mógłbyś sobie zafundować.

Rozpłaszczyła się na podłodze, obracając głowę na bok, żeby zajrzeć do otworu – płytkiego, ciemnego, częściowo zarośniętego pajęczyną. Nakierowała nań światło i, ostrożnie, wolno, na wypadek gdyby było tam coś ostrego albo druty, sięgnęła do środka. Gmerając palcami, natrafiła na kraniec otworu. Duży jak jej dłoń, puszkę chyba by jednak nie pomieścił.

Stevie uniosła i rozprostowała szyję, po czym spróbowała sięgnąć ręką wyżej.

Natrafiła na pustkę, jakby wyżłobienie w ścianie. „Tu spokojnie można by schować puszkę”.

– A więc jest dziura? – David przerwał ciszę. – Nieźle, nieźle. Nigdy nie wątpiłem w twoje...

– Zamknij się na moment.

Wyciągnęła rękę, by porządnie obmacać wnętrze skrytki.

– Może Janelle miałyby kamerkę laparoskopową – powiedziała. – Albo...

Dotknęła czegoś. Z materiału.

– Mam coś – rzekła. Wepchnęła rękę najdalej jak się dało, usiłując wczepić się palcami w tajemniczy przedmiot. „Czy to ten materiał wysytyt paciorekami, czy pęk piór... zdjęć? A może worek...”

Szarpnęła. Przedmiot wylądował na dnie dziury. Chwyła go mocno i starała się wydobyć. Mózg dał jej sygnał, że z przedmiotem coś jest nie w porządku, postanowiła nie rezygnować jednak, skoro już zaczęła.

Wreszcie wyciągnęła... dużą mysz albo niewielkiego szczura. Martwe zwierzę widać tkwiło w ścianie od dawna; zmumifikowało się tam, a jego sierść miejscami stłwała aż do kości.

– Fuj! – Odsunęła rękę z obrzydzeniem. Słowo było słabe, lecz lepszego nie znalazła. Słowa zawodzą, gdy dotknie się zmumifikowanej szczuromyszy.

– To nie Ellie – orzekł, krzywiąc się, David.

Stevie podniosła się i odsunęła od trupka. Ściągnęła rękawice i wepchnęła je do kieszeni bluzy.

– Nie wyrzucisz ich? – spytał David.

– Przecież nie tutaj!

– Sądzisz, że grzebią w jej śmieciach?

– Skąd mam wiedzieć? Ty mnie tu ściągnąłeś.

– Okej. – David uniósł ręce w pojednawczym geście. – I co o tym myślisz?

Stevie znów przebiegła wzrokiem po pokoju.

– Jak wtedy była ubrana? – zapytała.

– Miała baletki – odparł. – Pamiętam, jak im się przyglądałem.

– I sukienkę. Baletki i sukienkę.

„Fakt: w takim stroju trudno schodzić z góry”.

Pokój mówił o Ellie, że była wolnym duchem, artystką, bałaganiarą, że ubierała się niepraktycznie, znała francuski, lubiła kabaret i wino. Miała mnóstwo kolorowych długopisów i szkicowników. Za medium służyło jej wszystko. Była wyrazista, pełna sprzeczności, żywiołowa.

David zerkał niecierpliwie na Stevie, czekając, aż mu coś objawi, lecz na próżno. Odkryła tylko martwego gryzonia. Którego teraz musiała jakoś się pozbyć.

– Niech się zastanowię – rzekła. – Yyy...

Zabrzęczała komórka Davida. Spojrzał na nią.

– Wygląda na to, że mam spotkanie w Wielkim Domu. Ktoś podejrzewa, że wpuściłem do biblioteki wiewiórki. – Wsunął komórkę do kieszeni. – Dzięki, że się rozejrzałaś. Pewnie się myliłem. – Wzruszył ramionami. – Lepiej już pójde.

Kiedy wyszedł, Stevie zaczęła kwękać w duchu. Bo musiała zgarnąć na coś zwłoki szczura, a potem wynieść je do lasu – ale nie był to jedyny powód.



Detektywi korzystają z rozmaitych ścieżek, z różnych metod – czasem specjalistycznych, czasem trudno uchwytnych. Odciski palców. Zaginiony dawno wątek. Szczekanie psa w środku nocy.

Ale mają też do dyspozycji Google.

Wyrzuciwszy szczura, Stevie wróciła do siebie i zaczęła szukać interesujących ją nazwisk.

Francis Josephine Crane żyła długo przed zaistnieniem mediów społecznościowych. Śledzenie ludzi na bieżąco było wtedy niemożliwe, niemniej żyła w czasach, gdy dało się namierzyć pewne zdarzenia z życiorysu znanych młodych kobiet. To, że Francis była znaną dziewczyną, Stevie odkryła tuż po otwarciu laptopa.

Francis Crane była córką Louisa Crane'a, założyciela i właściciela firmy pod nazwą Mąka Crane'a, jednej z najbardziej znanych w latach 1910–1945 amerykańskich marek. Wielu kolekcjonowało puszki po mące Crane'a. Za najważniejsze spośród znalezionych w internecie informacji o firmie uznała Stevie wzmianki o wybuchu w jednej z fabryk, w wyniku którego zginęło osiem osób, a trzydzieści zostało rannych.

Crane'a potępiono za zaniedbanie zasad bezpieczeństwa, firma zniknęła z rynku dwadzieścia lat później, nabyta przez większą, która wcieliła ją w kolejną itd.

Francis kryła się w gęstwinie informacji. Stevie zauważyła ją na liście uczestników balu zorganizowanego w Nowym Jorku 19 września 1936

roku. Jej nazwisko pojawiło się też w spisie studentów pierwszego roku Vassar College w 1937. Nie widniało jednak w żadnym rejestrze absolwentów.

Na koniec Stevie przewertowała książkę *Smaczniej niż w domu! Dzieje piekarstwa w Stanach Zjednoczonych* z 1992 roku, dostępną w formie fatalnych, wybranych przypadkowo skanów. Była tam najdłuższa z dotyczących Francis wzmianek, które udało jej się znaleźć w sieci:

Córka Louisa, Francis, dała się poznać jako istny upiór. Zrozpaczeni rodzice wysłali ją do otwartej właśnie przez ich przyjaciela Alberta Ellinghama Akademii, położonej wśród wzgórz Vermontu. Z pobytom Francis w szkole zbiegło się niestety osławione porwanie, wróciła więc do domu. Crane'owie ewidentnie przyciągali kłopoty.

– Co to znaczy „istny upiór”? – pomyślała głośno Stevie. – Że niby wyła i straszyla? A gdzie konkretnie?!

Zirykowało ją też nieprecyzyjne sformułowanie „wśród wzgórz” zamiast „w górach” Vermontu. „Jak można tak pleść? I nagle mam uwierzyć, że rodzina Crane'ów przyciągała kłopoty?” Mimo wszystko akapit zaciekał Stevie. Zwłaszcza że poza nim znalazła niewiele.

Odszukawszy nazwisko autorki, Ann Abbott, sprawdziła tytuły innych jej publikacji (*Jell-O! Ulubiona galaretka Amerykanów, Epoka sałatek. Jak sałatka pobiła świat*). Po chwili klikania dogrzebała się adresu mailowego Abbott – i napisała do niej z pytaniem, czy wie, co się stało z Francis. Ledwie wysłała maila, rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju zajrzała Janelle.

– Co porabiasz? – spytała.

Zerknąwszy na prawy dolny róg monitora, Stevie uzmysłowiła sobie, że szuka Francis od ponad trzech godzin. Dochodziło pół do siódmej.

– Pracuję – odparła, zamykając laptop. – Mam mnóstwo do nadrobienia.

Janelle weszła do pokoju, a wraz z nią delikatny cytrynowy zapach.

– Twoja cytrynka – rzekła Stevie. – To na szczęście?

– Po prostu cieszę się, że wróciłaś – odpowiedziała Janelle, siadając na krawędzi łóżka. – Używam tej wody, gdy się cieszę, i na szczęście. Ubóstwiam cytryny. Zrobiłam coś dla ciebie. Proszę.

Wręczyła Stevie plastikowy przedmiot nie większy od talii kart, z dwoma kólkami.

– To samorównoważący się robot – wyjaśniła. – Można przytwierdzić do niego komórkę. Przy pracy nad inercyjnymi urządzeniami pomiarowymi bawiłam się częściami zamiennymi, a że chciałam coś ci podarować...

Wesoło wzruszyła ramionami, kiedy Stevie przyjęła robota.

– Jak ci idzie projekt? – zapytała Stevie.

– Miło, że pytasz. Chcesz zobaczyć specyfikację?

Janelle poderwała się z łóżka i wybiegła z pokoju. Po chwili wróciła z otwartym laptopem. Pokazała Stevie kilka wideofilmów z jeżdżącymi i przenoszącymi przedmioty maszynami. Była przejęta jak Stevie opowiadająca o morderstwach – tyle że mówiła o rurach i silnikach oraz urządzeniach, które obracały się i poruszały. Wszystko to przetykała drobiazgową analizą ulubionego koreańskiego serialu, *Lekcje miłości a tofu*. Ruchliwy, ale świetnie zorganizowany umysł Janelle działał bezbłędnie jak jej dziwne maszyny. Fabułom seriali towarzyszyły wzory matematyczne, od których przeszła płynnie do rad na temat makijażu oczu, po czym zaś się zwierzała, by ni stąd, ni zowąd powrócić do fizyki. Jednocześnie odpowiadała na esemesy. Wszystkie i niemal bez namysłu.

Na kryminologii jednak się nie znała, więc odkrycie Stevie związane z córką producenta mąki nie zaciekawiloby jej pewnie. Zwłaszcza że wiele nie wniosło.

Zabuczała komórka. Janelle odczytała kolejnego esemesa.

– Szykuje się impreza w jurcie – rzekła. – Vi jest w drodze.

– Chyba dobrze wam ze sobą.

Janelle zapiszczała z radości.

– Próbuję uczyć się koreańskiego – oznajmiła – chociaż języki to nie moja bajka. Vi mówi płynnie po koreańsku i japońsku, więc za jej radą zabrałam się do koreańskiego. Wybierzesz się? Weźmy Nate'a i chodźmy.



Przed przyjazdem do Akademii Stevie nie chodziła na imprezy, a o takich w jurtach nawet nie słyszała. Gdy pierwszy raz zobaczyła ten olbrzymi namiot, pomyślała, że wygląda jak cyrkowy. Wewnątrz było pełno kolorowych chodników, pufów, poduszek i futonów. Uczniowie spotykali się tam towarzysko, urządzali przyjęcia, grali w gry, czytali, pracowali. Dziwna budowla nie miała okien, strop wsparto na belkach ułożonych promieniście, a ściany podtrzymywały kratownice. Pośrodku stał żelazny piecyk na drewno, nadający całemu pomieszczeniu przytulny, rustykalny wygląd, a na ścianach wisiały lampki i kolorowe ozdoby.

Janelle i Vi usiadły na podłodze, oparte o siebie plecami. Nate siedział obok, zajęty grą na tablecie. Cała szkoła plotkowała o wiewiórkach. Wszyscy wiedzieli, że to sprawka Davida, który wciąż nie wracał z wyprawy do Wielkiego Domu. Gdyby w szkole w Pittsburghu ktoś wpuścił do biblioteki pięćdziesiąt wiewiórek, obwołano by go bohaterem. Ale w Akademii wprost roilo się od miłośników książek, uznano więc, że David posunął się trochę za daleko. Tutaj spokojnie można było chodzić nago, wrzeszczeć, a nawet uganiać się po dachach, lecz zakłócanie spokoju w miejscu pełnym książek wzbudziło w uczniach spory niesmak.

– Wykopią go jak nic – mruknął Nate do Stevie, Vi i Janelle.

– Jeżeli mu to udowodnią – odparła Vi. – A pewnie mają to nagrane. Rejestrują wszystko, no bo teraz przecież żyjemy w państwie policyjnym.

Janelle wzniosła oczy do nieba. Prawie niedostrzegalnie.

– Serio – rzekła Vi. – Już zapomniałaś o kamerach? Sprezentował je nam ktoś spoza szkoły. Dyrekcja była niezadowolona.

– Niby kto je kupił? – zapytała Janelle.

– Nie mam pojęcia. Skądinąd ciekawe, że to ukrywają. Wiem, że uważasz mnie za święniętą burzycielkę, ale to prawda.

Stevie zagryzła wargi. „Wygląda na to, że nikt nie wie o tutejszych koneksjach Edwarda Kinga. Czyli pewnie nikt nie przyjrzał się helikopterowi...” Poczula się tak, jakby wysiadywała tajemnicę. „Jeśli się ruszę, rozbiję ją jak jajko. Trzeba się pilnować” – pomyślała z niepokojem.

– Być może – odparła Janelle. – Rozumiem problem, ale kamery mi nie przeszkadzają. Wokół szkoły... kręcą się zwierzęta. Niedźwiedzie i łosie...

– Łosi tu nie ma – przerwała Stevie. – Łosie to blaga.

– Chcę tylko powiedzieć, że, biorąc pod uwagę, co się stało, pomysł z kamerami nie jest tak do końca poroniony.

– A ja – rzekła Vi, by sprowadzić ich na ziemię – mówię tylko, że na pewno widzieli Davida.

Chwilę później podszedł do nich ktoś nowy. Wysoki. Właściwie najwyższy z uczniów Akademii i chyba najwyższy ze znanych dotąd Stevie chłopców. Stevie ćwiczyła określanie wzrostu, uważając tę umiejętność za niezbędną. Świadcowie z reguły określają wzrost mylnie. Chcąc w przybliżeniu określić wzrost człowieka, najlepiej zestawić go z czymś nieruchomym. Nieznajomy zaś ustawił się akurat pod dużym sękiem w kratownicy wspierającej ścianę. Jak wynikało z wcześniejszych obserwacji Stevie, mierzył metr dziewięćdziesiąt trzy, a może nawet dziewięćdziesiąt cztery. Był zbudowany mocno jak futbolista, a raczej zgodnie z jej wyobrażeniami o futbolistach. (W poprzedniej szkole Stevie było pewnie wielu futbolistów, ale dla niej nie istnieli. Nie obchodzili jej, więc po prostu ich nie dostrzegała. Nie

znosiła futbolu, a ściślej: nadawanych w trakcie meczów reklam z bzdurnymi sloganami i natrętnym przekazem, w myśl którego Amerykanin powinien jeździć po skałach, a wejście na stadion lub do sklepu traktować jako manifestację męskości. „Chyba że coś sobie nadinterpretuję”).

Ten osobnik przypuszczalnie nie grał w piłkę. Był przeraźliwie blady – nie właściwą Nate’owi subtelną bladością mola książkowego. Z jego karnacją, białą niczym papier, kontrastowały kruczoczarne, najwyraźniej farbowane włosy. Miał fioletowe „kocie” szkła kontaktowe, tiszert Slipknot i kolczaste pieszczochy z czarnej skóry.

– Cześć – cicho przywitał się ze Stevie. – Jestem Mudge. Chyba się nie znamy, a Pix prosiła, bym pomógł ci nadrobić anatomię. Chcesz pringle’a?

Jego głos brzmiał łagodnie jak głos lektora z aplikacji do medytowania, których słuchała, kiedy dopadał ją lęk.

– Dzięki, nie – odparła.

Nate spojrzał na Mudge’a znad tabletu takim wzrokiem, jakby znali się ze wspólnej podróży.

– Mhm, chcę pringle’a – powiedział.

Mudge podał mu puszkę i dołączył do nich. Ku zdumieniu Stevie on i Nate momentalnie nawiązali pogawędkę o jakiejś grze planszowej. Stevie poczuła się zagubiona i samotna. Nagle ktoś omiótł ją wzrokiem. Z drugiego końca jurty przyglądała jej się bacznie Germaine Batt.

– Zaraz wracam – rzekła Stevie, wstając.

Germaine Batt była drobna, miała pewnie niecałe metr pięćdziesiąt wzrostu. Długie proste włosy upięła dziś w kok. Podobnie jak Stevie, ubrała się jak do wymarzonej pracy – w czarny blezer i śnieżnobiały tiszert, jakby miano ją za chwilę wezwać do prowadzenia telewizyjnych wiadomości. Siedziała samotnie na pufie nie w kącie, bo, jak wiadomo, jurty nie miewają kątów, tylko we wnęce z kilkoma monitorami i

stolikiem do kawy. Pochylała się nad laptopem. Gdy Stevie podeszła, udawała, że coś pisze – niepotrzebnie, bo już się zauważyły.

– Witaj z powrotem – powiedziała Germaine. Głos miała piskliwy, a mówiła błyskawicznie, tak jak przebiegała palcami po klawiaturze.

– Dzięki.

Stevie postarała się, aby zabrzmiało to neutralnie. Nie winiła Germaine za to, że rodzice wywieźli ją ze szkoły po przeczytaniu jej artykułu. Publikując go, Germaine nie chciała przecież jej zaszkodzić. Mimo to jednak Stevie kojarzyła Germaine z faktem wyrwania jej z gór i odesłania na ziemię.

– Coś nie tak? – spytała Germaine.

– Nie.

– Mam wrażenie, że coś jest nie tak. A przy okazji: wciąż wiesz mi przysługę...

Stevie całkiem wypadło to z pamięci. Na niemej imprezie, usiłując dociec, kto zwędził laptop Hayesa, poprosiła Germaine o pokazanie kilku zdjęć w komórce. Obiecała się zrewanżować, ale nie przyszło jej do głowy, że Germaine się upomni.

– Rozgryzaś sprawę dzięki mojej fotce – przypomniała Germaine.

– Jasne. No więc co chcesz w zamian?

– Na razie nic – odparła Germaine. – Dowiesz się w swoim czasie.

Odruchowo zaciskając zęby, Stevie spróbowała rozluźnić mięśnie szczęki, lecz na próżno.

– Jak sądzisz – zapytała Germaine, przymykając laptop – co się stało?

– Z...?

– Ellie – odpowiedziała Germaine, jakby to było oczywiste.

– Sądzę, że wydostała się jakimś przejściem.

– Dobrze... – Germaine wzniosła oczy ku niebu. – Ale dokąd poszła?

Stevie nie lubiła, gdy traktowano ją jak idiotkę, ale mając na względzie ostatnią rozmowę z Davidem, postanowiła ukorzyć się przed

Germaine, by odgadnąć, czemu ona też ją o to pyta.

– Burlington? – odparła tonem niewiniątka.

– Niby jak się tam dostała? Pieszko przecież nie dałaby rady. A nie dzwoniła do nikogo... Sprawdzili jej biling.

– Mogła zadzwonić z innego telefonu.

– Czyjego? – spytała, marszcząc brwi, Germaine.

– Na przykład przyjaciela.

Jakby na sygnał do jurty wszedł David. „Właściwym sobie butnym krokiem, przywodzącym na myśl koszmary sposób bycia ojca... Wtarabania się jak bandyta do kasyna, żeby zrobić w nim demolkę, albo showman, który zaraz fiknie kozła” – pomyślała Stevie.

„A może jego chód jest zwyczajny, tylko ja znów konfabuluję...”

David przebrał się w dzinsy i obcisły czarny sweter, podkreślający kolor jego włosów oraz mięśnie klatki piersiowej i ramion. Uśmiechnął się do Germaine i Stevie, i podszedł do Janelle i Vi. Mudge i Nate oddalili się do półek, by obejrzyć gry planszowe.

– Telefonu przyjaciela? – powtórzyła Germaine.

– Tak – odrzekła Stevie, wstając. – Chociaż wątpię.

– Może warto byłoby to sprawdzić? – zawołała Germaine i dołączyła do współlokatorów.

Oparty o futon, David opowiadał coś Vi i Janelle. Janelle pochylała się nad nim znudzona, ale cierpliwa. Vi słuchała go z założonymi rękami. Nie wyglądały na zaciekawione.

– Dostałem szlaban – oznajmił – na wyjazdy do Burlington.

– Nie żartuj – odpowiedziała Janelle.

– Właśnie – odparł. – Nie wierzę, że są do tego zdolni.

– Nie, nie. To ma być kara?

– Bez przesady. Nic nie zrobiłem.

– Zrobiłeś – sprostowała Vi. – Wszyscy wiedzą, że zrobiłeś.

– Czyli jestem zaklinaczem wiewiórek?

– To, co robisz, jest nefajne – rzekła Vi. – Budzisz ludzi, niszczysz rzeczy, które lubimy, z których korzystamy. Wszyscy mamy problemy. Ogarnij się, stary.

– A myślałem, że nauka to frajda. Czemu tylko ja się dobrze bawię? Ciekawe.

Vi pokręciła głową i wzięła Janelle za rękę. Obie wstały.

– Do zobaczenia w domu. – Słowa Janelle były skierowane tylko do Stevie.

– Czasem mam wrażenie, że jestem nielubiany – westchnął David, odprowadzając je wzrokiem.

– Dobrze wiesz, dlaczego – odrzekła Stevie.

– Odpowiedzialność – odparł z łobuzerskim błyskiem w oku. – Kto lubi do niej wracać?

– Wielu. Tylko dlatego, że... – Powiedzenie „twój ojciec” na głos wydało się Stevie zbyt ryzykowne, bo cały czas czuła świdrujące spojrzenie Germaine. – Chyba też już pójdę – rzekła. – Idziesz?

– Mhm – odparł David. – Czemu nie.

Germaine opuściła głowę, kiedy ją mijali, ale Stevie spostrzegła, jak zerka na nich spod oka.

– Wiewiórek było najwyżej czterdzieści – rzucił David, kiedy wyszli z jurty.

– Skąd wzięłeś zaledwie tyle?

– Magik nie zdradza swych tajemnic – odrzekł. – Nie znalazłaś nic nowego, prawda?

Zmieniał temat tak niespodziewanie, że Stevie straciła wątek. Tylko na chwilę.

– Czekaj – rzekła. – Co, według ciebie, stało się z Ellie? Skoro twierdzisz, że by stąd nie zwała, to mam rozumieć, że się tu ukrywa?

– Twierdzę... – David ściszył głos. – Nie wyobrażam sobie, by mogła prysnąć tamtej nocy czy w ciągu następnych kilku dni. Nie widzę tego;

chyba żeby cudem.

– Założmy, że związała, bo raczej tak było. Masz pomysł, dokąd? – zapytała Stevie.

– Mogła jechać wszędzie. Ellie wychowywała się w komunie, mieszkała we Francji. Pewnie siedzi... nie wiem... w berlińskiej kawiarni.

– Ellie i wyjazd za granicę? Mhm, tak, na pewno.

– Okej. Więc... w przyczepie w Austin i sprzedaje bajeranckie tacos. Albo w domku na drzewie w Oregonie...

– Aha, rozumiem: skoro właściwie nie ma domu, to wszędzie czuje się jak u siebie – rzekła Stevie.

David przyglądał jej się chwilę.

– Tak – potwierdził. – Obojętne gdzie by była, i tak czuje się jak w domu. Mhm.

– Może pomieszkiwać u kogoś w Burlington – pomyślała głośno Stevie.

– Chyba wolałaby się wynieść z okolicy. Gdyby udało się jej dotrzeć do Burlington, zaraz zabrałaby się z kimś stamtąd gdzieś dalej. Nie sądzę, żeby chciała tutaj zostać.

– A czemu uciekła? – zapytała Stevie. – Żeby nie zrobić nic złego i zwiewać?

– Ze strachu – odparł David.

– Przed czym?

– Oskarżeniem o morderstwo.

– Nie powiedziałam, że zabiła – odparowała Stevie. – Stwierdziłam tylko, że jest autorką *Kresu* i podprowadziła laptop Hayesa, bo to prawda.

– Wiem – odrzekł David. – Wiem. Daj spokój.

– Nie uspokajaj mnie. To ja zaczęłam. Wiem, co mówię. Tylko... jeśli nie ona...

– Posłuchaj. Może... suchy lód wziął on? Może Beth Brave pomyliła porę ich rozmowy?

– Jest rejestr rozmów.

– No tak, a jeśli... coś się w nim poprzestawiało?

– Albo jeśli jest to sprawka Ellie? – rozwinęła Stevie. – Miała powód. Jest zręczna. Mogła zrobić to dla hecy, żeby popsuć serial. Ale niby czemu miałyby krzywdzić Hayesa w taki sposób?

– To nie w jej stylu – odparł David. – Nie przenosiłaby ton suchego lodu, żeby niszczyć cudzą twórczość.

Stevie wyczuła w jego głosie cień gniewu.

– Po prostu myślę...

– Nie odbieram ci prawa do podejrzeń, Stevie. Ale powtarzam: Ellie nie byłaby do czegoś podobnego zdolna. Nigdy w życiu nie zaszkodziłaby artyście. Ellie traktuje sztukę jak rzecz świętą. Między nami ostatnio się popsulo; pewnie mi nie wierzysz, rozumiem to, ale ufać musisz.

„Nagły zwrot akcji”.

– Chodzi ci o to, że twój ojciec żyje i nazywa się Edward King? – spytała Stevie.

– Skoro zależy ci na konkretach, to tak. Ale wiedz, że chciałem ci powiedzieć. Chciałem powiedzieć ci o tym od razu. Nie mogłem jednak z dwóch powodów. Po pierwsze, moim ojcem jest Edward King, więc byś mnie znienawidziła. Po drugie, moim ojcem jest Edward King, więc znienawidziliby mnie wszyscy.

– Nie wiedziałam nawet, że ma dzieci – odparła Stevie. – Nie przypuszczałam, że jest zdolny do rozrodu.

– Cóż, natura znajdzie sposób... – szepnął David.

„Przysunął się? Chyba tak”. Stevie zaschło w ustach. Szkopuł w tym, że David był nieziemsko piękny, wysoki, szczupły, pokrecony... a teraz jeszcze się do niej uśmiechał. W jego postawie, twarzy i uśmiechu Stevie znowu zobaczyła Kinga.

„Brawo, Stevie. Świetnie. Pocałuj go. To go zadowoli”.

Na samą tę myśl zemdlilo ją, aż cofnęła się o kilka kroków. Targała nią sprzeczności, z którymi nie potrafiła się uporać. „Coś jeszcze tli się między mną a Davidem. Ale nad głową mam Edwarda Kinga – i to dosłownie. Zainstalował nawet kamery...” Stevie znowu się wzdrygnęła.

– Zapomniałam dać znać Nate’owi, że wychodzę – powiedziała. – Wróć... żeby... wiedział, że wyszłam.

David zadarł lekko brodę.

– Jasne. – Na jego ustach zaigrał cień uśmiechu. – Nate. Dobra. Widzimy się w domu.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do Minerwy. Jak to on: z rękami w kieszeniach.

Stevie stała na ścieżce, przyswajając nowe, kluczowe dla niej informacje. Zastanawiało ją, jak inni układają sobie życie, żeby było ciekawe. „Ustala się warunki i następują zdarzenia. Zaskakujące czasem, mimo że planowane. Tak chciałam zająć się tą sprawą, a tu nagle robię interesy z diabłem.

Może podobnie jest z planowaniem morderstwa. Człowiek wdaje się w podejrzone interesy z samym sobą, a nie mogąc się z nich już wywikłać, robi jeden nieodwracalny”.

14 kwietnia 1936, 6.00



Francis Crane z początku bardzo podziwiała Alberta Ellinghama. Spodobało się jej, że buduje tunele bez wyraźnych powodów. Podsycał w niej zamiłowanie do chemii. Kazał bibliotekarce zamawiać wszelkie interesujące ją periodyki kryminalne. Chłopcy i dziewczęta ćwiczyli razem w sali gimnastycznej, mieli wspólne zajęcia i posiłki. Z jego polecenia personel przymykał oczy na pijących. Ellingham ubóstwiał grać, więc Francis nieraz grała z nim w monopole jeden na jednego.

Jej fascynacja Ellinghamem osiągnęła szczyt, kiedy zabrał ją na spacer i pokazał jej, gdzie wysadzili górę. Wziął Francis nawet do składu materiałów wybuchowych i pozwolił jej potrzymać laskę dynamitu. Mimo że starała się ukryć podniecenie, była pewna, że Ellingham je zauważył.

– Widać, że cię to interesuje – rzekł ze śmiechem. – Opowiedz mi o dynamicie.

– To po prostu nitrogliceryna zmieszana z ziemią okrzemkową – wyjaśniła Francis. – Chyba że ktoś wolałby trotyl, który...

– No, no! – odparł ucieszony. – Nie sądziłem, że odpowiesz tak prędko!

Gdy wyciągnął rękę, by odebrać jej dynamit, zacisnęła na nim palce odruchowo.

– Całe szczęście, że nie będzie ci potrzebny, bo mogłabyś zrobić komuś krzywdę! – dodał.

– Ze mną – odrzekła – nigdy nie wiadomo.

Albert Ellingham ryknął śmiechem.

– Muszę uważać, czego cię uczymy. – Znów się roześmiał. – Nie mogę dopuścić, żebyś stała się zbyt groźna, bo wtedy nikt nie wzięłby cię za żonę, a twój ojciec wyprułby mi flaki.

Na te słowa ziemia osunęła się Francis spod nóg. „Daje mi dynamit i śmieje się w twarz. Dla niego to żart, błażostka, do której nigdy nie wróci – pomyślała Francis. – Tymczasem ja myślę tylko o tym”.

Stwierdziła, że skoro Ellingham jest tak wielkim entuzjastą gier, ona zagra teraz w swoją. Wyjątkową. Ponieważ ją i Edwarda bawiło to samo, wspólnie obmyślili fantastyczny plan.

List odgrywał w planie rolę drugorzędną. Używając słów Eddiego, był ozdóbką. Francis natchnęły uwielbiane przez nią czasopisma poświęcone prawdziwym zbrodniom. W czasopismach tych wciąż kogoś porywano, listy porywaczy zaś składały się z powycinanych liter.

Francis sądziła, że to wymysł, ale siedząc kiedyś na trawniku i czytając „Prawdziwego Detektywa”, zobaczyła człowieka, który stale kręcił się po posiadłości – policjanta nazwiskiem George Marsh. Jako fanatyczka wszystkiego, co wiąże się z bombami, przeczytała o nim w prasie, gdy unieszkodliwił ładunek wybuchowy podłożony w samochodzie Alberta Ellinghama. Teraz chyba był jego ochroniarzem. Kiedy skierował się do Wielkiego Domu, zawołała wytwornym tonem nowojorskiej arystokratki:

– Jest pan policjantem, prawda?

Marsh podszedł do niej, wyraźnie speszony.

– Tak – odparł. – A właściwie byłem. Pracuję dla FBI.

– Ach, to na pewno bardzo zajmujące! Musi mieć pan do czynienia z masą spraw. Proszę mi powiedzieć, czy przestępcy rzeczywiście wysyłają takie listy. – Podetknęła mu pisemko otwarte na stronie z anonimem.

Uśmiechnął się.

– Dziwię się, że czytujesz takie rzeczy. Niezbyt pasują do Akademii Ellinghama.

– Ubóstwiam je – odpowiedziała. – To artykuł o uprowadzeniu. Rozpracowywał pan uprowadzenie?

– Raz – odrzekł. – Nie są zbyt częste.

– Kogo porwali? – zapytała Francis.

– Żonę bankiera. Gdy wychodziła z klubu brydżowego.

– Przysłali żądanie okupu?

– Nie – odparł Marsh. – Zadzwonili. Domagali się pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Jak się skończyło? – spytała, pamiętając, by wytrzeszczyć oczy i przybrać jak najniewinniejszą minę.

– Bankier zapłacił. Żona nie wróciła. Uciekła z instruktorem tenisa – i pięćdziesięcioma tysiącami. Wytropiliśmy ich w Miami.

Wyrzucił niedopalek i przydeptał go butem.

– Anonimy są na ogół dość nudne – odrzekł. – Raz na jakiś czas trafia się ciekawy. Jak ten tu, na przykład, z powycinanych liter. Coś takiego się zapamiętuje. Ale dyrekcja będzie mieć pretensje, że rozmawiam z tobą o kryminalistyce, gdy powinnaś się zajmować nauką. Zdaje się, że pod tym pisemkiem masz poważną książkę.

Nie mylił się. Pod czasopismem Francis miała podręcznik. Czytała je równocześnie.

– Chemia organiczna – odparła.

– Brawo, dziecko. Ja nigdy nie miałem do tego głowy. – Uśmiechnął się, uchylił przed nią kapelusza i ruszył do Wielkiego Domu. Francis zaczęła obgryzać ołówek.

„Coś takiego się zapamiętuje” – powtórzyła w myśli.

Wtedy zaświtał jej pomysł. „Może by wysłać taki list Ellinghamowi? Neeee, nie wysłamy do niego anonimu”. Im dłużej biła się z myślami, tym bardziej pomysł wydawał się realny. „Da się to zrobić – trzeba tylko

działać ostrożnie i z klasą. Bo niby czemu by nie zdenerwować pryka. Niby dlaczego nie dać mu popalić?!”

Gdy tego wieczoru powiedziała Edwardowi o pomyśle, był zachwycony. Nazwał go dadaistycznym. Po czym z właściwą sobie swadą stwierdził, że ujmie go w formie wiersza.

– Licentia poetica – rzekł, całując Frankie.

Edward pokazał jej wiersz Dorothy Parker, którym się zainspirował. „Okropieństwa da się opisać na sto uroczych sposobów, widzisz?” Na końcu dodał „ha, ha”. Brakowało tylko efektownego podpisu.

– Musi to być coś nieodgadnionego – odrzuciła Frankie.

– O to mi chodziło! – Edward dodał na końcu „Wasz Nieodgadniony”. By sporządzić anonim, położyli się na dnie pustego, nowo zbudowanego basenu. Palili papierosy i dobierali litery. Posłużyli się kartką wyrwaną ze zwykłego bloku biurowego, który Frankie przywiozła z Nowego Jorku. Włożyli rękawiczki, wzięli pęsety i zaczęli starannie naklejać litery. W nierównych odstępach, a niektóre krzywo.

Gdy list był gotowy, Frankie sfinalizowała plan. Zapłaciła jednemu z robotników, aby wrzucił stertę jej listów do skrzynki pocztowej w Burlington – wyjaśniając, że są prywatne, więc nie chce, by grzebał w nich ktoś z personelu szkoły. I tak – za jedyne go dolara – listy ostemplowano daleko od miejsca, w którym zostały napisane.

Oboje uznali swe dzieło za istny cud sztuki kryminalnej.

Niestety list trafił w niewłaściwy cel. Wbrew ich zamierzeniom powiązano go z uprowadzeniem Iris i Alice Ellingham. „A co z Dottie Epstein?...” Francis rozmyślała nad tym wszystkim nocą, nie mogąc zmrużyć oka. „Potraktują go jako żart? Czy dołożą starań, by namierzyć nadawcę?”

Mężczyzna z dubeltówką siedział przy drzwiach całą noc. Nie spał. Tak jak panna Nelson, która do rana kręciła się w milczeniu, znosząc na dół w torbach rzeczy ze swojego pokoju, przeglądając papiery. Czasem tylko zerkała na Francis, która poddała się i przysnęła.

O świcie zbudzono resztę dziewcząt i kazano im się ubrać.

– Co się dzieje? – zapytała Gertie, szurając pantoflami na obcasach.

– Nie ma powodu do niepokoju – odpowiedziała sucho panna Nelson.

– Ogłoszono alarm bombowy. Nic się nie stanie, ale ze względów bezpieczeństwa ewakuujemy was z kampusu.

Na wieść o nagłej zmianie codziennego rytmu podniósł się straszliwy rwetes. Wszyscy biegali pędem do łazienki i do pokoi – po ubrania i palta. Co zabrać? Czy będzie śniadanie? Korzystając z ogólnego rozgardiaszu, Francis wymknęła się do pokoju. Były w nim schowane niezbędne jej rzeczy – rzeczy, których nie mogła zostawić. Przystąpiła do komody i zaczęła ją przesuwac. Przesunawszy ją o jakieś trzydzieści centymetrów, schyliła się i już-już miała obluzować listwę, kiedy w progu stanęła panna Nelson i spytała:

– Co ty wyprawiasz?

– Upuściłam kolczyk – odparła, jak gdyby nigdy nic, Francis.

– Wróć do świetlicy.

– Muszę się przebrać.

Panna Nelson podeszła do szafy, wzięła sukienkę i podała ją Francis, wskazując ozdobny parawan.

– Więc się przebierz.

Francis weszła z sukienką za parawan.

– Powiem tylko – rzekła panna Nelson – że dzieje się tu coś bardzo niepokojącego. Mielenie językiem może przynieść szkodę. Rozumiesz?

Francis zastygła z sukienką nad głową.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz – ciągnęła panna Nelson. – W grę wchodzi życie kilku osób. Znam twoje gierki, ale to poważna sprawa. Ktoś może zginąć. A w niebezpieczeństwie jest jedna z twoich współlokaterek.

Francis westchnęła i, przełknawszy ślinę, włożyła sukienkę i wyszła z za parawanu. Panna Nelson nie była już łagodną i potulną zarządczynią Minerwy. Stała w progu niczym mur. Pierwszy raz od

wczorajszego wieczoru Francis ogarnął strach. Spojrzała na listwę. To, co się tam kryło, mogło napytać jej nie lada biedy. W tej ścianie Francis przechowywała tajemnice.

– Da mi pani... choć momencik? – spytała, siląc się na przymilny ton.

– Nie – odparła panna Nelson. – Spakuję ci rzeczy. Ty w tej chwili wyjdiesz.

Francis Josephine Crane wyszła z pokoju, nie wiedząc, że po raz ostatni.



Znów mignął znak ostrzegający przed łośiami.

„W życiu ich tu nie zobaczę”.

Jak zwykle w niedzielę szkolny autobus zmierzał do Burlington. Dzisiaj jechało tylko kilka, nieznanych Stevie, osób. Wszyscy mieli na uszach słuchawki, czytali albo w coś grali. Stevie czytała na tablecie książkę doktor Irene Fenton *Nieodgadniony: Zbrodnie w posiadłości Ellinghamów*. Była to jedna z pierwszych zdobytych przez nią książek na ten temat. Stevie przerzuciła ją do fragmentu poświęconego odnalezieniu Dottie Epstein:

Dzień 16 maja 1936 roku był łagodny; w powietrzu czuło się już powiew lata. Jak zawsze o pół do szóstej rano Joseph Vance wsiadł do ciężarówki mleczarni Archera, w której pracował jako dostawca. Miał w ciężarówce mleko, śmietanę i masło dla trzydziestu pięciu gospodarstw oraz termos kawy na drogę. Po zrealizowaniu pierwszych dziesięciu dostaw do domów na peryferiach Jericho w stanie Vermont stwierdził, że nadeszła pora, by przystanąć na poboczu drogi, łyknąć kawy i zjeść na śniadanie bułkę. Zaparkował na skrawku trawy naprzeciwko farmy Babbetów, posilił się i napił, po czym poszedł załatwić się za drzewo rosnące około sześciu metrów od drogi.

Joseph mówił później, że nie ma pojęcia, co go zagnało tak daleko od ciężarówki – okolica była spokojna, w zasięgu wielu kilometrów nikt tam nie mieszkał. Tak czy inaczej, kiedy schował się za drzewem, zauważył na ziemi duży worek. Gdy podszedł do worka, spostrzegł wystające z niego dwie nogi, a raczej to, co z nich pozostało – odbarwione, zniszczone przez żywioły i faunę. Reszta ciała była przysypana ziemią i przyłożona kawałkami drewna. Usunąwszy je, Joseph ujrzał kręcone włosy dziewczynki, szczątki jej twarzy i okulary.

Odbiegł kilka kroków i spazmatycznie zwymiotował. Następnie wsiadł do ciężarówki i pojechał prosto na posterunek policji. Mała Dolores Epstein, genialna uczennica Akademii Ellinghama, została wreszcie odnaleziona. Sekcja zwłok wykazała poważny uraz prawej strony czaszki.

Odtąd porwanie w posiadłości Ellinghamów określane jest jako morderstwo. Autorzy publikacji na temat zaginięcia żony i córki magnata zapominają, że pierwszą znaną ofiarą była uczennica, uboga dziewczynka z Nowego Jorku, która sama nauczyła się pięciu języków obcych, wykazywała wybitny talent do translacji dawnych tekstów, zgłębiała chemię i fizykę na poziomie uniwersyteckim, a wszelkie swoje lektury zapamiętywała niemal fotograficznie.

Po pewnym czasie zdołano odtworzyć, co robiła w tym feralnym dniu. Prawdopodobnie była w obserwatorium w zatopionym ogrodzie, gdy porywacze zjawili się tam, aby odebrać okup. Dolores lubiła czytać w samotności, często więc się kryła w mało uczęszczanych miejscach. Tego dnia wzięła do obserwatorium tom opowiadań o Sherlocku Holmesie. Znalaziono go na podłodze.

Przypuszcza się, że Dolores Epstein zamordowano, bo widziała twarz porywacza Iris i Alice Ellingham.

Autobus wtoczył się do Burlington. To miłe miasto – uniwersyteckie, odrobinę hipisowskie, prowincjonalne. Można tam wypić dobrą kawę, zaopatrzyć się w rakiety śnieżne, pochodzić na jogę i obejrzyć gryzmołone sprayem na murach portrety Berniego Sandersa^[5]. Burlington ma też jednak mroczną stronę – na ulicach widuje się bezdomnych, a okolice gmachu sądu wyglądają nieciekawie.

Wszyscy wysiedli z autobusu na Church Street, głównej ulicy handlowej miasta. Stevie ruszyła w stronę nabrzeża, rozglądając się, zapamiętując budynki, sklepy. Ellie mogła zakraść się do któregoś z tych domów. Kto wie, czy nie patrzyła na nią teraz, schowana gdzieś tu za firanką...

„Tylko czy w takim mieście łatwo się schować?” – zastanawiała się Stevie.

„Prędzej czy później musi wyjść z ukrycia, a Burlington jest niewielkie. Jeżeli tu przyjechała, to pewnie pojechała dalej. Ukradła samochód?... Może wyruszyła na zachód, na pustynię, albo do

Kalifornii. A może na północ – do Kanady. W ten sposób prędko i bez większego trudu umknęłyby amerykańskiej policji. Mogła też wyjechać do Nowego Jorku albo do Bostonu, gdzie łatwo byłoby jej się schować. Ale w ukryciu nie da się tkwić wieki. Uciekać jest trudno. Trzeba mieć gotówkę. Trzeba mieć dowód tożsamości i telefon. Poza tym trudno ukryć się przed kamerami. Są przecież wszędzie. Na światłach, bankomatach, na ulicach.

Może więc Ellie jeszcze jest gdzieś tutaj, zadekowana w jakimś artystowskim lofcie...”

Stevie chwilowo odpuściła sobie spekulacje i szła dalej, do Chudego Naleśnika. Wiatr od jeziora Champlain dmuchał chłodem, smagał ją po twarzy, powodując łzawienie. Pejzaż, który widziała przez łzy, był olśniewający – wielka błękitna tafla wody obrzeżona rdzą drzew. Właśnie stąd, z miejscowego jachtklubu, wypłynął w ostatnim dniu życia Albert Ellingham. Jego łódź wybuchła, wysadzona jakoby przez anarchistów, którzy chcieli wziąć na nim odwet za śmierć Antona Vorachka, aresztowanego pod zarzutem zamordowania jego żony i uprowadzenia córki. Anarchiści próbowali dobrać się do Ellinghama wcześniej – tym razem jednak dopięli celu. Do eksplozji doszło nieopodal cypla Rock Point, gdzie Albert Ellingham i George Marsh spuścili na sznurze worki ze znaczoneymi banknotami.

Chudy Naleśnik to duży lokal o stonowanym wystroju, w którym podaje się najrozmaitsze rodzaje kawy i wyborne naleśniki. Z okazji pierwszego spotkania z profesorką, Stevie postanowiła zaszaleć finansowo i zamówiła duże cappuccino z szafranem.

– Hej, Fenton! – rzekł barman. – To co zwykle?

Do restauracji weszła kobieta w nieokreślonym wieku. Miała mocno poskręcane w loki szpakowate włosy do ramion i okulary z grubymi czerwonymi oprawkami. Ubrana w brązowy wodoodporny płaszcz ze sztruksu, mięsisty fioletowy sweter i drewniaki, które stuknęły głośno o drewnianą podłogę, niosła na plecach zmaltretowany skórzany tornister.

Stevie rozpoznała doktor Fenton, mimo że jej zdjęcie w książce wykonano ze dwadzieścia lat przed publikacją. Kobieta, która stanęła przed nią teraz, wyglądała bardziej... niedbale.

Przyjrzały się sobie.

– Jesteś Stevie? – zawołała doktor Fenton.

Stevie kiwnęła głową.

– Te kawy to razem – powiedziała doktor Fenton do barmana. – Usiądziemy na zewnątrz? – zwróciła się do Stevie.

Stevie chciała zauważyć, że jest październik. W Vermoncie. Nad jeziorem. Doktor Fenton wydobyła z kieszeni paczkę cameli i machnęła nią przed Stevie.

– W środku się nie pali – rzekła, wskazując tabliczkę na drzwiach.

Stevie owinęła się szalikiem. Wyszły na dwór. Doktor Fenton usiadła przy jednym ze stołów obok drzwi, najwyraźniej nie przejmując się ostrym wiatrem. Wyjęła papierosa i zapaliła go, osłaniając usta dłońmi. Stevie nie znała nikogo, kto palił. Doktor Fenton spostrzegła to, bo oznajmiła:

– Kiedyś można było palić wszędzie. Pewnie nie jesteś do tego przyzwyczajona. Traktują nas jak wyrzutków. – Zaciągnęła się głęboko, po czym zrobiła jeszcze głębszy wydech. – Jak rozumiem, interesuje cię sprawa Ellinghamów. I wykryłaś, co się stało z tym chłopakiem, Hayesem.

– Hayesem – poprawiła Stevie, wsuwając ręce do kieszeni czerwonego płaszcza, by nie zmarznąć.

– Hayesem. – Doktor Fenton wypuściła potężny kłęb dymu, który owiał jej twarz. – Wybacz. Czytałaś moją książkę?

– Naturalnie – odpowiedziała Stevie.

– Naturalnie! – Doktor Fenton roześmiała się, kaszląc. – Podoba mi się. Naturalnie. Mów mi „Fenton”. Nie „doktor”. Tylko „Fenton”. Tak lubię. Pogadajmy o sprawie Ellinghamów. Powiedz mi, co jeszcze czytałaś.

- Słucham? – zapytała Stevie. – Mam to wyliczyć?
- Książki, artykuły... Chciałabym się zorientować, co wiesz.
- Znam... wszystkie – odparła Stevie.
- Spotkałyśmy się, żeby porozmawiać. Mów. Opowiedz mi o sprawie.
- „Zrelacjonować sprawę Ellinghamów jest równie łatwo jak opowiedzieć dzieje ludzkości...”
- Od którego momentu? – zapytała Stevie. – Wieczoru porwania, kilku dni przed czy...
- Wieczoru – odpowiedziała doktor Fenton z papierosem w zębach.
- Kiedy barman przyniósł dwie kawy i postawił je na stole, Stevie wróciła do 13 kwietnia 1936 roku i chwili, w której Albert Ellingham zatrzymał samochód na podjeździe. Przytoczyła wszelkie znane szczegóły dotyczące tamtej nocy – miejsca pobytu domowników, rozmowy telefoniczne, wyprawę George’a Marsha, znaczenie banknotów i przekazanie okupu. Gdy doktor Fenton dopytywała czasem o to czy owo, Stevie odpowiadała niemal bez namysłu.
- Świetnie – rzekła doktor Fenton po półgodzinie i trzech papierosach. – To dobra baza. Powiedz, kto, według ciebie, uprowadził Iris i Alice Ellingham. Kto jest Nieodgadnionym?
- Nie wiem – odpowiedziała Stevie.
- Nie Anton Vorachek?
- Oczywiście, że nie.
- Doktor Fenton wbiła wzrok w Stevie, sztachając się papierosem. Stevie usłyszała skwierczenie tytoniu.
- W tej sprawie chodzi o pieniądze – stwierdziła doktor Fenton. – Od początku były w niej najważniejsze. Anton Vorachek nie dbał o pieniądze. By ją rozwiązać, zajmij się pieniędzmi. Porywacz Iris i Alice wiedział, ile ich jest w gabinecie Ellinghama. Skąd u diabła wiedziałby to Anton Vorachek?
- Stąd – odparła Stevie – że pieniądze regularnie dowożono z banku. Ekipie budowlanej płacono gotówką. O pieniądzach w sejfie wiedziała

masa osób. Tak w każdym razie mówiono.

– Dobra. Więc tak się uważa. Tyle że dostaw z banku strzeżono jak oka w głowie, a ilość gotówki w sejfie zmieniała się z dnia na dzień. Przestępca musiał zatem wiedzieć, kiedy przychodziła i kiedy ją wyjmowano.

Stevie nie odezwała się, bo miała identyczne zdanie. Podobnie większość badaczy sprawy Ellinghamów.

– Powinnaś więc – ciągnęła doktor Fenton – sprawdzić, kto był wtedy w domu, a w domu było zatrzęsienie ludzi. Dwadzieścioro pracowników pełnoetatowych plus codziennie ponad setka osób na terenie posiadłości. Budowlańcy, personel szkoły i uczniowie. Plus goście. Leonard Holmes Nair i Flora Robinson byli na górze, a – jak wiadomo – Flora Robinson odnalazła się dopiero w chwili przybycia George’a Marsha. Do wyboru jest masa osób. Ale nie Anton Vorachek. Był anarchista, nie cieszył się sympatią: to wymarzony frajer, którego się oskarża i wsadza. Uznanie go za sprawcę jest tak zasadne, jak teoria, że Oswald zabił Kennedy’ego w pojedynkę.

Stevie puściła tę uwagę mimo uszu. „Chyba za wcześnie na teorie spiskowe”.

– Ale tak pewnie myślałby amator. Ty, sędzę, zapuściłaś się dalej.

Doktor Fenton zakiepowwała na stole. „Fuj!!!”. Szary popiół obsypał wszystko wkoło.

– Okej, Stevie, jesteś przyjęta. Ponoć masz dostęp do strychu w Wielkim Domu.

Stevie przytaknęła.

– Świetnie. – Fenton wyciągnęła z torby notes z oślimi uszami. – Chcę, abyś zweryfikowała kilka kwestii. Drobnych szczegółów, które muszę doprecyzować. Część z nich wiąże się z rozkładem budynku. Muszę się upewnić, gdzie są i jak wyglądają pewne przedmioty. Inne rzeczy znajdziesz pewnie na strychu. Zdaje się, że są tam domowe raptularze. Trzeba sprawdzić listy gości, harmonogramy i tak dalej. Te

informacje zwykle ujmuje się w kronikach. – Podała Stevie notes. – Sprawdzisz mi to wszystko. Notuj każdy detal. Takie masz zadanie. Owocnych poszukiwań.

Sterie przejrzała notatnik. Fenton interesowały szczegóły jadłospisów, wzory na porcelanie, kolory ścian, nazwiska osób, które w określonych dniach przebywały w domu. Jednym słowem: proza życia.

– Moja książka wywoła spory zamęt – rzekła Fenton. – Wiem coś, co wprawi czytelników w osłupienie.

Sterie podniosła na nią wzrok, zaciekawiona.

– Znaczy: co?

– To mój sekret, który możesz odkryć sama, jeśli będziesz przykładła się do pracy.

„Dumne słowa” – pomyślała Sterie. „Tak się składa, że w tej chwili mam w torbie coś, co może rzucić na sprawę nowe światło”. Zabrała puszkę, by nie zostawić jej na kampusie, ale też dlatego, że chciała ją pokazać profesorce, aby od razu zwały szyki i wyjaśniły sprawę Ellinghamów. Doktor Fenton albo Fenton jednak ją zniechęciła. Wbrew jej oczekiwaniom okazała się wydrowata. „Może przez papierochy, a może przez coś jeszcze. Wyraz oczu i to, jak siedzi. Fałszywy ton...” – mówiła sobie w duchu Sterie.

Zbliżał się do nich chłopak w wieku Sterie. Jasnowłosa, z nosem i policzkami oprószonymi złotymi plamkami, miał na sobie niebieską wełnianą kurtkę, dopasowaną czarną bluzę z kapturem i czapkę narciarską. Lewą ręką opierał się na kuli, a z prawego ramienia zwisał mu płócienny plecak, cały w łatach.

– Widzę, że mam gdzie zaparkować – rzekł. – Cześć – przywitał się ze Sterie.

– Mój siostrzeniec, Hunter – przedstawiła Fenton. – A to Sterie. – Sterie jest moją nową asystentką. Pomaga mi przy książce. Pogadajcie. Muszę do toalety. Za chwilę wracam.

Fenton przytrzymała stół, jakby był chwiejny, po czym wstała i, stukając drewniakami, weszła do środka.

Oparłszy kulę o ścianę, Hunter zajął miejsce ciotki. Niezbyt podobni, mieli takie same duże niebieskie oczy. Gęste jasne brwi Huntera były wiecznie ściągnięte.

– Jesteś z Akademii? – spytał.

– Mhm. Skąd wiesz?

– Masz na imię Stevie i pracujesz nad tą książką. Mówili o tobie w wiadomościach w związku ze śmiercią na kampusie.

– A. – Stevie speszzyła się na oczywisty komunikat. – Jasne.

– Od jak dawna interesujesz się tą sprawą?

– Od kilku lat – odpowiedziała.

Chłopak zagryzł wargi i pokiwał głową.

– Mieszkam u ciotki, gdy chodzę tu do szkoły – oznajmił. Chwilę patrzył na filizankę Fenton. Wreszcie podniósł ją z udawaną nonszalancją, po czym odstawił, jakby lekko się krzywiąc.

– Co studiujesz? – zapytała Stevie.

– Ekologię – odparł. – Naukę o środowisku. Zamierzam ocalić świat przed globalnym ociepleniem.

– Uda się?

– Trzeba spróbować.

Stevie przytaknęła. Zrozumiała go. „Trzeba spróbować. Próba to pierwszy krok”.

– Czytałem o twoich dokonaniach – rzekł Hunter. – Rozwiązałaś zbrodnię. Super.

– Nie rozwiązałam – odpowiedziała Stevie. – Wykryłam tylko... to i owo.

– Ta dziewczyna jest nadal zaginiona, prawda?

– Ellie. Tak.

– Nie wiem, dokąd można zwać z tej szkoły. Dostyc tu groźnie. Jestem z Florydy. Nie do końca sobie tutaj radzę... – urwał, jakby się zawstydził, po czym wskazał ruchem głowy notes. – Czego chce od ciebie ciotka?

– Dokładnego sprawdzenia pewnych faktów – odrzekła Stevie. – Chyba.

– To pewnie masa roboty.

Rozległ się charakterystyczny stukot chodaków. Fenton wróciła.

– A więc – nakazała – bierz się do roboty. Do zobaczenia w połowie tygodnia.

– W połowie tygodnia nie ma autobusu – zauważyła Stevie.

– To kiedy możesz?

– W sobotę.

– Więc widzimy się w sobotę. U mnie. Mam tam biuro. Mieszkam na kampusie. Tutaj.

Zapisała i podała Stevie adres.

– Wieści posyłać pani mailem, czy...

– Żadnej elektroniki – odparła Fenton. – Nigdy.

– Okej – rzekła Stevie. – Żadnej elektroniki. Okej.

– Zbierajmy się? Gdzie samochód?

– Tam – wskazał Hunter, sięgając po kulę. – Spotkamy się jeszcze? – zapytał Stevie.

„Czyżbym słyszała w jego głosie cień nadziei?” Stevie nie łudziła się, że wzbudza powszechne pożądanie. Uważała, że w czerwonym winylowym płaszczu i prostych czarnych dżinsach, z krótkimi blond włosami wciśniętymi pod czarną dzierganą czapkę wygląda nieźle. Na ustach miała pomadkę ochronną, czyli zawsze coś, a brwi potraktowała mazidłem, które pożyczyła jej Janelle ze słowami: „Zda egzamin”. Jako znawczyni makijażu, Janelle co rusz podtykała Stevie paletę cieni albo rozświetlacz. Stevie zapomniała, że ma ciało, kiedy więc ktoś je zauważał, wpadała w konsternację. „No popatrz. Coś niebywałego”.

Tylko przy Davidzie przypominała sobie, że jest kobietą.

Tak czy inaczej zainteresowanie Huntera było pewnie wytworem jej wyobraźni. Chłopak wziął kulę i przyglądał się, jak ciotka zbiera swoje rzeczy. Dopiero gdy pożegnali się i poszli, do Stevie dotarło, że Fenton nie jest aż tak stara, by wymagała pomocy, a tymczasem Hunter podjechał tutaj po nią i odprowadził ją do samochodu.

Po drugie – Hunter obejrzał się przez ramię i posłał Stevie uśmiech.



„Kto zostaje mordercą?”

Stevie rozmyślała nad tym po południu, wracając autobusem do Akademii. Lektury, filmy i badania nauczyły jej kilku rzeczy.

Wariant z horroru: cień z nożem, mężczyzna, który podczas burzy zbiegł ze szpitala na wzgórzu. To on mieszka w ścianach.

W powieści kryminalnej bywa nim uśmiechnięty nieznajomy, który trochę zna się na truciznach. To krewny albo pominięty w spadku, albo właśnie do niego dopisany. Zazdrosny kolega w muzeum archeologicznym, który chce jako pierwszy ujawnić nowe odkrycie. To przesadnie uczynny osobnik, który nie odstępuje detektywa na krok.

Na kanale nadającym całą dobę dokumenty o prawdziwych zbrodniach mordercą jest nowy sąsiad – opalony właściciel łodzi, między czterdziestym piątym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia, bez przeszłości, który świeżo nabył ogromną zamrażarkę. To lokator chaty w lesie. To niedostrzegalna postać na rogu ulicy.

W serialach zabójcą jest zazwyczaj trzecia osoba przesłuchiwana przez policję. Ten, którego się podejrzewa.

W życiu zaś mordercą bywa każdy. Powody, metody, okoliczności – drogi wiodące do popełnienia zabójstwa są niezliczone jak gwiazdy. Świadomość tego to pierwszy krok do odnalezienia mordercy. Prowadząc dochodzenie, trzeba wyzbyć się myśli typu: „To musi być on/ona”. Wzorzec mordercy nie istnieje. Mordercą może być każdy.

Stevie oparła głowę o chłodną szybę. Za oknem przemknął znak „Uwaga: łosie”.

– Mhm, łosie; jasne – szepnęła.

Element Walker. Stevie zobaczyła ją w tej chwili, tak jakby siedziała obok. Artystka. Egzaltowana. Przyjazna. Dziewczyna z posiniaczonymi od wspinaczki goleniami, w podziurawionych starych atlasowych balerinkach. Dziewczyna w starej spódniczce cheerleaderki, z włosami powiązаныmi w kępkę skarpeteczkami dla niemowląt. Ellie, której najlepszym przyjacielem był saksofon, mimo że nie miała pojęcia o graniu. Dziewczyna z przywiezioną z Francji butelką szampana, którą otworzyła dla dwóch prawie nieznanym sobie osób.

„Ellie, zabiłaś? Zrobiłaś to świadomie?”

Stevie chciała wysłać jej te myśli jak telepatycznego esemesa. „Powiedz. Mogłabym ci pomóc. Wybacz”.

„Czemu przepraszam? Doszłam przecież do słusznego wniosku. Ochronę wezwałam nie ja, tylko Nate. Zadałam pytanie – to wszystko”.

Dzień poszarzał; skalne ściany wznoszące się po obu stronach drogi majaczyły złowieszczo w półmroku. Górską okolicą była surowa i piękna. Pełna zakamarków, ale mimo wszystko zimna. Ellie miała barwną osobowość. Stevie zobaczyła całą prawdę o niej w pierwszym dniu zajęć – gdy wyglądała jak niechlujna cheerleaderka punkowa ze skarpetkami w matowych włosach. Tego samego dnia wieczorem Ellie farbowała ubranie na różowo w wannie i brylowała, pijąc szampana ze Stevie i Janelle. Ellie lubiła robić wrażenie, nie stroniła więc od towarzystwa.

„Okej. Ale faktów nie da się oszukać”. Stevie poukładała je sobie i rozważyła. „Ellie napisała scenariusz i ukradła laptop. Tyle powiedziała i to zgodnie z prawdą. Zgodnie z prawdą. Nie można mieć jej za złe prawdy”.

Kilka dni przed śmiercią Hayesa ktoś wykradł identyfikator Janelle, gdy były na jodze w pracowni artystycznej. „Mógł to zrobić każdy. Torba leżała w sieni. Ale ten ktoś wiedział, że Janelle ma dostęp do warsztatu.

Wszedł tam, posłużywszy się identyfikatorem Janelle, i wyładował z pojemnika suchy lód. Wążący ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Do transportu takiego ciężaru byłby potrzeby wózek ręczny albo golfowy, w każdym razie coś dużego. Ktoś przeniósł stamtąd lód aż do tunelu w lesie. Musiał otworzyć właz i znosić bloki po schodach, a potem w głąb tunelu jeden po drugim... Później zamknął pomieszczenie. W jakim celu? Prawdopodobnie, żeby wytworzyć mgłę. Tylko że suchy lód w tej ilości nie zmieni się w mgłę, zostawiony na tak długo w zamknięciu”.

Stevie skłaniała się do przypuszczenia, że Ellie lub Hayes o tym nie wiedzieli. Oboje nie mieli zacięcia do techniki. „Ellie mogłaby zaszaleć dla efektu, ale... Od początku nie trzymało się to kupy. Chyba że Hayes stwierdził, że da radę stworzyć wielką scenę z mgłą, albo Ellie postanowiła przeszkodzić mu w kręceniu... Ale po co tworzyć wielki efekt specjalny w tunelu, skoro nie ma przy tym operatora? A chcąc skutecznie sknocić kręcenie, wcale nie trzeba byłoby się tak wysilać. Jeśli nie Ellie, to kto?”

Stevie przywarła do zimnego okna, a w uszach jej – unisono z pomrukiem silnika – dźwięczało słowo „morderstwo”...

„Dlaczego Hayes musiał umrzeć? Był nieznośny. Oszukiwał i wykorzystywał ludzi. Ale przecież nie zasłużył na śmierć. Dottie też, dopóki nie zobaczyła czegoś, czego nie powinna była zobaczyć. Czyżby i Hayes coś zobaczył? Czy w ogóle było coś do zobaczenia?”

Miała badać sprawę Ellinghamów, a tu los podsunął jej coś wspaniałego: możliwość współpracy z autorką poświęconej sprawie książki. „Spełnienie marzeń”.

Myśl o Ellie jednak nie dawała jej spokoju.

Autobus kierował się na teren szkoły zdradliwą drogą wśród drzew tak gęstych i niskich, że skrobały o jego boki, zboczem stromym tak, że biegi aż chrzęściły. Widząc wartką rzekę z maleńkim drewnianym mostem, Stevie stwierdziła, że David miał rację – poruszanie się tu było utrudnione. „Przejsie przez las jest możliwe, owszem, ale niełatwe, a po ciemku to w ogóle groza. Nie ma mowy, by się tędy przedrzeć, nie

spadając ze zbocza, nie potykając się o korzenie i powalone konary, nie wpadając do wykrotów, nie przewracając się na skałach. Przeprowadzić się przez rzekę można tylko mostem. Właśnie tak zaplanował to Albert Ellingham. Jego Akademia miała być jak twierdza. Tylko skoro pilnowano mostu i obserwowano tylną drogę... jakim cudem Ellie się stąd wyśliznęła? Wydostanie się z zamkniętego na klucz pokoju to przy tym bułka z masłem”.

Wspiąwszy się na szczyt, minęli dwa posągi sfinksów. Autobus stanął pod portykiem Wielkiego Domu. Gdy Stevie wysiadła, uderzył ją podmuch górskiego wiatru. „Co mi szkodzi trochę się rozejrzeć? Tak troszeczkę, by zaspokoić ciekawość...”

Obeszła Wielki Dom. Tył budynku był odgradzony murem otaczającym zatopiony ogród. Stevie nie wiedziała, przez które z okien piwnicy rzekomo uciekła Ellie, ale jej szanse na to wydawały się znikome. Studzienki okien piwnicznych były głębokie i okratowane. Przykucnąwszy nad jedną, Stevie spróbowała unieść kratę. Bez powodzenia.

„Na razie zostawmy cel ucieczki Ellie – ale w jaki sposób wydostała się z piwnicy? Nie rozwiążę pierwszej kwestii, jeśli najpierw nie rozwiążę drugiej”. Człowieka, który bez wątpienia znał odpowiedź na drugie pytanie, zastała Stevie tam, gdzie zwykle: za wielkim drewnianym biurkiem tuż przy drzwiach wejściowych do Wielkiego Domu.

– Chciałam tylko się przywitać – powiedziała, wchodząc do olbrzymiego westybulu.

Larry spojrział na nią znad czegoś, co zapisywał w notatniku.

– Witaj – odparł. – Nie.

– O nic nie prosiłam.

– Nie szkodzi. I tak się nie zgadzam.

Wzięła oparte o ścianę przy drzwiach składane krzesło i usiadła naprzeciw Larry'ego.

– Byłam dziś w Burlington – rzekła.
– Miło mi to słyszeć.
– Na spotkaniu z doktor Fenton, która napisała *Nieodgadnionego*. Czytał pan to?

– Nie pamiętam – odpowiedział Larry, nie odrywając wzroku od notatek.

W Wielkim Hallu unosił się zapach niepodobny do innych w posiadłości. Akademię przesiąkały wonie lasu i palonego drewna. Wielki Hall pachniał pastą, skórą, dymem z papierosów wypalonych tu ostatnio w 1938 roku – te zapachy, przeniknąwszy drewno, kryształ i marmury, zlewały się w jedyną w swym rodzaju aurę zamierzchłości. Powiew bogactwa. Nie pieniędzy, lecz właśnie bogactwa. Jakże odmienny od smrodu papierosów Fenton, który wżarł się Stevie we włosy i czapkę. „Całe szczęście – pomyślała o płaszczu – że winyl jest nieprzepuszczalny!”

– Okej – rzekła, kiedy Larry uparcie nie podnosił głowy. – Chciałam o coś prosić.

Larry ostrzegawczo strzelił długopisem.

– Zgodziłby się pan mi pokazać, którądy uciekała Ellie?..
– Odpowiedziałem ci już na to, jak pamiętam.
– Ale dobrze, że przyszłam z tym do pana?
– Mhm. Jednak odpowiedź brzmi: „nie”.
– Bez przesady – odparła Stevie, ścisząc głos i pochylając się nad biurkiem. – Chyba mi się to należy?

Mina Larry’ego wskazywała, że jest w błędzie.

– Proszę zrozumieć – spróbowała znowu, tym razem z cieniem smutku w głosie. – Czuję się... odpowiedzialna. Przyprowdziłam ją tu, więc jeśli zostanie pożarta przez niedźwiedzia...

Znów nic. Larry był niewzruszony jak skała pod ich stopami. Stevie chciała przybrać zrotpaczoną minę, lecz jej to nie wychodziło. Wreszcie

lekko wysunęła dolną wargę. Larry wzniosł oczy do nieba i rozejrzał się po pustym hallu.

– Idź już, Stevie – odparł.

– Chcę tylko wiedzieć, gdzie się to stało. O nic więcej pana nie proszę. Strasznie... się boję. Ellie trafiła tu przeze mnie. To znaczy przez moje słowa. Chcę tylko spojrzeć.

Larry kilkakrotnie strzelił długopisem.

– Opuścisz, jeśli ci pokażę? – spytał.

– Bezwzględnie tak – przyrzekła Stevie.

Przechyliwszy się na krześle, Larry zajrzał przez uchylone drzwi do biura ochrony.

– Jill – powiedział – zastąp mnie na chwilę. Muszę iść do piwnicy.

– Okej – odezwał się głos z wnętrza.

Larry sięgnął do szuflady biurka i wyjął zestaw kluczy.

– Chodźmy – rzekł, wstając. Stevie dotrzymywała mu kroku.

– Wujek powtarzał: „Jesteś utrapieniem, ale nie umiem cię przeniknąć” – oznajmiła.

– Wiedział, co mówi – odparł Larry.

– Przyjęcie do Akademii Ellinghama – dodała – zawdzięczam wytrwałości.

– Mhm.

Do piwnicy Wielkiego Domu wchodziło się drzwiami kuchennymi, do kuchni zaś prowadziły drewniane drzwi pod majestatycznymi schodami. Kuchnia była przepastnym pomieszczeniem o białych ścianach, z podłogą wykafelkowaną na biało-czarno. Choć stare sprzęty dawno usunięto i zastąpiono nowoczesnymi, kuchnia nie zatraciła klimatu lat trzydziestych. Pozostały szerokie drewniane kontuary i sfatygowany stół o marmurowym blacie, na którym zwijano pewnie ciasta, a także kolosalnych rozmiarów szafka i spiżarnie z wypaczonymi, popękkanymi bielonymi drzwiami. Ponieważ okna umieszczono dość

wysoko, panował tam lekki półmrok. Z sufitu zwisały lampy w kształcie kul. Mimo smrodku lunchów z mikrofalówki i brudnych kubków do kawy, wewnątrz zachowało autentyczny charakter. Stevie wyobraziła sobie kucharkę krzątającą się z pomocnicami.

– Tędy – wskazał Larry, prowadząc Stevie ku nieoznaczonym białym drzwiom na drugim końcu pomieszczenia. – Uważaj na schody. Są wypaczone.

Wielki Dom był tu mniej nierzeczywisty. W piwnicy – jak to w piwnicy – już u wejścia unosił się przesywający ostry odór, który Stevie poczuła aż w krtani. Wychodzone przez lata schody wydawały pod nogami rozpaczliwy okrzyk protestu.

– Od początku chciał mi pan pokazać – szepnęła Stevie, gdy schodzili.
– Prawda?

– Gdybym nie pokazał, wcześniej czy później trafiłabyś tu sama.
Stevie zarumieniła się z dumy.

– Łatwo się tu zgubić, więc się nie oddalaj – nakazał Larry.

Ledwie skręcili w prawo, wyrosła przed nimi ściana. Po jej prawej stronie znajdował się niewielki otwór prowadzący do pomieszczenia szerokości i długości metra. Za nim mieściła się komora o powierzchni około trzech metrów kwadratowych, wychodząca z każdej strony na podobną. Wszystkie cztery, zatopione w ciemności, oświetlało się żarówką, uruchomianą przez pociągnięcie za sznurek.

W fatalnym tygodniu poprzedzającym śmierć Hayesa Stevie poszła z nim do odkopanego niedawno tunelu. W klaustrofobicznych miejscach była dotąd już kilka razy. Piwnicę tę, znacznie przecież większą, pocięto na małe pomieszczenia ścianami z czerwonej cegły, zmieniając ją w istny labirynt.

– Co to jest? – zapytała Stevie, gdy przedzierali się przez płataninę komórek.

– Albert Ellingham – odrzekł Larry – był dziwakiem. Zapomina się, że był ekscentryczny. Grywał tu w rozmaite gry ze znajomymi,

przyjaciółmi. Niektóre z tych drzwi... – W tym momencie stanęli przed drzwiami. Larry uchylił je – skrywały ścianę z cegieł. – To żart. Aby utrudnić rozeznanie się w przestrzeni, wewnętrzne ściany regularnie burzył i przesuwiał.

– Niesamowite! – wykrzyknęła Stevie. – Ciekawe, czemu autorzy milczą na ten temat.

– Bo nikogo się tu nie wpuszcza – odparł Larry. – Poza tym te niedorzeczne ściany nie zostały ujęte w żadnych planach. Budował je dla picu. Osobiście bym je wyburzył; urządziłbym tę przestrzeń sensowniej.

W części komór przechowywano różne rzeczy. Pokażne pudła, dawne urządzenia, krzesła i elementy starych mebli. „Pewnie niełatwo było je tu wcisnąć”. Stevie spostrzegła w podłodze kilka metalowych włazów. By się im przyjrzeć, przyświeciła sobie telefonem.

– Co to takiego? – zapytała.

– Dawne składy. Trzymali w nich zapasy – jabłka, ziemniaki i przetwory w słojach. Te tutaj służyły za lodownię. Zimą wycinali bryły lodu i przykrywali je słomą. Przed zamrażarką używało się lodowni. Teraz...

Dotarli do jednego z większych pomieszczeń piwnicy – długości sześciu, a szerokości trzech metrów. W przybliżeniu. Ciągnęło się pod samo okno. Larry wyjął z kieszeni komórkę i włączył w niej funkcję latarki.

– Teraz – dokończył Larry – stoimy pod gabinetem Ellinghama. Ta ściana – rzekł, klepiąc dłonią w ścianę po ich lewej stronie – jest stała i nośna. A tu... – Chwilę wodził po ścianie światłem, a potem ręką, aż natrafił na to, czego szukał. Kiedy mocno nacisnął jedną z cegieł, rozległ się głuchy, tępy odgłos. Naparł na ścianę, która się poddała, odsłaniając wąski otwór drzwiowy na zawiasach. Stevie prędko przysunęła się do otworu, ale Larry powstrzymał ją ramieniem. – Możesz zajrzeć, choć za wiele nie zobaczysz.

Stevie zapuściła żurawia w smoliście czarny otwór. Smród pleśni i kurzu był tak koszmarny, że z miejsca zaczęła kichać. Wyjęła komórkę i przyświeciła sobie w mroku. Zobaczyła ledwie zarys korytarza, szerokiego na najwyżej sześćdziesiąt centymetrów, na którego drugim końcu majaczyły schody.

– A więc tak wydostała się Ellie? – zapytała. – Wyszła z gabinetu ukrytymi drzwiami?

– Właśnie tak się wydostała. Schodami i przez ten otwór. Tam. – Larry wskazał okno. Pod ścianą piętrzyło się kilka pudeł. – Pudeła stały pod samym oknem, które było lekko uchylone.

Stevie chwilę patrzyła na małe okno. Uwalane ziemią, całe w pajęczynach, zakrywała od zewnątrz kratka.

– Ale jak? Skąd wiedziała?

– Nie mam pojęcia – odparł Larry. – Ludziom zdarza się wchodzić do piwnicy, ale, o ile mi wiadomo, tego korytarza nie znalazł jeszcze nikt.

– Czyli wyszła oknem – rzekła Stevie, spoglądając w górę. – W jaki sposób pokonała kratę?

– Kraty zamykają się na haczyk – wyjaśnił Larry, pokazując, w którym miejscu. – Tu, od środka; otwiera się, no i podnosi. Tak to wykryliśmy.

– Więc idzie korytarzem, zbiega po schodach, coś tu podstawia, otwiera okno, potem kratkę i się wydostaje. To wszystko niby w ciągu pięciu minut...?

– Z grubsza.

– Czyli miała nad panem pięciominutową przewagę. A to wszystko musiało zająć jej pięć minut, więc na bieg spod budynku, nim pan za nią ruszył, miałaby góra dwie minuty.

– Mniej więcej – odpowiedział Larry. – Najpierw poszliśmy do piwnicy, trzeba było zebrać ludzi. Więc faktycznie dostała kilkuminutowe fory.

– Jak pan sądzi, dokąd poszła, pojechała? Nie miała nic oprócz płaszczka. Była bez gotówki. Myśli pan, że wzięła komórkę?

– Nikt z niej nie dzwonił, więc nie sposób jej zlokalizować. Wyłączyła ją albo gdzieś porzuciła.

– Co, pana zdaniem, mogła zrobić? – spytała Stevie.

– Prawdopodobnie powędrowała drogą. Wprawdzie poszliśmy tam od razu, ale pewnie przecięła las. Policjanci przeszukali miejsca odpoczynkowe przy autostradzie, mieli na oku autobusy. Jakimś fuksem je ominęła. Myślę, że ma znajomych w Burlington. Może ktoś z nich przyjechał i ją zabrał. Tak przypuszczam.

– Nie pożarł jej niedźwiedź? – zapytała Stevie.

– Nie jest wykluczone, że wpadła na niedźwiedzia, ale niedźwiedzie rzadko atakują ludzi, a nawet gdyby, znaleźlibyśmy przecież szczątki. – Powiedział to tak nonszalancko, że Stevie ogarnął niepokój. – Pewnie się znajdzie – dodał po chwili. – Rodzice Element mieszkali w komunach. Może dotarła do którejś i teraz przeczekuje. Takich miejsc jest w okolicy pełno. Ale człowiek w końcu się ujawnia. Nikt nie chce ukrywać się bez końca. To nie leży w ludzkiej naturze.

„Nikt nie chce ukrywać się bez końca”.

– Mogłabym o coś zapytać?

Larry dał jej do zrozumienia miną, że skoro wypytuje, odkąd wyszli z hallu, niech wypytuje dalej.

– Jak zachowują się winni? – spytała.

– Z reguły kłamią – odpowiedział Larry. – Jedni poddają się na wejściu, a inni kłamią w żywe oczy, cynicznie i do upadłego.

– Ale czy zachowują się w szczególny sposób? Robią coś, co ich zdradza?

– Poniekąd – odparł Larry. – Nie tyle oni się zdradzają, ile ty zauważasz, że coś nie gra. Z czasem człowiek nabiera doświadczenia. Ale sobie nie należy ufać. Trzeba opierać się na dowodach. Choćbyś miała największą intuicję, najważniejsze zawsze będą fakty.

– Nie powinno się kierować uczuciami – spuentowała Stevie.

– Orzekając winę, bezwzględnie nie. Ale uczucia nieraz pomagają. Mogą na przykład ochronić przed zranieniem.

Wypowiedział to w nieco uszczypliwy sposób.

– Czy Ellie sprawiała wrażenie winnej? – zapytała Stevie.

– Sprawiała wrażenie... wystraszonej – odparł Larry. – Co zresztą wcale mnie nie dziwi. – Na sekundę zapadła między nimi cisza, jakby w powietrzu zawisły strzępy strachu Ellie. – Posłuchaj, Stevie. Nie wiemy, co się stało. Ale skłaniam się ku myśli, że to był wypadek, chybiony żart albo coś takiego. Z tego, co wiem, Ellie i Hayes współpracowali, zdobyli ten suchy lód razem. Według mnie wdawali się w rzeczy, w które wdawać się nie powinni. Bez względu na to, co zeznała, bez względu na to, co zaszło, nie sądzę, żeby zrobiła to rozmyślnie. Jeśli to zrobiła. Nie uważam jej za osobę niebezpieczną. Nie masz powodu do obaw. Zwłaszcza że szkoła jest na podsłuchu. Teren jest oświetlony, są kamery. Wszystko, o czym marzyłem latami. Nie zbliży się do ciebie. Ja na to nie pozwolę.

Stevie popatrzyła na Larry'ego i raptem zachciało jej się płakać. Coś w niej pękło. „Z wdzięczności, czy też z tłumionego lęku?” Zacisnąwszy dłoń, zawróciła do mrocznej części pomieszczenia, do wilgotnego labiryntu. „Tyle tu zakamarków, w których można się zagubić. Pogubić się w życiu. Tyle ciemnych kątów”.

Znowu podeszła do małego okna. Ciasnego tak, że ledwie można było się w nim zmieścić. „Taka ucieczka wymagałaby... brawury. Ellie więc nieźle się sprężyła”.

Larry pouczył ją, by wróciła trasą, którą przyszli, oświetloną ścieżką. Pociągnął za sznurek i w komorze pociemniało. Tylko przez okno wpadała odrobina światła, jak spod przymkniętej ciężkiej powieki.



Wychodząc z Wielkiego Domu, Stevie spostrzegła w fontannie Neptuna coś nowego. Siedział w niej David, którego głowę zalewały

strugi wody z otwartych pysków potężnych przyjaciółek boga deszczu.

– To się nazywa „domaganie się uwagi” – rzekła, podchodząc do Davida.

– Niedługo wyłączą ją na zimę. – David łyknął solidny haust wody.

– Jest chociaż czysta? Nadaje się do picia?

Chłopak wzruszył ramionami. Po czym wstał, ociekając wodą, i wylazł z fontanny. Wsunął ręce do kieszeni szortów – i jakby nigdy nic ruszył ze Stevie.

– Polecam terapię – rzekła Stevie. – Działa.

– Próbowałem. Zawsze kończy się na płaczach. Chyba pomogłem im doświadczyć przełomu. Serio. Długo tam byłaś. Co ty kombinujesz?

– Śledziłeś mnie?

– Nie śledzę – odparł. – Zwyczajnie się interesuję. Co tam robiłaś?

– Oglądałam.

– Co?

– Piwnicę.

– Co zobaczyłaś?

– Labirynt – odrzekła. – Piwnica jest przedziwna. Ale jest jasne, jak Ellie się wydostała. Przebiegła korytarz, a później wyszła oknem.

– To wiadomo – odparł David. – Pytanie brzmi: co się stało później?

– Nie znam odpowiedzi. Próbuję to ogarnąć. Chciałeś, bym się rozejrzała, więc się rozglądam.

David zadrżał w mokrej bluzie. Jesień – wprawdzie jeszcze ciepła – nie sprzyjała przechadzkom w przemoczonych do cna ciuchach. Stevie nie umknęło, że David ją śledzi – a cyrkiem z fontanną chciał ją oszołomić. I dopiął celu. Wprawił ją w zdumienie, a całkiem mokry wyglądał zjawiskowo.

– Więc rób to szybciej – odpowiedział.

„Edward King stwierdził w samolocie, że grzeczna rozmowa to łatwizna. David przypomina ojca nawet głosem. Ich słowa się różnią, ale

tembr jest identyczny... Jad Kinga dosięga wszystkiego” – pomyślała Stevie.

- To nie przeze mnie – odwarknęła.
- Nie sugeruję tego – odpowiedział. – Tylko że czas mija.
- To nie moja wina.
- Nie twierdzę, że...
- Ale tak się zachowujesz – odrzekła Stevie, odchodząc.

Wprawienie się w złość okazało się nad wyraz proste. „Muszę się zniechęcić – nie widywać go, a w jego obecności nie czuć tego, co czułam do tej pory. Koniecznie trzeba się wyzbyć pożądanego”. Sprzeczką to wprawdzie nie najgorszy sposób, jednak nie działa tak, jak by się chciało”.

Poza tym Stevie dręczyły dwa pytania: Czy David ją winił? Czy winili ją wszyscy?



– Słowo „anatomia” – powiedziała Pix, zapisując je na tablicy – pochodzi od greckiego *anatomé*. Przedrostek *ana* znaczy „roz-”. Rdzeń to „cięcie”. „Dyseksja” ma pochodzenie łacińskie. *Dis* tak samo oznacza „roz-”, a *secare* – „cięcie”. Tak więc anatomia i dyseksja są powiązane leksykalnie i praktycznie. Aby zrozumieć, jak działa ciało, trzeba dostać się do środka i zajrzeć.

Piątkowy poranek przywiódł Stevie na pierwsze zajęcia, to jest anatomię i fizjologię prowadzone przez Pix. Anatomia należała do przedmiotów, na których naukę w Akademii Stevie cieszyła się najbardziej, jako że wiązały się z jej zainteresowaniami. Realizując program, dotarli do sekcji, toteż musieli się przenieść do laboratorium. W związku z czym dostał jej się nowy partner – Mudge, ten z barwionymi soczewkami.

– Podejdźcie – nakazała Pix – i weźcie instrumenty. Następnie zanieście je z sercami owiec na stanowiska.

Stevie niechętnie podniosła jedną z tacek, na której leżały przygotowane skalpele, nożyczki i zgłębniki. Sięgnęła do lodówki i wyjęła zapakowane próżniowo serce owcy, ciemnoczerwone, prawie czarne.

– Wolisz ciąć czy rysować? – spytał Mudge.

Stevie spojrzała na serce. Wyglądało jak ugotowany burak w folii. Mimo że uwielbiała wkładać rękawice, teraz całkiem odeszła jej na to ochota.

– Rysować – odparła.

– Super.

Kiedy oboje włożyli rękawice, Mudge wziął serce i rozciął opakowanie.

– Lubisz anatomię? – zapytała Stevie.

– Ubóstwiam – odpowiedział szeptem Mudge.

– Chcesz być lekarzem?

– Chcę pracować w Disney World.

Stevie podniosła wzrok na Mudge'a, dryblasza o farbowanych na kruczoczarno włosach, w fioletowych soczewkach kontaktowych oraz pieszczochach i bransoletkach.

– No co? – nie zrozumiał.

– Disney World. Dlaczego?

– Uwielbiam Disney World. Zobacz. – Mudge pochylił się i chwycił za kołnierz bluzy Slipknot. Miał weń wpięty emaliowany znaczek z Myszka Miki. – Był w sprzedaży tylko przez rok – oznajmił. – Kolekcjonuję takie. Zebrałem blisko setkę. – Wyprostował się. – Dlatego nie mam tatuażu. Członkowie obsady mogą mieć tylko niewidoczne.

– Chcesz być w obsadzie? – zdumiała się Stevie. – Znaczy... odgrywać Myszka Miki?

– Obsadą – odparł – nazywa się tam pracowników. Docelowo chcę zostać kreatorem, ale na początek będę obsługiwał zwiedzających. Gdzie najpierw naciąć?



Po wyjściu z zajęć, wciąż cuchnąca sekcją, Stevie natknęła się pod budynkiem na Davida. Czekał tam na nią, w przeciwsłonecznych okularach, z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Cześć, Scooby – rzucił. – Doznałaś olśnienia?

Od minionego wieczoru, gdy rozmawiali o piwnicy, Stevie nie przyszło do głowy nic nowego.

– Jak już mówiłam, najprawdopodobniej przeszła przez korytarz, podstawiała sobie coś, no i wylazła oknem.

– To nic nowego – odrzekł David. – Ciekawe tylko, że Ellie nigdy nie wspomniała o panneau z tajnym przejściem w ścianie. Dzieliliśmy się takimi odkryciami.

– Wiesz o innych miejscach? – zainteresowała się Stevie.

– Wiem sporo – odparł z uśmiechem. – Jak będziesz grzeczna, może też się dowiesz. Powstaje pytanie: Jak zniknęła, kiedy stamtąd wyszła? Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności?

– A co ty byś zrobił na jej miejscu? – zapytała Stevie.

– Mogła się schować – odrzekł David. – Od początku takie mam przeczucie. Pewnie schowała się, by pomyśleć, co dalej. Kryjówek w szkole raczej nie brakuje... Ale zamknęli ją, więc w jaki sposób... Bez płaszcza, komórki. Sam nie wiem. Skądś gdzieś może zadzwoniła. Nie rozumiem tego, nic mi się nie klei. Ale... chyba muszę iść na matkę.

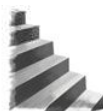
– Idziesz na matkę? – zdziwiła się Stevie.

– Pokazuję się czasami – odpowiedział. – Trzymam Shorty'ego w gotowości. Doktor Short mnie kocha. Wszyscy mnie kochają. Jestem rozkoszny.

Podniósł okulary i mrugnął do niej, po czym odwrócił się i poszedł na zajęcia.

„A to co ma znaczyć? Chyba sobie wyobraża, że znowu się przyjaźnimy”.

Stevie otrząsnęła się z zakłopotania i ruszyła do Wielkiego Domu. Miała robotę.



Strych Ellinghamów emanował magią. Olbrzymi, bo zajmujący całą powierzchnię pod dachem Wielkiego Domu, był najbardziej odosobnionym miejscem na kampusie. Jego wnętrze spowijał półmrok, bo okna zasłonięto żaluzjami. Tu właśnie, na niezliczonych metalowych półkach, spoczywały resztki bujnego życia posiadłości. Stevie przechadzała się między regałami, chłonąc ciszę. Wokół unosił się nikły zapach kurzu, uwięzłego w fałdach aksamitu, pokrywającego lustraniczym świeżo spadły śnieg. Wszystko tutaj trwało niby zatrzymane w czasie.

Spacerując po strychu, żeby znów się z nim oswoić, Stevie stwierdziła, że wiele zgromadzonych tu przedmiotów to rupiecie. „Porządne, ale rupiecie”. Patrzyła na pudła pełne klamek. Stosy talerzy. Skrzynie ze starymi mundurami. Chciała jeszcze raz zobaczyć pewne rzeczy, na przykład te z gabinetu Alberta Ellinghama, niewiele warte dla muzeów czy archiwów. Telefony, kable, szpargały. Otworzyła pudło, w którym, będąc tu poprzednio, natknęła się na blankiet depeszy z zagadką zapisaną przez Ellinghama w dniu jego śmierci: „Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba”.

Szperając w pudle, zerknęła do notatnika, by nie umknęła jej żadna z rzeczy, o znalezienie których poprosiła ją Fenton. Pudło zawierało szklane przyciski do papieru, zszywki, papier firmowy, taśmę do maszyny do pisania Smith Corona, najwyższej jakości stalówki F. B. Bridges, drut do aparatu nagrywającego Webster-Chicago^[6], rolki do maszyny liczącej Burroughs... Wszystko to – przydatne kiedyś i powszechne, dziś było zbędne, bo już przestarzałe.

Stevie usiadła na podłodze i przeczytała cały notes Fenton. Miała sprawdzić trzysta siedem rzeczy. Potwierdzenie barw, tkanin i wzorów oraz liczby pokoi połączonych drzwiami okazało się względnie proste. Dla weryfikacji części punktów z listy profesorki Stevie musiała przekartkować wiele tomów raptularza. „Przyziemne to, a miejscami wręcz kretyńsko drobiazgowo, no ale śledztwo i pewnie też pisanie książki wymaga bardzo szczegółowej analizy”. Otworzyła w laptopie

dokument Worda i naszkicowała strategię ataku, zestawiając kolejne pozycje w taki sposób, by mogła ich szukać równocześnie. Nie bez trudu sporządziła siedem spisów, pogrupowała swoje działania. Taka praca zawsze ją uspokajała, pomagała jej pozbyć się natłoku myśli. Rozłożyła na czynniki pierwsze, poszeregowała, spisać. Wprowadziwszy ład w niechlujne notatki Fenton, Stevie stwierdziła, że do pierwszej listy zabierze się od razu – i pozdejnowała z półek kilkanaście tomów raptularza.

Odnutowano w nich domową rutynę Ellinghamów: sprawunki, posiłki, prace. Mięso przywożone było w poniedziałki i czwartki, ryby cztery razy w tygodniu, a nabiał (masę nabiału) codziennie. Zimą sprowadzano z Florydy pomarańcze i cytryny. Artykuły spożywcze, warzywa i przedmioty domowego użytku przywożono czasem trzy razy dziennie. Wielkie sprzątanie ciągnęło się nieskończoność. Służba wraz z rzeszą miejscowych myła okna i patia, polerowała kilometry palisandru, odkurzała góry marmuru, czyściła kominki, rąbała i układała drewno, zwoziła lód do lodowni i naprawiała wszystko, co wymagało naprawy. Zatrudniano też niewielką armię ogrodników, którzy mieli za zadanie sadzić, pielęgnować i podlewać rośliny na zboczu. Do tego jeszcze kilkaset osób, które pracowały nad budową szkoły. Akademia Ellinghama znaczyła dla miejscowych bardzo wiele – w jej powstaniu mieli swój udział niemal wszyscy. Lokalny handel był uzależniony od położonej na odludziu szkoły i jej ekscentrycznego właściciela. Mieszkańcy okolicznych wiosek przyczynili się do realizacji jego marzeń, on zaś sowicie im się za to odwdzięczał. Gdyby stało mu się coś złego, ucierpieliby tu absolutnie wszyscy.

„Wydaje się uzasadnione, że ktoś pragnął śmierci Antona Vorachka. Miejscowi znali rodzinę Ellinghama, byli od niej uzależnieni. Wielu miało dostęp do przynajmniej części gruntów. Wątpię, żeby znali tunele, ale pracownik lodowni znał piwnicę, dostawca kuchni, a sprzątaczkę wewnątrz domu. Na sto procent opowiadali o swej pracy innym”.

Stevie wyłączyła laptop i przymknęła oczy. „Pióro. Strzęp materiału wyszytego paciorkami. Szminka. Para niedoszłych gangsterów. Co to wszystko znaczy? Czy Francis i Edward z kimś się porozumiewali? Czy współdziałał z nimi ktoś spoza szkoły?”

Na te pytania nie miała jeszcze odpowiedzi.

Otrzeptała się i znów rozejrzała. „Czas odwiedzić starych przyjaciół. Gdzieś tu jest niedawno odnalezione pudło gazet, które Albert Ellingham ukrył w tunelu. Mogą zawierać przydatne informacje...” Nie mogąc go znaleźć, Stevie przeszła na drugi koniec strychu, do największego z kryjących się tu skarbów – wielkiego kopca o średnicy dwóch metrów, przykrytego kapą. Zdjęła ją ostrożnie.

Przed oczami miała idealną miniaturową replikę Wielkiego Domu. Wykonaną dla Alice Ellingham po jej zniknięciu.

Dom dla lalek zbierał kurz i czekał na jej powrót. Stevie odszukała ukryty przycisk i, otworzywszy domek, zaczęła oglądać pomieszczenia w ich kształcie z lat trzydziestych. W kuchni kucharki uwijały się nad maleńkimi garnkami. W pokoju Iris stało łóżeczko ze starannie poskładaną atlasową pościelą i toaletka pełna grzebyków i buteleczek perfum. Stevie niczym bogini ogarniała baczny spojrzeniem dawne sypialnie, utrzymane w wiejskim stylu kafelkowane łazieneczki. Wreszcie gabinet Alberta Ellinghama z kopiami krzesel, biurka, chodników, a nawet przedmiotów, które przed chwilą miała w rękach.

Podniosła laleczkę Ellinghama, bo i ona była w gabinecie. Porcelanowa, z ruchomymi stawami, posłusznie wyginała się w jej dłoniach. Na twarzy magnata malował się dobrotliwy uśmiech... Dom dla lalek miał w sobie coś niepokojącego. „Pewnie dlatego go nie wystawiano”.

Dzień przygasał. Strych pogrążył się w mroku. Z myślą, że chyba już czas na kolację, Stevie odłożyła laleczkę na miejsce. Po drodze spojrzała przez północne okno wychodzące na szopę i niewielki parking. Stały tam tylko dwa – bardzo drogie – samochody. Do czerwonego, sportowego zmierzała, zmieniając okulary, doktor Quinn. Stevie

stwierdziła, że pasuje do niej pojazd przywodzący na myśl szosę w Alpach lub na Lazurowym Wybrzeżu. Zamiast jednak skupić się na parkingu, powędrowała wzrokiem ku górcom w dali. „Skąd pomysł, by zbudować tę szkołę? Wziąć szczyt nietknięty przez człowieka i wznieść na nim małe imperium... Albert Ellingham miał obsesję na punkcie bogów, bogiń. Czy więc pragnął stworzyć sobie Olimp, osiąść część ziemi i nieba?”

Słyszając buczenie komórki, Stevie wyjęła ją z kieszeni. Był to esemes z nieznanego numeru.

„Ufam, że ci się układa. EK”.

Edward King dawał znać, że żyje. Że nie spuszcza jej z oka. Esemes był jak klepnięcie w ramię. „Nie dawałam mu numeru, ale właśnie o to chodzi – mówi mi, że ma go bez proszenia. Po prostu ma go, bo tak mu się podoba”.

– Zabawimy się? – spytała komórkę.

Ale nie wiedziała, jak mu się postawić. Mogła tylko skupić się na liście, na pracy. King nie posiadał jej – tylko wypożyczył ją do pewnych celów.

„Trzeba będzie to sobie powtarzać” – pomyślała.



Kampus z wolna zagarniała późna jesień. Barwy pejzażu zmieniały się co wieczór, zieleń liści stopniowo zasnuwało złoto. Obrastające budynki pnącza ni stąd, ni zowąd wybuchały czerwienią. W oknach, na progach, we wnękach zaczęły się pojawiać dynie. Kiedy noce wdzierały się w dni coraz głębiej, Stevie ponownie oswoiła się z rytmem szkoły, szkoła zaś znowu przywykła do jej obecności. Pokój Stevie zrobił się przytulniejszy. Pachniał bardziej znajomo – jej kołdrą i firmowym proszkiem do prania Akademii (brudne pranie zabierano w worku, po czym zwracano czyste i poskładane), przypominającym zapachem dym z kominka w świetlicy.

Stevie starała się nadrobić zaległości i bodaj przez tydzień wydawało jej się to wykonalne. Poczowała się pewnie, przesiedziawszy którąś noc nad hiszpańskim. Uzupełniwszy braki w wiedzy w ciągu zaledwie kilku godzin, stwierdziła, że chyba jest genialna. Euforia opadła, gdy dotarło do niej, że nie zna kilku układów narządów, nie przeczytała czterech angielskich powieści, a wypracowania o prezydenturze Hardinga prawdopodobnie nie napisze nigdy.

Zrobiła jednak postępy, jeśli chodzi o współpracę z Fenton. Przesiadując godzinami na strychu, mozolnie sprawdzała kolejne punkty z listy. Gdyby nie Fenton, nie powstałoby jej w głowie, że szczegóły sprawy Ellinghamów mogą być śmiertelnie nudne.

Dziś, w halloweenowy poranek, Stevie znów jechała autobusem, wioząc pierwszą pracę, którą ukończyła pomyślnie, odkąd przekroczyła

próg Akademii. W związku z tym osiągnięciem dopisywał jej całkiem niezły nastrój.

Przed wyjazdem do Burlington Stevie musiała zapewnić Janelle, że zdąży z powrotem na Halloween party. Halloween zawsze budził w niej sprzeczne uczucia. Miał dobre strony – seriale o prawdziwych zbrodniach dostawały nagle kopa, a skradanie się po ciemku traktowano mniej niechętnie. Ale niezbyt lubiła się przebierać. Pierwszy problem stanowiło bycie „śliczną”. Prześladowało ją to, odkąd pamiętała. Gdy była dzieckiem, w każdy wieczór trzydziestego pierwszego października wciskano ją w strój disneyowskiej księżniczki wbrew jej woli. „Wyglądasz ślicznie” – mówiła mama, przypinając agrafkami poliestrową sukienkę do grubego ubrania Stevie. „Nie chcesz być księżniczką?”

Stevie nie chciała być księżniczką. Nie miała pojęcia, czym są księżniczki ani co właściwie robią. Jej prośby o przebranie całkiem innej księżniczki, Lei, mama odrzucała, nie wiadomo czemu. Stevie pokazywała palcem rozmaite inne kostiumy w sklepie – ducha, pirata, banana. Ale na nic. Za każdym razem niezmiennie przebierano ją za słodką księżniczkę z kreskówki.

Janelle Franklin traktowała Halloween poważnie. Przygotowywała się do niego ze starannością właściwą wszelkim jej poczynaniom. Stevie patrzyła, jak przez cały tydzień tworzy kawałek po kawałku kostium Wonder Woman, szyjąc, ozdabiając, przycinając styropian, malując farbą w sprayu i klejąc na gorąco. Nieraz dzwoniła do Stevie z prośbą o pomoc, a kiedy pracowały, maglowała ją, za co lub za kogo chce się przebrać. Nie mieściło jej się w głowie, by w tym dniu można było nie włożyć kostiumu i nie wyjść na imprezę.

– Dzięki Halloween możesz się wcielić, w kogo zapragniesz – orzekła Janelle, gdy Stevie przyklejała do jej gorsetu złote „W” ze styropianu. – Nie trzeba być sexy. To szowinistyczne bzdury. Jestem Wonder Woman, bo ją ubóstwiam. A ty kogo wielbisz?

– Pracowników bazy danych DNA – odpowiedziała niepewnie Stevie, sprawdzając, czy „W” się trzyma.

– Okej. A jacyś detektywi? Sherlock Holmes...?

Stevie wzniosła oczy ku niebu.

– Co jest nie tak z Sherlockiem Holmesem? – zapytała Janelle.

– Nic – odparła Stevie. – Ale przecież to nie kostium, tylko...

Zamachała rękami, dając do zrozumienia Janelle, że nie wypada przebrać się za najsłynniejszego fikcyjnego detektywa świata, na którego metodach oparto masę technik śledczych – i że nie wolno sprowadzać tej postaci do płaszcza albo kapelusza. Janelle ostrożnie odsunęła jej rękę z pistoletem do kleju na gorąco.

– Wymień innego – nie dawała za wygraną Janelle.

– Oj, nie wiem... Herkules Poirot.

– Świetnie! – zawołała Janelle. – Super. Przebierz się za niego.

Budżet Stevie na przebranie wynosił dziesięć dolarów, chciała jednak wydać jak najmniej. Uczniowie otrzymali zgodę na korzystanie z kostiumów szkolnego teatru. Tam właśnie znalazła garnitur nie tak wytworny wprawdzie jak stroje belgijskiego detektywa, ale nie najgorszy. Stwierdziła, że zaczesze włosy gładko do tyłu i włoży kapelusz. Vi obiecała jej pożyczyć spray przyciemniający. Wąsiki kupiła Stevie w internecie. Przed wyjazdem na spotkanie z Fenton ułożyła to wszystko na łóżku. Dziś wieczorem miała zagrać detektywa. Teraz zaś starała się nim być.

Fenton mieszkała w centrum Burlington, w dzielnicy uniwersyteckiej. Przy jej ulicy stały okazałe wiktoriańskie domy, które dawniej należały do zamożnych rodzin. Okalające je obszerne werandy wychodziły na jezioro Champlain. Kilka wspaniałych budynków z cegiel zaanektowała uczelnia. Inne – wielkie, o nieregularnych bryłach, różnokolorowe – zaadaptowano na mieszkania dla studentów, którzy na werandach umieszczali zamrażarki, fotele na biegunach i hamaki, a w oknach wieszali transparenty i gobeliny.

Maleńki szarozielony dom Fenton mieścił się między akademikiem a delikatesami. Jego duży przeszklony ganek wypełniały sterty gazet, skrzynki po mleku i domowe odpady. Wśród tych ostatnich była masa butelek. Kilkanaście po winie, dwie po whisky, jedna po wódce. Stevie przypomniało się, jak Hunter podniósł i oglądał filizankę Fenton.

„Aha – pomyślała. – Jasne”.

Zza łuszczących się zielonych drzwi dobiegała muzyka tak głośna, że nim się otworzyły, Stevie musiała pukać przez minutę. W progu stanęła Fenton z niezapalonym papierosem w ustach. Miała na sobie stare dżinsy z wysoką talią i wyciągnięty czarny sweter.

– Cześć – rzekła, zaganiając do środka bosą stopą rudego kota. – Wejdz.

Stevie domyślała się, jak wygląda dom Fenton, a mimo to się zdziwiła. Unosiła się w nim mieszanina woni dymu z papierosów, kociego moczu i odpadków oraz świecy zapachowej, która, miast poprawić, pogarszała sytuację. Weszły do salonu przypominającego bezładną bibliotekę. Książki na półkach. Stosy książek pod ścianami. Książki na okrągłym stole pośrodku. Książki porozrzucane na krzesłach. Stevie zobaczyła duży telewizor i szafkę pełną płyt DVD. Wszędzie kieliszki, kubki i szklanki, nieokreślone zwitki folii aluminiowej. Poza tym chyba rzeczy Huntera – płaszcz, tenisówki, kilka książek o ochronie środowiska. Ogarniając wzrokiem pokój, Stevie zauważyła jeszcze dwa koty. Odór był tak nieznośny, że mimo starań, nie opanowała odruchu przysłonięcia nosa.

– Coś nie w porządku? – spytała Fenton, przekrzykując muzykę.

– Nie...

Fenton wyłączyła płytę i nagle zapadła głucha cisza.

– Lubisz Rolling Stonesów?

– Yyy...

– Najlepsza kapela na ziemi. *Exile on Main Street*. Najlepszy album na świecie. Bezdyskusyjnie. Śmierdzi tu? Bo Hunter wciąż mi to powtarza.

Straciłam węch lata temu. Otwórz okno; może coś gnije. Chodźmy do gabinetu.

Zatykając (niezapalonego) papierosa za uchem, Fenton wskazała Stevie przeszklone drzwi zasłonięte bambusową roletą. Gabinet przeszedł najśmielsze oczekiwania Stevie. Prawie cały zajmowało ogromne orzechowe biurko, na którym stała lampa z zielonym abażurem. W kącie kulił się sfatygowany skórzany fotel. Prócz licznych książek, poukładanych w niskie schludne stosy, były tam kartonowe pudła i metalowe szafki na dokumenty. Ale to ściany przykuły całą uwagę Stevie. Na jednej wisiały czarno-białe fotografie osób, które przebywały w domu w dniu porwania. Poza tym zestaw zdjęć Vorachka, a także fotografie domu i terenu oraz mapy – nowe i dawne. Najbardziej zaintrygował Stevie świetnie zachowany, choć wydrukowany na zdumiewająco cieniutkim papierze, jakby nasmarowany granatowym tuszem plan autostrad Vermontu. Wiele miejsc było oznaczonych pineskami.

– Autentyczna mapa drogowa z 1935 roku – oznajmiła Fenton.

„Tablica. Najprawdziwsza policyjna tablica. Brak tylko nici łączących te punkty”.

– No i – zapytała Fenton – jak ci idzie?

Stevie podsunęła jej notatnik.

– Zweryfikowałam dwieście dziewięćdziesiąt z trzystu siedmiu pozycji – odrzekła. – Kilku rzeczy brakowało. Nie odszukałam jednego wzoru na porcelanie, który panią interesuje.

Fenton prychnęła i przekartkowała notatnik, nawijając siwy lok na palec.

– Chcę to przeczytać – powiedziała. – Idź do kuchni i weź sobie colę albo co.

Odprawiła Stevie machnięciem ręki. Przechodząc przez salon, Stevie zatrzymała się przy jednej z kanap, by pogłaskać rudego kota. Kocia sierść zaścielała kanapę tak gęsto, że jej kolor był prawie niewidoczny.

Na podłodze było pełno plam po kocich odchodach oraz popiołu i strzępków papieru. Wszędzie mokre ślady po naczyniach. Wbrew przeczuciom Stevie kuchnia nie wyglądała najtragiczniej. Fenton zadbała o porządek, gromadząc brudne kieliszki przy zlewie. Na podłodze obok kosza na śmieci stało kilka butelek po winie i pudełko po pizzy. Otwarcie lodówki dobrze nie wróżyło. Wychowana przez dwoje sztywniaków, nieuznających zapachów, smug ani choćby plamek w kuchni, Stevie wiedziała, że z lodówki buchnie smród przedatowanych albo źle zamkniętych potraw.

Szczęśliwie w skrzynce na podłodze stało kilka butelek z ciepłą colą. Stevie wzięła jedną, otworzyła i przed napiciem się wytarła ją w rękaw. Ledwie zerknęła na tytuły książek piętrzących się na stole i otworzyła historię o Rozpruwaczu z Yorkshire, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do domu.

– Hej! – rozległ się głos.

Pochyliwszy się, zobaczyła, jak Hunter opiera kulę o ścianę, zrzuca plecak i zdejmuje kurtkę puchową. Wyprostowała się, speszona, że jest w jego domu i popija jego ciepłą colę, mimo że nikt jej tego nie zabraniał.

– Limonek nie znalazłem! – krzyknął chłopiec. – Ale kupiłem wędlinę... – Wszedł do kuchni i zamrugał zaskoczony. – Hej – powtórzył. – O, sorry, cześć.

– Hunter? – ryknęła Fenton.

– Taaak?

– Daj Stevie colę!

Hunter się skrzywił, na moment zbity z tropu, bo zauważył, że Stevie już ją ma.

– Wybacz – rzekł. – Trochę tu brudno. Pracujecie?

– Ciotka przegląda to, co załatwiłam.

– A. Fajnie. – Hunter rozejrzał się, jakby zawstydzony, że wtargnął do własnego domu.

„Ma w sobie coś słonecznego. Jasne włosy. Ścięte zbyt krótko, pewnie tanio i na szybko, albo przez kolegę. Przez tę garstkę piegów wygląda młodziej” – pomyślała Stevie.

– Powiedz... – Usiadł. – Jak jest w Akademii?

– Rewelacyjnie – odparła. – Bezbłędnie.

– Jak się dostałaś?

– Napisałam do nich, że mam obsesję na punkcie wiadomej sprawy – odparła Stevie. – Nie przypuszczałam, że mnie przyjmą. No ale komuś się spodobałam.

– Według mnie masz to coś – rzekł Hunter. – Bo gdy ja złożyłem podanie, Hogwart nie odpisał.

Stevie uzmysłowiła sobie nagle, że dla kogoś, kto chciałby się znaleźć w Akademii, poczuć tamtą magię, jest osobą wtajemniczoną. A więc wzbudza zazdrość. Poczula się z tym dziwnie i nieprzyjemnie. Chciała powiedzieć coś, co pocieszyłoby Huntera, ale bała się, że zabrzmiałoby protekcjonalnie.

– Nie przejmuj się – uspokoił Hunter. – Nie wiązałem z tym wielkich nadziei. O Akademii usłyszałem od ciotki, no i po prostu postanowiłem spróbować.

Hunter uśmiechnął się półgębkiem i znowu się rozejrzał, jakby zdeprymowany wszystkim, co mówi.

– I tak myślę, że przyjęli mnie przez pomyłkę – powiedziała Stevie.

– Pewnie wszyscy tak mówią.

– Nie mówi tak nikt – zapewniła Stevie – poza mną. Może tak właśnie było. Moja przyjaciółka Janelle jest genialna. Mój przyjaciel Nate jest pisarzem. Każdy tam jest kimś.

– Ty też jesteś – odpowiedział chłopiec.

– Ja lubię kryminały.

– Kto ich nie lubi? – spytał z uśmiechem.

– Masa osób.

– Ciemnota.

Teraz Stevie się uśmiechnęła.

– Brawo. – W drzwiach stanęła Fenton. – Zrobiłaś to szybciej, niż się spodziewałam. Moim magistrantom leniom zajęłoby to cały semestr. Chodź.

Hunter skrzywił się lekko, a Stevie wstała i poszła za Fenton z powrotem do gabinetu. Fenton zamknęła drzwi, po czym usiadła i przyjrzała się Stevie.

– Jesteś poważna – rzekła. – A ja to lubię. Sądziłam, że będziemy się opieprzać, ale teraz widzę, że popracujemy konkretnie.

„Czyli przez tydzień pracowałam pozornie?” – pomyślała Stevie.

– Przede wszystkim – powiedziała Fenton, wskazując ścianę pudeł z dokumentami – nie wstawiaj swoich odkryw do internetu. Cokolwiek tam wstawisz, od razu traci wartość. Przestaje być twoje, pamiętaj.

Wyjęła papierosa z za ucha i zapaliła go zapalniczką z biurka.

– Rozumiem, że zapoznałaś się z transkrypcją przesłuchania Vorachka?

– Oczywiście – odrzekła Stevie. Była to pierwsza rzecz, którą robili zainteresowani sprawą. Fenton wyciągnęła oprawiony egzemplarz zapisu przesłuchania, z którego wystawała setka karteczek samoprzylepnych. Polizała kciuk i otworzyła zapis na stronie zaznaczonej na niebiesko.

– Masz – powiedziała. – Przeczytaj od podkreślenia.

Było to zeznanie Marion Nelson, wychowawczynie z Minerwy. Oto linijki, które podkreśliła Fenton:

PROKURATOR: Panno Nelson, zechce pani nam powiedzieć, kiedy zorientowała się, że Dolores Epstein nie ma?

MARION NELSON: Tego dnia tuż po dwudziestej pierwszej.

PROKURATOR: Po dwudziestej pierwszej? Czy dla nieletniej to aby nie za późno na przebywanie poza miejscem zamieszkania?

MARION NELSON: W Akademii nie. Zgodnie z jednym z założeń dydaktycznych szkoły uczniowie mają pełną wolność nauki. Szkoła jest... wydawała się bardzo bezpieczna. Mogą więc czytać, bawić się, prowadzić eksperymenty, zgłębiać wiedzę kiedy tylko zechcą. Dottie wprost pożerała książki, często chowała się przed całym światem, by poczytać. Jednak z reguły przychodziła na kolację.

PROKURATOR: Tego wieczoru się zatem nie zjawiała?

MARION NELSON: Nie.

PROKURATOR: W którym momencie dotarło do pani, że zaginęła?

MARION NELSON: O świcie, gdy przyszli ludzie pana Ellinghama i nakazali nam spakować i przyszykować dzieci do wyjazdu.

– A teraz odtąd. – Fenton odebrała Stevie zapis i odszukała stronę z zeznaniem złożonym 22 lipca 1938 roku przez Margo Fields, miejscową telefonistkę, która łączyła rozmowy o okupie. Oto kolejny podkreślony fragment:

PROKURATOR: Panno Fields, 13 lipca 1936 roku pracowała pani w centrali telefonicznej Burlington. Zgadza się?

MARGO FIELDS: Tak. Byłam w pracy. Tak. Tak.

PROKURATOR: Od kiedy jest pani telefonistką?

MARGO FIELDS: W czerwcu minie sześć lat. Zaczęłam od razu po ukończeniu szkoły średniej. Nie wiedziałam, co chcę robić w życiu, ale mieli wakat, więc złożyłam podanie. Dostałam posadę, no i robię to do dzisiaj.

PROKURATOR: Co mogłaby nam pani powiedzieć o liniach telefonicznych, które dochodzą do Akademii Ellinghama?

MARGO FIELDS: Jest ich dużo. Siedem linii dochodzi do samego domu, a prócz tego wiele budynków ma własny telefon. Do posiadłości dochodzi w sumie aż szesnaście linii.

PROKURATOR: Siedem linii do głównego budynku?

MARGO FIELDS: Tak. Nie wiedziałam, że dom może mieć aż siedem linii, dopóki nie zjawił się u nas pan Ellingham! Siedem linii w jednym domu – toż to niewyobrażalne!

PROKURATOR: Zechce pani nam powiedzieć, dokąd one dochodzą?

MARGO FIELDS: No więc tak: jedna do pokoju pana Montgomery'ego. To kamerdyner. Jedna do kuchni. Jedna do pana Mackenziego – to sekretarz pana Ellinghama. Jedna do pokoju pani Ellingham, poza tym są: aparat dla gości, aparat zarządcy, no i naturalnie aparat pana Ellinghama. Większość rozmów

przychodzących lub wychodzących prowadzi pan Montgomery, pan Mackenzie albo pani Ellingham, chyba że jest przyjęcie, kiedy całą dobę używane są wszystkie aparaty. A pan Ellingham łączy się chyba z całym światem!

PROKURATOR: Wróćmy do popołudnia 13 kwietnia. O której godzinie zaczyna pani pracę?

MARGO FIELDS: Akurat wtedy miałam zmianę od siedemnastej. Przed tą zmianą zwykle jem lunch u Henry'ego. Na stanowisku usiadłam więc o siedemnastej i zmieniłam Helen. Helen Woolman.

PROKURATOR: Wysoki sędzie, przedstawiam dowód numer 56A. Panno Fields, czy jest to rejestr, do którego wpisuje pani połączenia?

MARGO FIELDS: Tak.

PROKURATOR: Czy może nam pani opowiedzieć o rozmowie telefonicznej, którą połączyła pani tego dnia o dziewiętnastej piętnaście?

MARGO FIELDS: Tak, mogę. Ten rozmówca telefonował z budki na rogu College Street i Church Street. Do pana Montgomery'ego. Połączenia między budkami a posiadłością są sporadyczne, no a ta stoi tuż przy targu, więc pomyślałam, że to pewnie dostawca czy ktoś taki. Ale się zaciekałam, wie pan.

PROKURATOR: Zechce pani opisać nam głos dzwoniącego?

MARGO FIELDS: Szorstki. Bardzo szorstki. Brzmiał cudacznie. Dzwoniący mówił przez rurę albo coś takiego. Choć ten aparat czasem dziwnie łączy.

PROKURATOR: Przypomina sobie pani coś jeszcze? W jakim sensie głos był cudaczny?

MARGO FIELDS: Ten człowiek mówił z obcym akcentem.

PROKURATOR: Jakim?

MARGO FIELDS: Nie amerykańskim. Chyba europejskim. Moja sąsiadka, pani Czarnecka, pochodzi z Warszawy, z Polski... Więc ten mężczyzna miał podobny akcent, ale czy taki sam, to nie wiem. Zostałam na linii tylko chwilę, dopóki pan Montgomery nie odebrał. Żałuję, że nie dłużej, ale tego się nie robi. Strasznie żałuję. Nawet sobie pan nie wyobraża. Ale nie wiem, co bym wtedy zrobiła.

PROKURATOR: Jak długo trwała ta rozmowa?

MARGO FIELDS: Pięć, sześć minut.

PROKURATOR: Co się działo później?

MARGO FIELDS: Następną rozmowa była wychodząca. O dziewiętnastej czterdzieści pięć. Pan Mackenzie poprosił o połączenie z... George'em Marshem. Ta rozmowa była jak każda. Pan Mackenzie zadzwonił do mnie potem z prośbą, bym tego wieczoru notowała wszystkie połączenia przychodzące, jak i wychodzące z domu. Jego głos brzmiał trochę dziwnie, w

każdym razie wspomniał, że panu Ellinghamowi jest to niezbędne z przyczyn zawodowych. Pan Mackenzie pytał też, skąd dzwoniło przed nim, więc mu powiedziałam. O dziewiętnastej wychodzę na półgodzinną przerwę kolacyjną, ale tego dnia zjadłam kanapkę na stanowisku, bo pan Mackenzie bardzo prosił, bym nie przeoczyła żadnego połączenia, a w centrali dokładamy starań, żeby pan Ellingham był zadowolony. Robi dla tych dzieci tyle dobrego. Pamiętam, że jadłam kanapkę z serem i konfiturą pomidorową. Ledwie ją ugryzłam, znowu ktoś zadzwonił.

PROKURATOR: Proszę nam opowiedzieć o innych rozmowach w tym dniu.

MARGO FIELDS: Więc tak. Zapisałam połączenie z Nowego Jorku z numerem pani Ellingham o dwudziestej zero trzy. Nie zostało ono odebrane. Wtedy nie wiedziałam dlaczego, teraz oczywiście wiem. Dzwoniono z Manhattanu. To połączenie miewałam dość często. Wydaje mi się, że to jej znajoma.

PROKURATOR: Według policyjnych ustaleń dzwoniła pani Rose Peabody, która faktycznie jest jej znajomą.

MARGO FIELDS: Tak – to połączenie nie było niecodzienne. Następne znowu wykonano z budki. Innej, więc, prawdę mówiąc, się zdziwiłam. O dwudziestej czterdzieści siedem. Z aparatu przy stacji benzynowej przy drodze numer dwa. Na pewno się pan orientuje. Tym razem zadzwoniono do pana Mackenziego. Jestem pewna, że był to ten sam dziwny głos, co wcześniej. Okropnie szorstki. Pan Mackenzie odebrał to połączenie. O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt znów łączyłam z panią Ellingham; tak jak poprzednio dzwoniło z numeru pani Peabody, z Nowego Jorku. Pani Ellingham rzecz jasna nie odebrała... Przed końcem dyżuru, o północy, zadzwoniłam do pana Mackenziego i odczytałam mu zapis tych połączeń.

PROKURATOR: Innych nie było?

MARGO FIELDS: Nie, to wszystkie.

PROKURATOR: Przychodzących, wychodzących, nawet między budynkami?

MARGO FIELDS: Bywają dni, kiedy linie posiadłości są nieustannie zajęte. Wieczorami na ogół jest spokojniej. Jeśli się nie mylę, pan Ellingham pojechał tego dnia do miasta, nic więc dziwnego, że łączyłam tak rzadko.

PROKURATOR: Tamten głos: zdołałaby go pani rozpoznać?

MARGO FIELDS: Chyba... Może. Brzmiał osobliwie. Yyy... nieodpowiednio.

PROKURATOR: Nieodpowiednio?

MARGO FIELDS: Trudno go opisać.

PROKURATOR: Sądzi jednak pani, że by go poznała?

MARGO FIELDS: Najprawdopodobniej.

PROKURATOR: Wysoki sędzie, chciałbym prosić, by oskarżony, pan Anton Vorachek, przeczytał coś na głos.

OBRONCA: Wysoki sędzie, zgłaszam sprzeciw.

SĘDZIA LADSKY: A ja się zgadzam.

PROKURATOR: Panie Vorachek, napisałem coś na tej kartce. Proszę przeczytać to głosem, jakim pan zazwyczaj mówi.

ANTON VORACHEK: Nie jestem komediantem. Nie zagram w waszym przedstawieniu.

SĘDZIA LADSKY: Zachowuje się pan niewłaściwie...

ANTON VORACHEK: Ten proces to farsa! Wszyscy jesteście marionetkami kapitalizmu!

SĘDZIA LADSKY: Panie Vorachek, proszę się pilnować, bo jeszcze chwila, a usunę pana z sali.

PROKURATOR: Wysoki sędzie, to mi wystarczy. Panno Fields, zna pani głos oskarżonego. Czy to ten sam, który słyszała pani wtedy?

MARGO FIELDS: Głosy to niełatwa sprawa. Łącząc rozmowy, słyszy się ich wiele, no i wtedy zauważa się szczegóły, subtelności. Niestety potem zlewają się w jeden, tak że naprawdę trudno je odróżnić. Mam wrażenie, że tamten człowiek... celowo mówił niewyraźnie. Cała ta noc była koszmarna. Oczywiście dowiedziałam się o tym potem. Ale... tak. To chyba ten głos.

PROKURATOR: Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań.

Stevie czuła, że lepiej nie pytać Fenton: „Co z tego?”. Spojrzała na nią w nadziei, że się dowie, do czego to zmierza.

– Telefonistka twierdzi, że między dziewiątą pięćdziesiąt a północą nie było już połączeń – rzekła Fenton. – A panna Nelson, że o porwaniu dowiedziała się nad ranem. Wobec tego posprawdzałam parę rzeczy.

Na rogu biurka leżał stos pożółkłych dokumentów. Po chwili szperania wydobyła właściwy.

– Mówiłam ci – ciągnęła – że mam coś nowego. – Przepytałam sporo osób. Zdobyłam bardzo ciekawe, bardzo istotne informacje. Między innymi natrafiłam na niejaką Gertie van Coevorden. Gertie van Coevorden była...

– Uczennicą z Minerwy – dokończyła Stevie.

– Właśnie. Zamożną. Chętną do rozmów na temat tamtej nocy. Zrobiłam z nią wywiad. Nagrałam i spisałam. Posłuchaj: „Noc była straszna, przeraźliwie mglista. Zebraliśmy się w świetlicy. W Minerwie wszyscy się przyjaźnili, troszczyli się o siebie nawzajem. Dottie nie wróciła, więc ogarnął nas niepokój. Była jedną z najdroższych mi osób. Ogarnęły mnie złe przeczucia, więc powtarzałam naszej opiekunce, pannie Nelson, że trzeba kogoś wysłać na poszukiwanie Dottie. Myślałam nawet, że pójde sama, gdy zadzwonił telefon na piętrze. Panna Nelson poszła go odebrać. Było przed dziesiątą, bo o dziesiątej nadawano w radiu lubianą przez nas audycję. Ale panna Nelson kazała nam iść spać i zaczęła zachowywać się przedziwnie. – Fenton podniosła wzrok znad notesu. – Telefonistka jakoby nie łączyła rozmów o dziesiątej. Więc przypomnijmy sobie, co zeznała Margo. „Prokurator: Przychodzących, wychodzących, nawet między budynkami?” A ona wcale mu nie przytakuje. Mówi: „Bywają dni, kiedy linie posiadłości są nieustannie zajęte. Wiezorami na ogół jest spokojniej. Jeśli się nie mylę, pan Ellingham pojechał tego dnia do miasta, nic więc dziwnego, że łączyłam tak rzadko”. To nie odpowiedź. Co więc tu mamy?

– Rozbieżność – odpowiedziała Stevie. – Gertie van Coevorden twierdzi, że był telefon, a według rejestru go nie było.

– Mamy też telefonistkę, która przed sądem odpowiada wymijająco. Unikając odpowiedzi, nie kłamie. Jak sądzisz, czyja historia jest prawdziwa? Gertie van Coevorden, która miała usłyszeć dzwonek telefonu, czy Margo Fields, która wykręca się od odpowiedzi?

Prostując się na krześle, Stevie zebrała myśli.

– Dlaczego dotąd nie brano pod uwagę, że według Gertie zadzwonił telefon?

Fenton uśmiechnęła się, przytykając palec do nosa.

– Słuszna uwaga. Bo nikt jej nie spytał. Najwyraźniej dołożyli wszelkich starań, by nie pytać Minerwian o telefony. Gertie van Coevorden nie poraża intelektem. Wątpię, by się zorientowała, że pominęli kwestię telefonu. Ale mnie to jednak nie umknęło.

– Czyli co? Ktoś dzwonił do Minerwy? Zgadzałoby się: poszukiwali Dottie.

– I tu masz rację – przytaknęła Fenton. – Czemu więc nie ma zapisu tej rozmowy? Odpowiedź znajduje się w planie budowy Akademii Ellinghama. – Podeszła do ściany obwieszanej czarno-białymi fotografiami domu i terenu. – Wiesz, że są tam tunele, prawda? Byłaś w najbardziej znanym. Ale są i inne. Dla bezpieczeństwa wiele zasypano ziemią albo zaplombowano, ale komuś, kto buduje tajny tunel, chodzi o to, żeby był on tajny. Przeznaczony do osobistego użytku. Według Gertie w Minerwie było wejście do tunelu.

– W Minerwie? – zdumiała się Stevie. – Przecież ja tam mieszkam.

– No i? Słyszałaś, żeby był tam tunel?

– Nic takiego do mnie nie dotarło.

– Gertie nie ma co do tego wątpliwości. Według niej odkryła go pewna uczennica. Miała wejść do niego i wrócić.

– Dokąd prowadzi?

– Jeżeli się nie mylę, na drugi koniec kampusu, w mało uczęszczane miejsce gdzieś tutaj. – Fenton wskazała okolicę sali gimnastycznej i stołówki.

– Co nam da jego znalezienie? – zapytała Stevie.

– Mam pewną teorię... – odpowiedziała Fenton. – Jeśli dowiodę, że tunel istnieje, nabierze ona prawdopodobieństwa.

– Co to za teoria? – spytała Stevie.

– Na razie ci nie powiem. Ale jeśli się sprawdzi i książka spełni moje nadzieje, usankcjonuję twój udział w dochodzeniu. To twoje zadanie. Zajmij się tunelem. Zrób rekonesans.

Stevie postanowiła przemilczeć, że wędrówki po tunelach nie są pochwalane. „Lepiej będzie tego nie poruszać. Dostałam formalne zlecenie”.

W salonie zastały Huntera, który głaskał rudego kota.

– Skończyłyście? – spytał. – Może cię podwiozę?

– Daj jej spokój – ucięła ostro Fenton. – Mają autobus. – Kichając, wyjęła ze sterty stary egzemplarz swojej książki.

– Proszę. – Wręczyła go Stevie. – To dla ciebie.

Stevie miała już książkę, a egzemplarz był pożółkły, mimo to go przyjęła. Fenton wyszła do kuchni, widząc uznawszy spotkanie za skończone.

– Z tym podwiezieniem... – rzekł Hunter. – Nie chciałem się narzucać. Nie gniewaj się. Bywa... gwałtowna.

– Nic się nie stało – odrzekła Stevie. – Na kampus zresztą i tak nie wpuszczają obcych.

– No przecież – odparł, czerwieniąc się Hunter. – Jasne. Głupek ze mnie. Sorry.

– Daj spokój. Nie masz za co przeproszać.

– Może dałbym ci swój numer? – spytał. – Współpracujesz z ciotką, więc... – Spojrzał w stronę kuchni, w której Fenton nuciła coś głośno. – Na wszelki wypadek. Chyba że nie chcesz.

– Dawaj. – Stevie podała mu komórkę, by go wpisał.

Nie bardzo wiedziała, po co dał jej numer. Zarówno uśmiech, który posłał jej przedtem, jak i agresywne zachowanie Fenton wskazywały, że między nimi coś jest nie w porządku. Tak czy owak lista kontaktów Stevie się powiększyła.

„Czyli w sumie miło”.



Około osiemnastej, kiedy dzień dobiegał końca i nad Akademią zapadała ciemność, Stevie Bell wkładała garnitur, który mocno zalatywał kulkami na mole i stęchlizną ze strychu z kostiumami. Stojąc przed lustrem, robiła to, co skrupulatny belgijski detektyw – poprawiała wąsy. Z przodu wetknęła poduszkę, aby trochę się pogrubić i wypchać zbyt luźne ubranie. Wypożyczyła też laskę i białe rękawiczki, więc ogólny efekt był zadowalający.

„Tunel pod Minerwą to jakaś ściema – pomyślała. – Skoro istnieje, ciekawe, dlaczego nikt dotąd go nie znalazł. David. Ellie. Ktokolwiek. Przecież już dawno zaistniałby w legendzie Akademii...”

Stwierdziła jednak, że nie zaszkodzi się rozejrzeć. „Herkules Poirot nie lekcewał niczego”.

„Wejście powinno być gdzieś na parterze. Czyli w kuchni, świetlicy, korytarzu, w którejś z dwóch łazienek albo w jednym z trzech pokoi. Po podłodze Ellie już się przeczołgałam. Nie ma mowy, żeby był tam tunel. Takie wejścia porządnie się ukrywa, ale przecież obstukałam w tym pokoju każdą deskę, no i nic nie rzuciło mi się w oczy”.

Pokój Janelle miała obejrzeć później. „Janelle jest pochłonięta przemianą w Wonder Woman, nie powinnam więc jej przeszkadzać. Ale wątpliwe, by wchodziło się z pokoju, no bo wejście musiałyby być w podłodze”.

Poszła do kuchni i pogmerała laską za szafkami. „Wejście do tunelu może zakrywać lodówka, kuchenka albo zmywarka, ale te punkty rzecz jasna już sprawdzono. Urządzenia trzeba podłączyć do wody i gazu.

Lodówka jest ciężka. Monterzy na pewno znaleźliby pod nią wgłębienie”.

W stołówce obejrzała wyłożoną kamiennymi płytami posadzkę. Nabrała nadziei, bo każda z płyt mogła być włazem. Niestety fugi okazały się szczelne. W posadzce łazienki też nie udało jej się znaleźć śladu wejścia.

Tego dnia sprawdzała pobieżnie, bardziej dokładnie miała się rozejrzeć później, wszystko jednak wskazywało na to, że Fenton się myli. „Może gdzieś na kampusie jest nieodnaleziony tunel, ale pod Minerwą raczej go nie ma”.

Gdy Stevie czołgała się po korytarzu, badając deski podłogowe, nieoczekiwanie stanął za nią Nate.

– Co robisz? – zapytał.

Wstała i poprawiła poduszkę na brzuchu.

– Nic – odparła. – Zdawało mi się, że coś upuściłam. To twój kostium?

Nate miał na sobie to, co zwykle: luźny tiszert i wyświechtane sztruksy.

– Nie przebieram się – odpowiedział.

Drzwi pokoju Janelle otworzyły się z impetem, po czym w progu stanęła Wonder Janelle.

– Myślisz, że się wymigasz? – zwróciła się do Nate’a. – Przeczynałam, że tak będzie.

Sięgnęła za drzwi i wyjęła długą szarą pelerynę z szorstkiego materiału, kapelusz czarodzieja w podobnym kolorze i siwą brodę. Podetknęła to przebranie Nate’owi.

Nate utkwiał w nim wzrok, nie drgnąwszy.

– Po prostu... miałaś to pod ręką? – spytał.

– eBay – odrzekła Janelle. – I chwila szycia. No, bierz.

Nate wziął kostium i przerzucił go przez ramię.

– I jeszcze to. – Janelle wyjęła zza drzwi różdżkę – podrasowaną lekko gałąź.

– Jak... – rzekł chłopiec.

– Posłuchaj – Janelle nie pozwoliła mu dokończyć. – W tym roku zdarzyło się wiele złego. Jest straszny, smutny, no koszmarne. Ale żyjemy, a dziś jest święto, więc je obejdziemy, bo nie wszyscy tutaj mogą to zrobić. Wkładaj ciuchy, poprawię diadem i w drogę. – Janelle zamknęła drzwi.

– Miała go – mruknął Nate – od początku.

– Janelle jest przewidująca. Jakbyś nie wiedział. Pójdiesz w tym? – zapytała Stevie.

Nate najpierw obmacał pelerynę, a potem podniósł różdżkę i zbadał ją wzrokiem.

– Niezły strój Gandalfa – orzekł. – Tę różdżkę zrobiła chyba sama...? Specjalnie poszła szukać gałęzi?

– Taka jest Janelle – odpowiedziała Stevie.

Przenieśli się do świetlicy, gdzie Nate zaczął się przebierać. Z góry dobiegał odgłos kroków. Janelle wyszła z pokoju, w perfekcyjnie nałożonym diademie, z okrągłą tarczą na plecach i z mieczem w ręku. Na widok Nate'a z uznaniem pokiwała głową.

– Świetnie – pochwaliła. – Załoga Minerwy. A gdzie David?

Rozległ się tupot i donośnie zaskrzypiały schody. Z mroku korytarza wyłonił się po chwili David.

– No proszę – rzekła Janelle. – Toż to...

– Przebrałeś się... – Słowa zamarły Stevie na ustach. – Za Sherlocka.

David istotnie przebrał się za Sherlocka i to w tej jego wersji, którą Stevie rozważała i odrzuciła – z serialu BBC. Miał na sobie prosto skrojoną niebieską koszulę, szyte na miarę dopasowane spodnie i długi ciemnoszary płaszcz z czerwoną podszewką. Natapirował lekko włosy, podkreślając skręt loków. Jego kostium prezentował się tak doskonale,

jakby wcale nie był kostiumem. „Jasne, że przebrał się tak celowo, żeby mnie podkreślić” – pomyślała Stevie.

Nogi zaczęły jej się trząść jak galareta, całe ciało zapłonęło podnieceniem. Kurczowo ścisnęła brzuch z poduszki, jakby szukając w nim oparcia, próbując podtrzymać się na duchu.

– Kim jesteś? – spytał David. – Kucharzem?

– Herkulesem Poirot – odpowiedziała Janelle, jakby było oczywiste, że workowaty garnitur i sztuczne wąsy mówią same za siebie.

– Herkules Poirot, Wonder Woman, Gandalf i Sherlock razem! Jak natura chciała. Idziemy?

Wszyscy czworo wyruszyli w noc. Na ścieżce dołączyła do nich Vi w doskonałym przebraniu Steve’a Trevora^[7]. – Dziwne, nie? – rzucił David, gdy przechodzili pod ciemnymi drzewami, zmierzając do Wielkiego Domu.

– Co takiego? – zapytała Stevie.

– Ciekawe, czy jest w nich materiał na fanfic. No wiesz, w tych dwóch. Jak to wygląda? Jak by to nazwać? Porlock? Sheriot?

Janelle i Vi szły ramię w ramię jak Wonder Woman ze Steve’em Trevorem. Nate sam, nieco w tyle, w pelerynie, której skraj włókł się po trawniku.

– Skąd wzięłeś płaszcz? – Stevie chciała, by zabrzmiało to niedbale.

– Co, ten starość? – David wyprostował ręce w kieszeniach, prezentując płaszcz. – Właśnie wydałem dwa tysiące dolarów. Zapłaciłem za niego kartą ojca.

– Istnieją płaszcze warte dwa tysiące? – zapytała Stevie.

– Ucieszy się. Wiesz, w Białym Domu trzeba się prezentować.

David pierwszy raz wspomniał o ambicjach ojca, więc Stevie rozejrzała się nerwowo.

– Nie słyszeli – uspokoił. – A nawet gdyby, i tak by nie zrozumieli.

Chwilę szli w milczeniu. Stevie lekko zawirowało w głowie, kiedy pojęła, co się dzieje: David przebrał się tak odjazdowo dla niej. Robił, co mógł, aby się do niej zbliżyć.

– Wiesz coś przypadkiem o tunelach w Minerwie? – zapytała, starając się opanować.

– Pod Minerwą nie ma żadnych tuneli.

– Fenton twierdzi inaczej.

– Jaka Fenton?

– To profesorka z Burlington, z którą współpracuję. Ta, co pisze książkę o sprawie Ellinghamów.

– Pod Minerwą nie ma żadnych tuneli – powtórzył David. – Sądzisz, że nie zauważyłbym tam tunelu?

– Mam na myśli tajny tunel – odrzekła Stevie.

– Powtarzam...

– Fenton jest pewna.

– Ja też jestem pewny. Nie mówisz, czy podoba ci się mój płaszcz.

– Podoba mi się twój płaszcz. – Chciała, aby zabrzmiało to obojętnie, sucho, ale ostatnie słowo wychrypiała. Gardło zdradziło ją. „Ciało to wróg umysłu”.

Jeśli chodzi o halloweenowe party, dyrekcja szkoły przeszła samą siebie. Na takie okazje Wielki Dom odmieniano. Górne lampy zostały wyłączone i całą przestrzeń oświetlały teraz setki mrugających elektrycznych świeczek. Stały wszędzie, zdobiły nawet schody. Rozproszony blask migotał na kryształach. W wielkim kominku huczał ogień, a na jego gzymsie leżały krakersy grahamowe, marshmallows i kawałki czekolady do przyrządzania s'mores. Stanowiskiem zawiadował przebrany za Davida Bowiego Kaz z błyskawicą na twarzy. Do Załogi Minerwy podszedł MówciemiCharles przebrany za Chaplina.

– Gotowi na zabawę? – spytał.

– Nie – odpowiedział David.

Puszczając to mimo uszu, Charles wskazał laską drzwi sali balowej.

Dzisiejsze party nie było ciche. Sala balowa o lustrzanych ścianach, ozdobiona maskami karnawałowymi, skrzyła się od świateł i buzowała od dźwięków. Z sufitu zwisały pomarańczowe i białe lampki choinkowe, a pod ścianami lśnił ocean elektrycznych świeczek. Stół zastawiono napojami i przekąskami. Pośrodku parkietu tańczyło kilka osób, które Stevie spodziewała się dziś spotkać, między innymi Maris w – „jakże by inaczej” – czerwonej sukience z frędzelkami w stylu lat dwudziestych. Był też Dash, przebrany za Hana Solo. Vi szarmanckim gestem poprosiła Janelle do tańca. W tan ruszyli Wonder Woman i Steve Trevor.

– Cześć.

Naprzeciw nich stanął Mudge w przebraniu Myszkki Miki. Mierząca metr dziewięćdziesiąt trzy Myszkka z dużymi uszami sterczącymi z kruczoczarnych włosów.

– Fajny Gandalf – pochwalił Nate’a. Wyraźnie się speszył, widząc Stevie z Davidem, mimo to jednak grzecznie kiwnął do nich głową.

– Ja jestem reklamą zegarków – oznajmił David. – A ona hipsterską babcią. Wspólnie rozwiązujemy zagadki kryminalne.

Na te słowa Mudge przekrzywił głowę, stwierdzając, że chyba lepiej spędzić czas gdzie indziej. Nate rozejrzał się po sali spod runda wielkiego kapelusza i bez namysłu skierował się do s’mores. Stevie i David zostali sami.

– Zatańczysz, babciu? – zaproponował David.

– Herkulesie.

– Zatańczymy, Herkulesie?

Herkulesa ogarniał niepokój. Cienka koszula Davida była miękka i dopasowana... „Mogłabym teraz położyć mu dłoń na piersi, objąć go i przywrzeć do jego ciała”.

– Zjedzmy coś może.

Dał jej znak ręką, by poprowadziła.

Wycofali się do głównego holu, gdzie niezainteresowani tańcem zajmowali się grami. Stał tam jeszcze jeden stół z przekąskami, David podszedł do niego i wziął kilka kleistych s'mores.

– Tunel – rzekł, gryząc. – Wiedziałbym.

„Ten grunt jest bezpieczniejszy, stabilniejszy”.

– Nie wiesz wszystkiego o tunelach.

– Wiedziałbym, czy jest pod podłogą domu, w którym mieszkam.

Usiadł w półcieniu pod majestatycznymi schodami. Obok przemknął roztańczony szkielet.

– Gdyby chcieli prawdziwej imprezy halloweenowej, wpuściliby nas do piwnicy – rzekła Stevie. – Jest tam obłądnie. Jak w labiryncie.

– Wreszcie masz coś ciekawego – odparł, prostując się, David. – Jak się dostać do tej piwnicy?

– Nie powiem ci; obiecałam Larry'emu.

– Obiecałki cacanki...

– Obiecałam Larry'emu – powtórzyła, zerkając w stronę wejścia do kuchni.

– To ci frajda – siedzenie na ławce.

– Więc idź potańczyć albo co – mruknęła.

– Nie chcesz tańczyć – odpowiedział David.

– Nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

– Chyba wolę zostać przy tobie.

David wyciągnął nogi i lekko trącał Stevie w kostkę czubkiem buta. Podniósł na nią oczy. „Co to ma być? Flirtuje? Flirt jest jak niespodziewany esemes...” Poczowała coś podobnego jak w pierwszym dniu tutaj, kiedy Ellie poczęstowała ją ciepłym szampanem – miała wrażenie, jakby spienił się jej krwiobieg, jakby świat zawirował. „Nie. To coś obcego – pomyślała. – To jak przejście przez gwiazdne wrota do rzeczywistości równoległej”. Stevie przywykła do sprzecznych doznań, do sytuacji, w których lęk wywołuje przykre podniecenie. Potrafiła sobie

z tym poradzić, bo знаła to uczucie na wylot. Teraz ogarnęły ją jakby przyjemne mdłości, nieuzasadnione, wróciła więc do lęku i niemiłego podniecenia, których jednak nie była zdolna ogarnąć.

A że i nad nią, i nad wszystkim wokół wisiało widmo Edwarda Kinga, opanowała ją totalna niemoc. „Trzeba go unikać. Unikać. Unikać” – pomyślała Stevie, nie wiedząc, co się dzieje.

Starając się odwrócić wzrok od stopy Davida, który nie przestawał trącać ją w kostkę, skoncentrowała się na ogromnych schodach nad nimi i drzwiami do kuchni poniżej. „Drzwi do kuchni pod schodami. Sporo się działo pod schodami starych domów. Pod schodami pracowała służba. Pod schodami mieszkał Harry Potter. Nawet Albert Ellingham pisał o czymś, co było pod schodami. «Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? Na stopniu nigdy...»”

– Na schodach szukać trzeba – powiedziała na głos.

– Słucham?

Wstała. David też, niemal równocześnie. Gdy mijali drzwi, Mówciemi Charles spojrział na nich zdezorientowany.

– Już idziecie? – zapytał.

– Zapomniałam... – odparła Stevie. – O lekarstwie. Muszę je zażyć. Zaraz wrócę.

Charlie Chaplin uchylił melonika. Stevie i David – Herkules i Sherlock – szli ścieżką pod drzewami tak prędko, że Stevie oblała się potem.

– Co się dzieje? – spytał David.

– Pod schodami – odparła, zziębła. – Sprawdziłeś pod schodami w Minerwie?

– Co masz na myśli?

– To, że te schody są obudowane, ale pod nimi musi być pomieszczenie. To jedyne niewidoczne miejsce, dlatego raczej byś tam nie zaglądał.

– Pod schodami – powtórzył. – Jak na to wpadłaś?

– Wpadłam i już – odparła krótko Stevie.

Po drodze zauważyła jedną z kamer – niebieski punkcik światła za ciemnym szkłem – rejestrującą ich ruchy. „Może Edward King właśnie nas obserwuje, może widzi nas w tej chwili razem. Ucieszyłby się. Robię, co mi kazał. Nawet nad tym straciłam już kontrolę”.

Nie wyjmując ręki z kieszeni, Stevie pokazała mu środkowy palec.



Dotarłszy do Minerwy, pognali prosto do schodów, których koszmarnie skrzypienie już do końca życia miało przypominać Stevie o spotkaniu z Hayesem w dniu przyjazdu, kiedy dźwigała na górę jego rzeczy. Światło sączyło się do wnętrza przez witraż. Włokąc wtedy za Hayesem kolejne ciężkie pudło, Stevie patrzyła na jego muskularne, jasno owłosione łydki. Opowiadał o serialu i hollywoodzkich planach. Jeszcze dwa miesiące temu. Po jego śmierci pozostało dziś wspomnienie.

Na korytarzu płonęły wprowadzicie lampy, jego kraniec jednak krył się w mroku. Stevie pomyślała, że to może celowe – ktoś chciał odwrócić uwagę od schodów, zaciemnić szczegóły. Schody wiły się ciasno jak spirala, obudowane drewnianą okładziną. Stevie zaczęła wodzić po niej dłońmi, próbując wymacać szparę. David opukiwał drewno.

– Jakby była tam próżnia – powiedział. – Nigdy dotąd nie przyszło mi na myśl, żeby tu podejść i walnąć w te dechy.

Teraz Stevie opukała dół schodów. „Za tym drewnem na sto procent jest luka”. Wbrew podejrzaniom, że nie ma tam nic oprócz kurzu, serce biło jej coraz szybciej i rozjaśniło jej się w głowie.

„Latarka w komórce nie wystarczy, przydałoby się coś silniejszego. Najwyższy czas skorzystać z latarki taktycznej”. Każdy uczeń dostał taką na wypadek przerwy w dostawie prądu. Stevie poszła do pokoju po latarkę. W przeciwieństwie do zwykłej cylindrycznej, która rzuca łagodny snop światła, ta bestia z uchwytem oślepiła i dezorientowała

wroga oraz przyzywała przelatujące samoloty. Stevie przyniosła ją, a kiedy włączyła, koniec korytarza zalało białe światło.

– Potrzyмай. – Wetknęła ją w rękę Davidowi.

Nagle skąpane w jaskrawym blasku schody zaczęły objawiać swoje tajemnice. Na pozornie gładkiej powierzchni pojawił się niedostrzegalny niemal zarys wejścia. „W latach trzydziestych takiej jasności nie przewidziano”.

– Proszę, proszę – rzekła Stevie.

– Jasna cholera!

Ich oczom ukazała się szczelina, cieniuteńka, cieńsza od kartki papieru. Nie znajdując na drzwiczkach śladu zamka, Stevie stwierdziła, że w pobliżu musi być zatrzask. Obmacała podłogę i ściany. Ale na próżno.

– W filmach pociąga się świecznik na ścianie – powiedział David, odstawiając latarkę. Zdjął i zwinął płaszcz za dwa tysiące dolarów, po czym ustawił na nim latarkę tak, by oświetlała ścianę.

– To nie film. Nie mamy świecznika.

David podszedł do Stevie, by jej pomóc w badaniu ściany. Sprawdzał też stopnie, wodząc palcami po ich brzegach.

– Czemu obmacujecie ścianę? – Nie usłyszeli, kiedy wrócił i stanął przy nich Nate czarodziej.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – zapytała Stevie.

– Boże...

– Więc się odwróć – rzekła. – Bo ci się to nie spodoba.

– Mnie się nic nie podoba. Co robicie?

– Szukamy tunelu – odparła Stevie.

Nate spojrział na nią z miną „Niech to się nie dzieje”.

– Nie będzie jak ostatnio – zapewniła. – Służy to tylko celom poznawczym.

– Ostatnio też tak było. Czy wyście...

– Czekał – przerwał David. – Odejdź, odejdź.

Dając znak Stevie, by się odsunęła, zrobił krok w tył i mocno naparł na ścianę. Bez powodzenia. Cofnął się i roztarł bark.

– Brawo – rzekł Nate. – Dalej, dalej.

– Chyba coś wyczułem. – David znów naparł na drewno – i cicho jęknął z bólu.

– Tak – pochwaliła Stevie. – Może...

Jeszcze raz. Tym razem coś trzasnęło.

Drewniana płyta leciutko się uniosła; wszyscy troje ujrzeli półcentymetrową szczelinę.

– Super – szepnął Nate. – A teraz włączcie.

– Śrubokręt – pomyślała głośno Stevie.

„Ja go nie mam, ale na pewno ma go Janelle, a Janelle rzadko zamyka drzwi na klucz. Oczywiście nie powinnam do niej wchodzić, no ale to sytuacja awaryjna...” Pokój Janelle odzwierciedlał jej naturę – panował w nim idealny porządek, a każdy kąt wykorzystany został optymalnie. Pachniał perfumami i olejkiem z wiciokrzewu z dyfuzora. Stanowisko pracy znajdowało się przy oknie. Janelle zmieniła przeznaczenie biurka – trzymała na nim narzędzia. Po chwili szukania pośród sekatorów i przyrządów niewiadomego zastosowania Stevie znalazła niewielki młotek. Stwierdziła, że taki wystarczy.

Wróciła pod schody i wsunęła do otworu ścięty koniec młotka. Kiedy szczelina poszerzyła się o kolejnych kilka centymetrów, próbowała podważyć drzwi trzonkiem. Nie otworzyły się. Nieużywane latami albo blokowane przez niewidoczny zatrzask, stawiały opór, skrzypiąc buntowniczo.

– Zepsujecie te schody – orzekł Nate.

– Może ja spróbuję? – zaproponował David.

– Nie. – Stevie strząsnęła z rąk napięcie i podważyła drzwi znowu, z całej siły naciskając trzonek.

Wtem uchyliły się, odsłaniając pograżoną w ciemności wąską przestrzeń.

– Niezłe mamy Halloween w tym roku – rzekł David.

Stevie pchnęła drzwi i zaczęła obmacywać wnętrze, przyświecając sobie latarką. Najpierw myślała, że dotyka smoły, gdy do niej dotarło, że to kurz i ziemia, które zbierając się przez lata, nabrały tak ciekawej, maziowatej konsystencji. Właz odszukała bez trudu. Był w podłodze, zaryglowany. Sprawdziła rygiel, sądząc, że się zablokował, ale też odsunęła go z łatwością. Pociągnęła więc za uchwyt włazu – i ujrzała nieco ponadpółmetrowy otwór.

– Facet uwielbiał ciasne korytarze. David zajrzał Stevie przez ramię. – Co to?

– Dziura – odrzekła, starając się zasłonić widok.

– Stoi drabina. Czyżby to był tunel?

– No to ruszamy – rzekł Nate.

Stevie cofnęła się i przykucnęła, zapamiętując, co ma przed oczami.

– Jak ty to robisz? – spytał David Stevie.

– Rozglądam się. Wystarczy działać zgodnie z planem.

– Posłuchaj, Stevie. – Nate przykucnął obok. – Wiem, że to dla ciebie ważne, ale Pix wróci, a oni są... Jest nerwowo, a ty dopiero co wróciłaś. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tylko spójrz – odpowiedziała Stevie.

– Widzę, ale takie miejsca bywają niestabilne. Zapomniałaś? To dziura. Niewielka dziura. Nie wiadomo, co jest w dole. Mogą być przewody albo coś takiego. Może być woda.

David zawisł nad otworem z latarką.

– Nie widzę wody – powiedział. – Ani drutów.

– Zastanówcie się – Nate nie dawał za wygraną.

Stevie wiedziała, że ma rację. Poza tym dała słowo Larry'emu, że nie będzie łączyć po tunelach. Niemniej...

– Nate ma rację. – Podniosła się, by poszukać komórki. – Nie możemy wejść nieprzygotowani. Zrobimy tak: zadzwonimy do Janelle. Na pewno ma mały dron z kamerką albo coś w tym stylu, więc go tu wpuścimy i...

– Czas dać nura! – Obróciwszy się nogami do przodu, David zaczął schodzić.

– David! – zawołała Stevie. – Naprawdę nie możemy...

– Ale wejdziemy – odparł. – Pomścijcie mnie, jak nie wrócę do dziesięciu minut. Chyba że idziecie? Czuję, że was korci.

Widząc, jak David opuszcza się niżej, Nate pokręcił głową i nakrył się szatami.

– Fajnie tu! – ryknął David. – Powinniście wejść i zobaaa... – Wydał wrzask, na który Stevie i Nate podskoczyli. Stevie omal nie rzuciła się do dziury. David wytknął głowę, uśmiechnięty. – Żartowałem. Jest okej. – Skierował wzrok na Stevie. – Ale z was tchórze.

– A jeśli się zapadnie? – spytał Nate.

– Tak nagle? Akurat, gdy wejdziemy? Bez powodu?

– Moglibyśmy poczekać na Janelle...

– Dajcie spokój – odpowiedział David. – Taka szansa nie trafia się codziennie. Chodźciechodźciechodźciechodźciechodźcie. Nie możecie się oprzeć, przecież widzę.

„Czy to jego uśmiech, czy płaszcz i ubranie? Może błysk w oku? A może tajemnica? Bo rzeczywiście nie mogę się oprzeć”.

– Sam iść nie może – powiedziała do Nate’a.

– Może. Możemy zamknąć włącz.

– Przypilnujesz schodów? – zapytała. – Obiecuję, obiecuję, obiecuję: będziemy ostrożni. Nie może iść sam.

Nate spuścił głowę.

– Dlaczego. Niektórzy. Robią. Durne. Rzeczy.

– Bo jesteśmy durni – odparła, sprawdzając nogą pierwszy szczebel.

Nate chwycił ją za ramię – na tyle mocno, by się do niego odwrócić.

– Śmierci Hayesa – przypomniał – nie spowodowało zawalenie się tunelu, tylko gaz. Masz pojęcie, co może być na dole?

Stevie znieruchomiała. „Ma rację”.

– Ale tego gazu nie było w tunelu – odrzekła. – Ktoś zaniósł do niego suchy lód. Wcześniej tunel był bezpieczny. Wiem, bo w nim byłam. Posłuchaj, Nate. Nie zapuścimy się daleko.

– Utrudniacie mi życie – odparł chłopiec.

– Wiem. Ale masz swoje smoki.

– Przestań.

– Okej – rzekła Stevie. – Sorry. Ale popilnujesz?

Nate potarł czoło, znużony.

– A mam wybór?

– Teoretycznie.

– Mhm, ale i tak byście poszli. On tam jest.

Nie zrozumiawszy ostatnich słów Nate’a, Stevie pomyślała nad nimi ledwie moment. Czekał na nią tunel. Trzeba go było czym prędzej spenetrować.



Stevie zwiedzała już tunel w Akademii – ten sławny. W porównaniu z tym był on szeroki jak autostrada. Ten wyglądał jak pęknięcie w ziemi, potwornie ciasny, niski i ciemny. Gdy tylko zeszli, włączyła latarkę, zalewając światłem ściany wokół. W przeciwieństwie do tunelu, który wiódł do zatopionego ogrodu – zbudowanego z równusieńkich cegieł – ten wzniesiono z chropawych kamieni, zapewne szczątków wysadzonej góry. „Może jakimś cudem się nie pokaleczę, ale ręce poobcieram bez dwóch zdań” – myślała, niepewnie obmacując ścianę. Niemal niezdolna poruszać łokciami, z wahaniem wyciągnęła ręce pod sklepienie, niskie tak, że niewiele brakowało, a by go dotknęła. Tunel zwęzał się lekko wraz z każdym jej krokiem.

Jednym słowem, był niezachęcający. Dwoma – był wielką pomyłką.

Instykt samozachowawczy podpowiadał Stevie, że bez powietrza i stałego gruntu trudno przetrwać – rozum zaś, że łażenie po tunelu grozi usunięciem jej ze szkoły przez Larry’ego. Jednak pęd do przygód i niefrasobliwość nakazywały Stevie iść naprzód.

„Nie tylko dlatego, że David ruszył pierwszy, choć pewnie tak wydaje się Nate’owi”.

By się nie zranić, schowała dłonie w rękawach marynarki i szła na ślepo, stawiając półkroki tuż za plecami Davida.

– To ty, tak? – spytał. – Boję się potworów. Poza tym coś tutaj cuchnie. W powietrzu faktycznie unosił się jakiś odór.

– Dron sprawdziłby się lepiej – odpowiedziała Stevie. – Wiesz, gdyby gaz wyciekał gdzieś tu z rury...

– Mówiłaś o wycieku gazu? – Rozległ się nad nimi głos Nate'a.

– Śmierdzi raczej zadem, nie gazem – odparł David. – Ciasno, ciemno, zalatuje. Jest tu wszystko. Pięć na pięć gwiazdek.

– Zostaw go, nie przejmuj się; niech zginie... – rzekł na to Nate, ale przypomniawszy sobie, że ktoś zginął, gdy ostatnio poszli do tunelu, zamilkł.

Tunel się kurczył. Stevie nabierała obaw, że w końcu utkną jak nurkowie w jaskini, gdy ich wąż zahaczy o skałę. „Tyle że tu nie ma wody – pomyślała. – Kto wie, czy nie jest tu gorzej”.

– To się nazywa Halloween – powiedział David.

Widząc tylko tył jego koszuli, by się nie zgubić, Stevie muskała go ręką po plecach. „Już dowiedliśmy istnienia tunelu pod Minerwą, więc jak długo jeszcze tak pójdziemy? Ale jak go znam, chce znaleźć koniec tego korytarza, a jeśli kończy się on w Wielkim Domu, to przed nami jest daleka droga”.

Krok po kroku zagłębiali się w ciemność.

– Przyszło mi do głowy – odezwał się David – że warto byłoby oczyścić konto.

Stevie zawahała się przez moment, tracąc kontakt z jego plecami.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Może powiem ci wszystko, żebyś nie musiała węszyć. Chcesz wiedzieć o mnie? O ojcu? Chcesz poznać cały układ?

„Akurat teraz? W tej trupiej dziurze? Choć poniekąd ma to sens. Jest ciemno. Nie widzimy się. Nikt nas nie słyszy – nawet Nate, bo już jest za daleko. Bardziej skrycie pogadać się nie da. Zwłaszcza że jesteśmy dla siebie niewidzialni”.

– Słucham.

– Nikomu nie mówię, że mam za ojca Kinga, bo po prostu nie ma się czym chwalić. A poza tym jest to dość żałosne. Tak jak każda historyjka

o rozwodzie. No więc słuchaj.

Stevie na chwilę odebrało oddech. „Aż tak tu duszno? Nie, to wyobraźnia”.

– Mama była recepcjonistką w eleganckim ośrodku wypoczynkowym w Marin – zaczął David. – Organizowała weekendy z degustacją wina, pobyty w spa i wycieczki golfowe. Edward King przyjechał tam na jakąś imprezę dobroczynną, no i ich spojrzenia się spotkały. Wtedy jeszcze nie był znany w kraju, nie był senatorem, tylko zdobywającym popularność lokalnym politykiem. Mama, Becky, jest piękna. A Edward King jest przy kasie. To nie tak, że mamie chodzi tylko o pieniądze, ale uważa, że ci, którzy je mają, są... może nie lepsi, ale bardziej spełnieni albo coś takiego. Nie sądzę, aby przyszło jej do głowy, że można być dzianym i na to nie zasłużyć. Co w sumie dziwne, bo w pracy wciąż się stykała z bogaczami, powinna więc wiedzieć, jak jest. Nie jest głupia, ale ma kompleksy. Kto bez kompleksów związałby się z Kingiem? Nie wybrała go, kierując się miłością.

David przerwał. Stevie nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Nie widziała jego twarzy ani nawet pleców. Mimo to czuła, że jego zjadliwy ton jest wymuszony. „Mówi do ciemności, bo tak mu łatwiej, bo gdy się odsłania, nie widać jego twarzy”. Nie dotykali się, a jednak nigdy dotąd nie byli ze sobą tak blisko.

– Jasne – rzekła, by przerwać rosnące napięcie.

– Tak – przytaknęła. – Naprawdę. Pobrali się podejrzenie szybko w gabinecie jakiegoś sędziego, a po siedmiu miesiącach przyszedłem na świat. Eddie umieścił nas w swoim domu w Harrisburgu i wyjechał do Waszyngtonu, by kontynuować karierę. I tak romans się skończył. Jestem wynikiem najważniejszego bzykania w życiu Eddiego. Piewca odpowiedzialności cywilnej płacił rachunki. Nie pamiętam, żeby często bywał w domu. Może na Gwiazdkę... Czasem brał nas na imprezy w charakterze rekwizytów, a potem przestał. Zgorzkniała Becky nie miała co robić, więc zaczęła zaglądać do kieliszka. Raz, kiedy miałem bodaj dziewięć lat, usłyszałem, że leje się woda. Grałem na Xboksie, ale jak

zawsze nasłuchiwałem. Gdy się mieszka z alkoholikiem, ciągle trzeba słuchać, co się dzieje. Wtedy woda lała się za długo. Zszedłem na dół. Dywan w sieni był przemoczony, a woda wypływała spod drzwi łazienki. Becky weszła do wanny z butelką Chablis i zemdląła. Była cała czerwona, bo puściła wrzątek. Musiałem ją wyciągnąć, a później oblewać zimną wodą. Nie ocknęła się, więc zadzwoniłem do Eddiego. Odebrała asystentka i kazała mi wezwać pogotowie. Przyjechał ambulans. Ostatecznie nic się jej nie stało – upiła się i miała drobne oparzenia. Późnym wieczorem zadzwonił do mnie Eddie z awanturą, że opowiadam asystentce o problemach matki – i że powinienem być poradzić sobie sam. Wtedy stwierdziłem, że Edward King jest nikim i niech na zawsze wynosi się z mojego życia. To jedna z rzeczy, które spodobały mi się w tobie od początku – też wyczułaś, że jest zerem i niech spada. Taka cecha bardzo się przydaje.

Stevie spostrzegła, że mówi spokojniej. Przycisnęła dłoń do jego pleców, żeby dodać mu otuchy.

– Kiedy miałem dziesięć lat, Becky tajemnym zrządzeniem losu zaszła w ciążę. Nie z Eddiem. Nie chwałę się, ale umiem liczyć do dziewięciu. A dziewięć miesięcy przed narodzeniem mojej siostry Allison Eddiego nie było w domu. Jej ojcem jest chyba facet z legislatury stanowej, który chodził do tej samej siłowni, co Becky. Był u nas kilka razy. Nie mogłem zapamiętać nazwiska, więc mówiłem mu po prostu „Chad”. Tuż po przyjsciu na świat Allison Chad odszedł z legislatury, a potem wyjechał ze stanu. Z żoną Kinga nie można się po prostu przespać, więc niedługo później Eddie i Becky wzięli cichy rozwód.

– Jakim cudem nikt nie wie – spytała Stevie – że już był żonaty?

– Edward King to czarodziej – odparł David. – Dołożył starań, byśmy zniknęli, nim zaszkodzimy jego kampanii. Ożenił się z Tiną, była stażystką Tiną, że użyję pełnego jej tytułu. Tina to idealna żona do kampanii. Ma świetne zęby. Wielkie i białe. Jak rząd kuchennych szafek. Jak mi idzie pełne ujawnienie?

– Dużo tego.

– Na szczęście to koniec. – David przystanął. – Dosłownie koniec. Koniec tunelu.

– Pokaż.

– Ciekawe jak. Nie mogę cię obejść.

– Schył się.

Gdy David – nie bez trudu – się schylił, Stevie omiotła latarką ścianę. Ujrzała metalową drabinę o ośmiu szczeblach, prowadzącą do okrągłego wjazdu.

– Oświetlaj ją – rzekł, prostując się, David. Odłożył latarkę i potrząsnął drabiną, po czym wspiął się do góry i z całych sił pchnął ręką wjazd.

– Nie – powiedział. – To się nie otwiera. Długa mroczna podróż w nicość. Ale tunel fajny.

Kiedy zszedł, Stevie opuściła latarkę, aby go nie oślepić. Przez chwilę stali twarzą w twarz, ale prawie nie widzieli się w półmroku. Skierowała snop światła ku ziemi.

– Skąd myśl, żeby mi to opowiedzieć?

– Już ci mówiłem. Chcę mieć czyste konto.

– Ale dlaczego?

– Bo... ojciec spieprzył mi życie. A teraz robi karierę, pieprząc życie innym. Ale ciebie nie dopadnie. Brzmi to kiczowato, ale to wszystko, co mam.

„Już mnie dopadł – pomyślała Stevie. – Mogę mu to wyznać tu i teraz?”

David sięgnął po nią w ciemnościach, wolno położył jej dłoń na ramieniu, odnalazł szyję i powędrował do podbródka.

„Powiedz. Powiedz mu w tej chwili. Przed sekundą otworzył się przed tobą”.

Czule powiodła palcami po jego brodzie. Bez tchu oparła się biodrem o ścianę – z łatwością, bo była dwa, trzy centymetry od niej. David

przysuwał się pomału, a kiedy wreszcie zwarli się piersiami, Stevie zastygła.

Latarka ciążyła jej w lewej ręce, schyliła się więc i odłożyła ją na ziemię. Wyprostowała się i oburącz objęła głowę Davida, przesuając palcami po krętych włosach. Kiedy zetknęli się wargami, poczuła ulgę, jakby coś w niej puściło. Całowała go jak obłąkana, jakby bez niego nie była zdolna oddychać. Nie mogąc przesuwać się na boki, trwali w nieskończonym uścisku. Stevie obsypała pocałunkami kark Davida, cicho jęknęła i roześmiała się radośnie.

– Poszło lepiej, niż sądziłem – szepnął. – Wydawało mi się, że...

– Cicho – przerwała, by znów go pocałować.

Porwał ją w ramiona i podniósł do góry. Gdyby było więcej miejsca, objęłaby go nogami. Ściany tunelu jednak się nie rozciągały, więc nie mogła zaspokoić pożądania.

– Chyba coś widzę – wymamlał David, bo całowali się znowu.

– Co? – odmamlała Stevie.

– Światło. Nate chyba nas ostrzega.

Delikatnie postawił ją na ziemi. Bardzo teraz chciała zobaczyć jego minę, ale mrok na to nie pozwalał. Długą chwilę trzymał jej twarz w dłoniach, nie odzywając się, nie całując, bez ruchu.

– Nate – powtórzył.

– Nate – odparła.

– Teraz ty poprowadzisz.

Stevie drżały ręce i trzęsły się kolana, kiedy gmerała po ziemi za latarką. Obróciła się z niemałym trudem. „Dobrze, że David prowadził w tę stronę, bo przed oczami miałam tylko jego plecy. Gdybym zobaczyła tę długą wąską drogę, nie poszłabym dalej i nie stałoby się to, co się stało”.

Ruszyli z powrotem. David raz po raz ciągnął ją za włosy, łaskotał po karku, poszturchiwał w zębra. Życie Stevie nagle stało się porywające, bez troskie tak, że pewnie śmiałyby się, gdyby ich tu przyłapano.

„Wszystko się ułoży. Było mi pisane znaleźć się w tunelu w tym momencie. Jest tak cudownie, że kręci mi się głowie. Odrodziłam się” – pomyślała szczęśliwa.

Natrafiła światłem na coś na ziemi. Na pierwszy rzut oka była to ciemna plama na tle szarości, ale na drugi – dziwny, lśniący smoliście czarny przedmiot. Gdy się schylała, żeby go podnieść, David chwycił ją w pasie i objął.

– Co to takiego? – zapytał. – Skarb?

Stevie oświetliła przedmiot. Był to strzęp plastikowego worka. Czarnego.

– Kawalek worka – odpowiedziała.

„W latach trzydziestych raczej nie mieli plastikowych worków...” Stevie potarła strzęp palcami. Coś zaczynało jej niejasno świtać.

– Dobrze się czujesz? – spytał David.

– Tak – odparła nieobecny tonem. Chłodny plastik ślizgał jej się między palcami. – Wszystko w porządku.

Niejasna myśl nabierała zarysów z każdą chwilą. Raptem Stevie spostrzegła inne wejście, szerokości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów. Wchodząc, nie dojrzeli go, bo ściana była lekko nachylona.

– Jest drugi tunel – oznajmiła, oświetlając przestrzeń przed sobą.

– Głupio mi to mówić – odparł David. – Ale wracajmy, zanim przyjdzie Pix, bo inaczej Nate nas tutaj zamknie.

Stevie postąpiła kilka kroków w głąb rozgałęzienia głównego tunelu. Na ziemi przed nią leżał kolejny lśniący strzęp plastiku. Podniosła go. „Plastikowy worek na śmieci i tyle”.

Pracujący na przyspieszonych obrotach umysł podsuwał Stevie obraz za obrazem. „Worki na śmieci w kuchni w domu. Moje ciuchy w takich workach, gdy wróciłam. Ciuchy ze śmieci. Ellie w spódnicy z worków na śmieci na niemym party na cześć...”

Nieco przed nią leżały jakieś odpadki. Tak przynajmniej wydawało się z daleka. Najpierw ujrzała błyszczący strzęp plastiku, potem bezkształtny przedmiot, fioletowy...

Bez sprawdzania wiedziała, co znalazła.

Zapis przesłuchania Marion Nelson przez agenta Henry'ego Evansa z biura w Nowym Jorku i agenta George'a Marsha z biura terenowego w Vermoncie 20 kwietnia 1936

HENRY EVANS: Dziękujemy, że przyszła pani z nami porozmawiać.

MARION NELSON: Ależ to żaden kłopot. Absolutnie.

HENRY EVANS: Wie pani, co wyszło na jaw, jak rozumiem? Nie muszę pani tego wyjaśniać.

MARION NELSON: Tak, wiem. Wiem.

HENRY EVANS: Jest pani wychowawczynią w Domu Minerwy przy Akademii Ellinghama. Zgadza się?

MARION NELSON: Tak.

HENRY EVANS: W jaki sposób się tam pani zatrudniła?

MARION NELSON: Znam osobiście pana Ellinghama. Stąd, z Nowego Jorku. Kiedyś pracowałam jako sekretarka w jego gazecie.

HENRY EVANS: Podlegała mu pani bezpośrednio?

MARION NELSON: Nie, moim przełożonym był redaktor naczelny, Max Campbell. Pana Ellinghama znałam, bo odwiedzał redakcję. Mocno angażuje się w codzienną pracę wydawnictwa.

HENRY EVANS: Zaprzyjaźnili się państwo.

MARION NELSON: Tak.

HENRY EVANS: Blisko?

MARION NELSON: Yyy... Tak. Blisko.

GEORGE MARSH: Poznaliśmy się, gdy pracowała pani w redakcji...

MARION NELSON: Tak, gdy uratował pan pana Ellinghama przed tą bombą.

HENRY EVANS: A więc pan Ellingham zatrudnił panią jako wychowawczynię bursy w swojej nowo powstałej szkole.

MARION NELSON: Tak. Zależało mu na osobach godnych zaufania.

GEORGE MARSH: Jest pani jedyną pracowniczką dziennika zatrudnioną w Akademii.

MARION NELSON: Tak.

GEORGE MARSH: Jak pani sądzi, dlaczego pan Ellingham zatrudnił u siebie tylko panią?

MARION NELSON: Wydaje mi się... Tylko ja miałam odpowiednie kwalifikacje. Nie jestem dziennikarką. Byłam sekretarką.

HENRY EVANS: Miała pani jeszcze jakąś posadę w szkole? Wykładała pani może?

MARION NELSON: Uczyłam biologii.

HENRY EVANS: Zatem uczyła pani biologii i mieszkała w Domu Minerwy. Zgadza się?

MARION NELSON: Tak.

HENRY EVANS: Jak wynika z naszych badań dokumentacji szkoły, poza panią nikt z grona pedagogicznego nie był zaznajomiony z interesami Alberta Ellinghama. Nie tylko z gazetą. Ze wszystkim, czym się on zajmował.

MARION NELSON: Owszem. I co z tego?

HENRY EVANS: To nie pytanie, panno Nelson, tylko spostrzeżenie. Ciekawe, że spośród kilkuset swoich pracowników Albert Ellingham postanowił zatrudnić w szkole właśnie panią.

MARION NELSON: Zatrudnił też pana Marsha.

GEORGE MARSH: Nic podobnego. Pracuję w Federalnym Biurze Śledczym. Wysłano mnie tam po prostu. Tak czy inaczej wybrał panią spośród wszystkich swoich ludzi.

MARION NELSON: Jak już wspomniałam, Albertowi... panu Ellinghamowi zależało na zaufanych osobach...

HENRY EVANS: Chyba istotnie są państwo blisko. Skoro zwraca się pani do niego po imieniu.

MARION NELSON: Nie wiem, co pan sugeruje.

HENRY EVANS: Ależ nic. To luźna uwaga. Niemniej muszę panią teraz zapytać – a przypominam, że sprawa jest poważna – czy pani związek z Albertem Ellinghamem to... coś więcej niż przyjaźń, panno Nelson.

[Przesłuchiwana nie udzieliła odpowiedzi.]

HENRY EVANS: Pytam nie po to, by wprawić panią w zakłopotanie. Pytam, bo musimy przeświecić wszystko, co zaszło w szkole tamtej nocy. Jest nam niezbędna każda informacja.

MARION NELSON: Tak, rozumiem.

HENRY EVANS: Czy więc zechce mi pani odpowiedzieć?

[Przesłuchiwana nie udzieliła odpowiedzi.]

HENRY EVANS: Po opuszczeniu Akademii Ellinghama wróciła pani pociągiem do Nowego Jorku wraz z kilkorgiem uczniów. Potem udała się do mieszkania przy

Piątej Alei 1040.

MARION NELSON: Skąd pan wie?

HENRY NELSON: To bez znaczenia. Najważniejsze, że ustaliliśmy fakty. Czy więc tak było?

MARION NELSON: Tak.

HENRY EVANS: Do kogo należy to mieszkanie?

MARION NELSON: Do Korporacji Ellinghamów. W tej chwili nie mam własnego. Mieszkam w szkole. Pan Ellingham pozwolił mi się zatrzymać w mieszkaniu firmy.

HENRY EVANS: A kiedy pani to przekazał? Że może się pani tam zatrzymać?

MARION NELSON: Gdy... kazał nam opuścić Akademię.

HENRY EVANS: Jest pani świadoma, że okłamanie agenta to przestępstwo? Podkreślam, że by znaleźć zaginione, potrzebujemy rzetelnych informacji. Bez informacji nic nie zdołamy, to chyba jasne. Im później je zdobywamy, tym wolniej toczą się poszukiwania; fałszywe informacje to rzecz jasna fałszywe tropy. Czy rozumie pani, co mam na myśli?

[Przesłuchiwana jest wyraźnie zdenerwowana.]

MARION NELSON: Mój Boże. Jak to się stało? Moglibyśmy przerwać na moment? Na chwileczkę?

HENRY EVANS: Panno Nelson, mocno liczę na szczerść z pani strony. Będąc szczerą, niczego pani nie ryzykuje. Nie zamierzamy narażać na wstyd pani ani pana Ellinghama. Po prostu musimy się dowiedzieć. Ta informacja może zostać użyta przeciw niemu albo pani. Jest nam potrzebna. Czy państwa związek ma charakter czysto przyjacielski?

MARION NELSON: Przecież wiecie! Czemu pan pyta? Dlaczego pyta mnie pan o to, skoro już wiecie?

[Przesłuchiwana potrzebowała nieco czasu, by się uspokoić.]

HENRY EVANS: Jak długo to trwa?

MARION NELSON: Siedem lat.

HENRY EVANS: Czy ktoś o tym wie? Wie o tym żona pana Ellinghama?

MARION NELSON: Ona nie wie. Jest... nieobecna.

HENRY EVANS: Jak to rozumieć?

MARION NELSON: Yyy... Nie chcę o niej mówić źle. Wiem, jak można to odebrać, zwłaszcza teraz. Ale wiercie mi, panowie, jest do niego niepodobna. Jest lekkomyślna. A my się rozumiemy, potrafimy ze sobą rozmawiać.

HENRY EVANS: Albert Ellingham zniknął w noc porwania na trzy kwadransy. Około drugiej w nocy. Był w gabinecie, a potem nagle gdzieś przepadł. Wie

może pani, gdzie przebywał w tym czasie?

[Przesłuchiwana nie udzieliła odpowiedzi.]

GEORGE MARSH: Panno Nelson, niech się pani spokojnie zastanowi. Nie mamy zamiaru zaszkodzić czyjejs dobrej sławie. Chcemy po prostu się dowiedzieć, co wtedy zaszło.

MARION NELSON: Spotkaliśmy się.

GEORGE MARSH: Gdzie?

MARION NELSON: Zwykle spotykam się z nim na budowie sali gimnastycznej.

GEORGE MARSH: Domyśla się pani, którądy pan Ellingham mógł dotrzeć na to spotkanie niezauważony? Nikt nie widział, jak wychodzi z gabinetu ani domu.

MARION NELSON: Mamy... swój sposób.

[Przesłuchiwanej pokazano fotografię listu Nieodgadnionego.]

HENRY EVANS: Zna pani ten list?

MARION NELSON: Pierwszy raz widzę go na oczy.

HENRY EVANS: Czy Albert Ellingham kiedykolwiek o nim wspominał?

MARION NELSON: Nie.

HENRY EVANS: Pracując w gazecie, odbierała pani podobne anonimy?

MARION NELSON: Czasem listy z pogrózkami, naturalnie. Ktoś podłożył bombę w samochodzie Alberta. Dostawaliśmy listy, tak, najrozmaitsze.

HENRY EVANS: Proszę mu się uważnie przyjrzeć. Czy w redakcji spotkała się pani z podobnym?

MARION NELSON: Z takim nigdy. Nie dostawaliśmy wycinanek.

HENRY EVANS: Czy jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? Cokolwiek? Coś, co wiąże się z Iris lub Alice?

MARION NELSON: Mała Alice... Albert oddałby za nią życie. Rozumie pan? Żyje dla niej. Jakby poza nią...

HENRY EVANS: Co takiego?

[Przesłuchiwana nie udzieliła odpowiedzi.]

HENRY EVANS: Proszę dokończyć, panno Nelson.

MARION NELSON: Nie widział świata. To wszystko.



– Davidzie... – powiedziała Stevie cicho. Od fetoru i przyspieszonego nagle tętna omal nie zwymiotowała, lecz po chwili udało jej się opanować. – Cofnij się.

– Co się dzieje?

– Jest zablokowany. No, odejdz.

Choć całą sobą próbowała opanować drżenie głosu, David wyczuł, że stało się coś złego. Przysunął się do niej, żeby zajrzeć do tunelu.

– Co się, do cholery...

Po westchnieniu poznała, że się zorientował.

– Odsuń się – powtórzyła łagodnie. – Odsuń się, odsuń. Tak trzeba.

– Stevie... – zaczął niemal pogodnie, usiłując dodać jej otuchy.

– Odwróć się – rzekła Stevie, odsuwając go leciutko. – Bardzo proszę, byś się odwrócił.

„Wtedy Larry tak samo mnie upominał. Bym nie patrzyła, bo na zawsze utkwi mi to w głowie”.

– Nie możemy jej zostawić – odrzekł David.

– Sprowadzimy pomoc. Odwróć się. Chodźmy.

Musiała go zawrócić do głównego tunelu. Przyływ adrenaliny rozjaśnił jej umysł. Dokładnie wiedziała, co powinna zrobić, jak wziąć go za rękę i odprowadzić do wyjścia.

Kiedy dotarli do drabiny, Nate wypatrywał ich, zaglądając do otworu. Kaptur czarodzieja opadł mu na kark.

– Odsuń się – nakazała Stevie. – Szybciej, szybciej.

Gdy Nate się odsunął, wygramolili się na górę. Stając, David zatoczył się i, zgięty w pół, omal nie zwymiotował na korytarzu.

– Co się dzieje? – spytał Nate. – Co tam jest?

Stevie potrząsała głową, nie znajdując słów i starając się wstrzymać wymioty.

– Co się dzieje?! – powtórzył Nate.

– Ellie – odpowiedziała wreszcie. – Ellie.

– Jak to: Ellie? Schowała się? Muszę wezwać pomoc!

Stevie tylko pokręciła głową. Nate pojął komunikat. Osłabiony, oparł się o ścianę.

Stevie wyjęła z kieszeni komórkę. David czepiał się rękami ściany.

– Nie, nie dzwoń. Ja to zrobię – rzekł, wyciągając komórkę. – Powinniście wrócić do pokoi. Włóżcie słuchawki i puśćcie coś na full. – Ciebie tam nie było – zwrócił się do Stevie. – No, idźcie.

– Cooo? – spytała Stevie.

– Nie mogłaś tam być, Stevie, rozumiesz? Rozumiesz, Nate? Stevie tam nie było. Byłem tam sam. Wszedłem sam i kropka.

– Jak to? – spytał Nate. – Okłamujemy gliny?

– Wiesz, co się stanie, jeśli okaże się, że Stevie tam weszła? Dam sobie radę. Stevie nie. Zgłosimy to i nic więcej. – Zaczerwieniony David mówił znanym Stevie nagłym szorstkim tonem. Nate poszarzał, nabrał koloru swojej szaty czarodzieja. – Wróćcie do siebie – błagał David – i zamknijcie drzwi za sobą. Poza tym nic już nie róbcie.

Nate zaklął pod nosem, ale poderwał się spod ściany.

– Idziesz? – spytał Stevie.

Stevie straciła orientację. Jeszcze przed chwilą była w wąskim tunelu, w ramionach Davida, w objęciach ziemi, sama wobec wszechświata. Gdy nagle... Ellie.

Nate potrząsnął ją za ramię.

– Jak nie idziesz, ja też nie – powiedział. – Powiedz, co zamierzasz, bo mąci mi się w głowie.

David spojrział na nią. „Włosy wciąż ma zmierzwiłone od piaseczot. Całowałam go po gładkiej szyi...”

Wspomnienie Stevie zatruł fetor z tunelu.

„Davidowi nic nie grozi. Nate, rzecz jasna, nie wie dlaczego”.

– Idę – odparła. – Wracaj do siebie.

Miała sobie za złe, że zostawia Davida, ale Nate był teraz jednak ważniejszy. Nate przeżył śmierć Hayesa tak dotkliwie, że musiała oszczędzić mu nowych cierpień.

– Jezu Chryste – szepnął Nate, odchodząc. Na krętych schodach potknął się o rąbek peleryny.

Stevie wzięła wdech i, chwiejąc się, niemal bezwolnie ruszyła z powrotem do pokoju.



Po kilku minutach z dołu dobiegły ją głosy. Włożyła słuchawki, ale niczego nie włączyła. W uszach brzmiało jej tylko przyspieszone bicie serca. Kolejne głosy... Rosnący hałas w świetlicy i na korytarzu.

Włączyła muzykę. Głośno. Zamknęła oczy i oparła głowę o ramę łóżka. Gdy ktoś zapukał, najpierw nic do niej nie dotarło. Zbyt podkręciła głośność. Pix w końcu weszła.

– Stevie?

Stevie wolno otworzyła oczy. Wysilek był straszny, światło z sufitu oślepiające.

– Stevie – powtórzyła Pix. – Możesz... przez moment nie wychodzić? Coś się zdarzyło. Nic poważnego. Ale ochrona musi zerknąć na coś na korytarzu.

– Jasne – odpowiedziała Stevie sennie.

– Wybacz, że przeszkadzam. Spokojnie śpij dalej.

Stevie znów opuściła powieki, pod którymi przepływały obrazy jak w filmie. Przywołała dotyk i pocałunki Davida. „Zabrakło czasu, żeby się nimi nacieszyć...”

Doznanie zgasło, zdławione przez kolejne.

„Wszystko to zdarzyło się już, tylko w innej konfiguracji”.

Pix wróciła i kazała jej spakować trochę rzeczy.

– Nie spiesz się – uspokoiła, choć na jej twarzy malował się szok. – W domu coś nie gra, więc tę noc prześpiemy gdzie indziej.

Stevie wstała z łóżka i zaczęła napełniać plecak jak automat. Upchnęła do środka lekarstwa, ubranie, laptop i komórkę. Już miała zamknąć plecak, gdy coś jej się przypomniało. „Puszka. Nie zmieści się”. Wyjęła koszulę zajmującą cenne miejsce i zastąpiła ją puszką. „Lepiej dmuchać na zimne” – pomyślała.

Koniec korytarza zasłaniał ochroniarz. Nate siedział przy stole w świetlicy, a Janelle – wciąż w przebraniu Wonder Woman – pakowała się w pokój. Pix stała przy stole, przygnębiona.

– Gdzie jest David? – zapytała Stevie.

– W Wielkim Domu. Znalazł Ellie. W tunelu. Było z nią... źle. Umarła.

– Pix czekała, aż Stevie to przyswoi.

– Gdzie się przenosimy? – spytał Nate.

– Szykujemy na nocleg jurte. Wniosą tam łóżka. Pozawieszamy przegrody. Będzie przytulnie. Da się porozmawiać.

– A, super – odrzekł Nate, skrobiąc paznokciem po blacie.

– Czekamy na Janelle. Idę po rzeczy.

– Pewnie ją męczą zgony Minerwian – powiedział Nate, gdy Pix poszła na górę. – Wiesz, ile musi wypełnić papierów? – Stevie nie zareagowała, więc klepnął ją w rękę. – Nic ci nie jest? – spytał.

– Nie mam pojęcia.

– Kurczę blade, jak to możliwe? Wydawało mi się, że zwiła z jakimś cyrkiem... Nie sądziłem, że... jest pod nami.

– Tak naprawdę – odparła Stevie – jej nie było. Była daleko.
– Mhm, jasne.
– Wiesz, co mam na myśli.
– Wiem, co masz na myśli. Wiem, że w tej szkole bywa beznadziejnie.
Nie żyje dwoje uczniów.

– To nie wina szkoły.
– Niby racja, ale może to miejsce...
– Chcesz powiedzieć, że jest przeklęte?
Nate pokręcił głową.

– Chcę powiedzieć, że zginęły dwie osoby, czyli znacznie więcej niż w mojej dawnej szkole. Okropne rzeczy zdarzają się wszędzie. No ale tutaj suchy lód w tunelu, śmierć przez uduszenie po ziemią... Makabra.

Stevie skuliła się, odpływając myślami do historii Davida o jego mamie i siostrze, do swoich obietnic, paskudnej sprawy, którą chciała rozwiązać, i do przykrego chłodu pod ziemią.

Pojawiła się Janelle w spodniach od pizamy i ogromnym kosmatym swetrze, ze srebrną torbą podróżną na ramieniu. Podeszła do przyjaciół i objęła oboje. W kącikach jej oczu zaszklily się łzy.

– Pix zgodziła się, by Vi poszła z nami, jeśli tylko nie macie nic przeciwko temu. Bardzo bym chciała się z nią zobaczyć.

– Jasne – odrzekła Stevie. – Oczywiście.

Nate kiwnął głową, zamyślony.

– Znalazł ją David. Wzięli go do Wielkiego Domu.

Niebieskie drzwi skrzypnęły i do świetlicy wszedł Larry w czerwono-czarnej polarowej kurtce, z trzeszczącą u pasa krótkofalówką. Baczenie przyjrzał się grupce przy stole.

– Zabierzemy was teraz do jurty. Reszta uczniów na razie nic nie wie. Część się jeszcze bawi. Bądźcie tak dobrzy i nie rozgłaszajcie tego. Vi Harper-Tomo zezwolono spać w jurcie. Ale nie piszcie o tym w esemesach nikomu.

– Dobrze – odparła Janelle.

Larry skierował uwagę na Stevie. Czytał w jej myślach. Chciała zamknąć się cicho jak książka.

„Ale człowiek to nie książka, niestety”.

Ruszyli w mrok w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Złodowaciałą noc rozjaśniał mętny blask księżyca. W połowie drogi wyszła przed nich Vi pod opieką wychowawczynie Junony.

– Co jest? – spytała. – Nic się wam nie stało?

Spojrząwszy na Janelle, otarła jej łzy kciukiem.

– Pogadamy na miejscu – odpowiedziała Janelle. – Bądź spokojna. Musimy się tylko przeprowadzić.

Nate nałożył słuchawki, spuścił głowę i się wyłączył. Stevie nie bardzo wiedziała, kto prowadzi, zauważyła jednak, że ona i Larry zwalniają tempo, oddalając się od reszty. „Więc albo on chce ze mną porozmawiać, albo ja dążę do rozmowy podświadomie. Tak czy owak napięcie jest nie do wytrzymania...” Kiedy minęli kamienne głowy, przystanęła. Larry dał znak pozostałym, by szli dalej. Oparł się o jeden z cokołów i zmierzył Stevie wzrokiem.

– Chcesz porozmawiać? – spytał.

– Byłam na dole.

– Wiem. – Larry podetknął jej sztuczne wąsiki.

„Odpadły pewnie, kiedy się całowaliśmy. Zapomniałam, że je sobie przykleiłam”.

– Powiedz mi teraz dokładnie, jak było.

Stevie wyjęła z kieszeni strzęp worka. Podała go Larry’emu.

– Znalazłam to tam na ziemi.

– Co ty wyprawiasz, Stevie? Zabroniłem ci chodzić po tunelach.

– Fenton... doktor Fenton podejrzewała, że gdzieś jest tunel. Rozejrzałam się i go znalazłam. W ramach... zadania. Nie

przypuszczałam, że będzie tam Ellie. Tunel jak każdy. Nie chciałam wchodzić, a on wszedł.

– David.

Stevie przytaknęła.

– Musiałam pójść za nim. Bałam się, że coś mu się... Sama nie wiem.

– Znalazłaś coś oprócz...? – Larry uniósł strzęp worka.

Pokręciła głową.

– Śmierdziało.

– Tego się nie zapomina. Można próbować sobie radzić; to niełatwe.

– Ona... utknęła? – zapytała Stevie. – Gdy uciekała z Wielkiego Domu tamtej nocy?

– Tak przypuszczam – odpowiedział Larry. – Odnaleźliśmy drugi koniec tego przejścia. Nie mieliśmy pojęcia, że istnieje. Właz jest w posadzce piwnicy Wielkiego Domu, niewidoczny, bo zlewa się z sąsiednimi płytami. Kiedy Ellie weszła, coś odcięło jej drogę.

Stevie z miejsca przywołała w pamięci opowiadanie Poe'go *Beczka Amontillada*, w którym ofiara zostaje zwabiona do katakumb, przykuta do ściany i zamurowana żywcem. „Potworność”. Stevie łakomie wciągnęła w płuca rześkie powietrze. Fetor nie opuszczał jej nozdrzy, skóry, myśli.

– Co ze mną będzie? Musi pan mówić policji, że tam weszłam?

Larry klepnął się po udzie i głęboko westchnął.

– A Nate? – spytał.

– Nate nie poszedł z nami.

– Jest rozsądniejszy niż wy dwoje razem wzięci.

– Powstrzymywał nas. Został na górze, na wszelki wypadek.

– Zdecydowanie rozsądniej – orzekł Larry. – Więc po kolei. Znalezienie i zgłoszenie ofiary wypadku... Praktycznie rzecz biorąc, znalazł ją David. Nie zgłasza się czegoś, czego się nie zobaczyło. – Było inaczej, ale Stevie go nie poprawiła. – Jeśli coś się zmieni, masz mi zaraz

dać znać. Pod żadnym pozorem nie zwiedzaj tuneli. Odtąd postępujesz według ustalonych reguł.

– Dziękuję – odszepnęła Stevie.

– Nie dziękuj. Nie chodzi o wdzięczność. Chciałaś śledzić kogoś, kto robił coś głupiego, a przy okazji sama postąpiłaś głupio. Davida Eastmana znam na tyle dobrze, że wiem, że by tam wskoczył bez namysłu. Nic mu nie grozi bez względu na wszystko. Domyślam się, że dobrze wiesz dlaczego.

Stevie, słysząc to, skamieniała.

– Znasz jego ojca. – To nie było pytanie.

Przytaknęła.

– Ojciec przyczynił się do twojego powrotu?

– Powiedział panu? – zapytała Stevie.

– Nikt nie musiał mnie o tym informować. Nagła zmiana planów, współpraca Kinga z twoimi rodzicami, niespodziewany powrót samolotem, choć o tej porze żadnych lotów nie ma, nie wspominając, że pewnie niezbyt chciałaś wracać...

Stevie głośno westchnęła.

– Co dostałaś? – zapytał Larry.

– Podwózkę.

– Co jeszcze?

– Nic – odparła Stevie.

– Czego chciał od ciebie?

– Żebym... tutaj była. Z powodu Davida. Ja po prostu chciałam wrócić do Akademii.

„Do kogo to właściwie mówię? Do Larry’ego czy do siebie?” – pomyślała.

Larry warknął pod nosem.

– Ty jesteś w porządku – odparł. – Edward King to łotr spod ciemnej gwiazdy, a jego syn to cwaniaczek... – Raptem urwał, gdy Stevie

poczuła, że na ten temat mógłby mówić w nieskończoność. – Czyli Edward King umożliwił ci powrót w zamian za pilnowanie Davida. Dowiaduję się ciekawych rzeczy.

– David nie wie – odparła.

– No, ja go nie oświecę. Cała ta historia...

Potrząsając głową, Larry znowu przerwał.

– Ale możemy się zobaczyć? – zapytała. – Właśnie odnalazł zwłoki przyjaciółki.

Larry westchnął przeciągle.

– Jest w bibliotece – odpowiedział. – Wzięli go tam, bo w Wielkim Domu jest za tłoczno. Zaprowadzę cię, bo dziś nie możesz chodzić sama. Ale musisz sobie wbić do głowy, że nie tobie go bronić. Szczerze żał mi chłopaka, ale nie rób tego. Rozumiesz, Stevie?

– Mhm.

– Nie – odrzekł Larry. – Nie do końca. Nie waż się łączyć za nikim po ciemku. W życiu dosyć się już na to napatrzyłem.

Stevie nie wiedziała, co Larry ma na myśli, lecz ogólnie rzecz biorąc, zrozumiała.



Gdy Stevie i Larry zmierzali do biblioteki, wokół unosiła się intensywna woń opadłych liści. „Jak to się dzieje, że w najgorszych chwilach Akademia zdaje się wręcz buchać życiem? Wszędzie czuć aromat ziemi i powietrza, światło wyostrza kontury jak nigdy... W mroku majaczy Wielki Dom o oświetlonych oranżowo oknach, gaśnie zabawa, a ludzie nie wiedzą o kolejnym zgasłym tu istnieniu. Czy ta góra jest przeklęta? Może Nate ma rację – myślała Stevie przy głośnym wtórze swoich kroków. – Nazywano ją Toporzyskiem. Może ku przestrodze. «Nie przyjeżdżaj tu i jej nie wysadzaj tylko po to, by budować swe imperium». A ty nie szukaj śmierci i zbrodni, Stevie, bo jeszcze je znajdziesz, uważaj”.

W płaszczu z winylu było jej chłodno, chociaż pod spód włożyła gruby szkolny polar. Dżinsy miała cienkie. Nie owinęła się szalikiem, więc zimne powiewy smagały jej kark.

„Ellie zawinięta w worki na śmieci pod ziemią”.

Nadal czuła.

Ten zapach. Jej zapach.

Z Wielkiego Domu wybiegło kilka osób. Wciąż przebranych.

Ellie nie żyła. Znalazioną ją w Halloween. W tunelu.

„Oto cała prawda o Akademii” – pomyślała Stevie.

„Ellie otaczał gęsty mrok. Straciła orientację. Szukając wyjścia, obmacywała ściany, biegła tam i z powrotem. Ile to trwało? Kilka godzin? Kilka dni? Płakała. Musiała hiperwentylować. Jak mnie w

napadzie lęku, wsysała ją próżnia. Biegała i krzyczała. Tłukła się. Skrobała. Pragnienie, głód i niemoc...”

Stevie stwierdziła, że musi się pozbyć takich myśli. Miała robotę: znaleźć Davida, który znalazł Ellie.

Biblioteka rozbrzmiewała cichym pogwarem. Kilku ochroniarzy rozmawiało z policjantami z miejscowego posterunku. Przy skwerze nie było ani jednego policyjnego samochodu; zaparkowano je na poboczu drogi technicznej, by nie wywołać paniki. Mimo obecności ludzi biblioteka sprawiała wrażenie pustej katedry. Za sprawą osobliwej sztuczki architektów, wpadający drzwiami wiatr tworzył we wnętrzu lekki wir powietrzny. Powietrze omiatało ze świstem misterne kręte schody i balkony z kutego żelaza, wprawiając w drżenie luźne kartki książek. Odgłosy rozmów wlatywały aż pod sufit. Podniósłszy wzrok, Stevie ujrzała po raz pierwszy gwiazdozbiory namalowane na błękitnym stropie.

Larry naradzał się szeptem z jednym z ochroniarzy.

– Jest na górze w czytelni – rzekł do Stevie. – Z psycholożką. Czeka, sprawdzę, jak to wygląda.

Stevie patrzyła, jak Larry wspina się na pierwsze piętro, a potem znika wśród stosów książek. Kilka minut później stanął na balkonie i zamachał do niej, żeby przyszła. Żelazna poręcz schodów była zimna, a kroki Stevie niosły się echem. Jakby biblioteka była niezadowolona, że narusza się jej spokojny zwykły rytm.

– Możesz z nim pomówić – wskazał Larry cicho. – Według psycholożki przyda się to wam obojgu. Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem.

Zaprowadził ją na kraniec obszernego przejścia między geografią a geologią, ku rzędowi książek o zielonych grzbietach, dochodzącemu do posepnych drewnianych drzwi ze złoconym napisem.

Niewielką czytelnię oddzielały od innych pomieszczeń na piętrze ściany wyłożone do połowy matowym szkłem. Dawne sprzęty zastąpiono szarą kanapą dwuosobową, czterema włochatymi

poduchami i równie włochatym dywanikiem – na wypadek, gdyby uczniów nie zadowalał żaden z pozostałych sześciuset kątów do czytania.

Unikający podobnych miejsc David siedział na podłodze pod ścianą, w płaszczu za dwa tysiące. Nogi lekko zgiął w kolanach. Wpatrywał się w buty. Zamieniwszy z nim parę słów, psycholożka podniosła się z oparcia kanapy i otworzyła drzwi Larry’emu i Stevie. Stevie знаła ją już, bo jako jedna z kilku wspierała uczniów po śmierci Hayesa.

– Zechcesz wejść? – zaprosiła ją właściwym terapeutom łagodnym tonem.

Stevie ostrożnie weszła do czytelnicy. David podniósł głowę. Był zmizerniały.

– Hej – rzekła Stevie.

– No hej.

Pomijając schrypnięty głos, nic nie zdradzało jego niedawnych przeżyć.

Psycholożka wycofała się i zamknęła cicho drzwi. Stevie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Siły uszły z niej nagle. Siadać nie chciała, a stojąc czuła się nieswojo. „Może przysiąść na oparciu kanapy jak psycholożka? – pomyślała. – Nie, bo stworzyłoby to dystans jak między lekarzem a pacjentem”.

Po dłuższej chwili niezręcznego milczenia Stevie usiadła na podłodze przy Davidzie. Czuła emanujące od niego ciepło. Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się między nimi, nie miała powodu do zdenerwowania. A jednak ogarnął ją niepokój.

– Szykują dla nas miejsce do spania w jurcie – powiedziała.

– Coś jak obóz – odparł David. – Obóz smutku. – Kilka razy zacisnęła dłoń na kolanie i raptem chwycił Stevie za rękę. – Okej. – Zaśmiał się ponuro. – Trzeba było cię posłuchać i nie włączyć. Bo jak zabraniasz, to...

Stevie mogła skupić się tylko na ręce, ciepłym wnętrzu jego dłoni i tym, co przekazywał jej dotykiem. Potrzebował siły – jej siły. Dreszcz

rozszedł się falą po jej ciele.

– Wiedziała – szepnął David. – O mnie. Tylko ona wiedziała przed tobą.

– O twoim ojcu? – zapytała Stevie.

– Upiliśmy się trochę i jej powiedziałem. Jakoś tak czułem, że nie będzie mnie oceniać. Siedzieliśmy w pracowni na strychu. Robiła collage i miała butelkę niemieckiej wódki o smaku syropu na kaszel. Coś ohydneho. Gdy to usłyszała... wybuchnęła śmiechem. Odparła, że nie ma się co przejmować. Mogła rozgadać, ale wiem, że nie rozgadała.

Głos mu się łamał. Stevie zapatrzyła się w posadzkę. Wiekowe płytki były popękane, całe w rysach. Zanosiło się na burzę, jakiś kolosalny wybuch. „Żeby tak nas zalał ocean wiewiórek...” Już-już pytała Davida, skąd wzięli ich tyle, gdy się rozplakał.

Nie wiedziała, jak zareagować.

Zmobilizowała się jednak. Ogarnęła go ramieniem. „Przy rozproszonym świetle, w intymnym otoczeniu książek całuje się łatwiej niż w mrocznym tunelu...”

Oblał ją pot. Myśli wirowały. Dręczyła obietnica złożona Kingowi. Zaprzyjaźnić się z Davidem. Dbać o niego. Zatrzymać go. Zadrwić z uczuć, jakie wobec niego żywi – by dostać to, na czym tak jej zależy. „Czy moja relacja z Davidem jest szczerą, czy to element haniebnego układu?” Stevie się gubiła. Edward King zrobił z niej kłamczuchę. Przekabacił ją. „Gdybym teraz dotknęła Davida, byłabym współniczką Kinga”.

Niemniej nie mogłaby go teraz zostawić. Ujęła więc jego dłoń i ścisnęła mocno. Chciała zawrzeć w tym uścisku wszystko, czego nie potrafiła wypowiedzieć. David uścisnął jej dłoń w odpowiedzi i przypadł do niej, zanosząc się szlochem.

Stevie przywarła do ściany, niezdolna się ruszyć. Taki wylew uczuć wprowadził ją w panikę. Po chwili David się cofnął, złapał oddech i otarł łzy.

– Kurde – rzekł. – To siedzenie jest wykańczające. Chodźmy do jurty smutku.

„Ani trochę nie speszył się tym płaczem. Nie że powinien. Ja bym się speszyła. David po prostu nie wstydzi się być sobą”. Wstał i pomógł Stevie się podnieść, nie wypuszczając jej dłoni. Byli już parą.

Na końcu przejścia między regałami, przy balkonie, psycholożka konferowała z MówciemiCharlesem. Dyrektor – już bez melonika i wąsów – miał na sobie zwykły czarny płaszcz, spod którego wystawały spodnie i buty Chaplina. „Halloween jest przedziwny” – pomyślała Stevie.

– Jak się miewacie? – spytał, gdy podeszli. „Zauważył, że trzymamy się za ręce”.

– Tak jak pan myśli – odpowiedział David.

MówciemiCharles poważnie kiwnął głową.

– Możemy już iść do jurty? – spytał David. – Czy jestem jeszcze potrzebny?

– Na razie skończyli – odparł Charles. – Pewnie później będą mieli więcej pytań. Teraz pobądźcie z przyjaciółmi, odpocznijcie. Każę komuś was tam odprowadzić.

– Może dajmy sobie z tym spokój? – zaproponował David. – Pójdziemy sami. Przecież nie zginiemy.

– Oczywiście – odrzekł Charles. – Tylko idźcie razem.

David ruszył, Stevie za nim, wciąż trzymając go za rękę.

– Nie martw się, Stevie – szepnął Charles, gdy odchodzili. – Wszystko będzie dobrze. Porozmawiamy z rodzicami.

Rejestrując to, David się odwrócił. Po czym zeszli po kutykach schodach w zimną noc.

Gwiazdy świeciły jasno. Stevie nigdy nie widziała piękniejszych ani tyłu, ile w bezchmurne noce tutaj. Wiszący nisko nad ziemią jasnożółty księżyc w nowiu rzucał nieco światła na Wielki Dom i trawnik.

Zbliżywszy się do jednej z lamp przy ścieżce, zobaczyli nad sobą kamerę. Przystanęli i spojrzeli na nią.

– Dyrekcja musi być bardzo życzliwa – odezwał się po chwili David.

– Wobec kogo?

– Twoich rodziców. Pilnuje, by tam nie zwariowali. Uspokoić wszystkich chyba jest niełatwo, gdy umierają uczniowie.

– Mhm.

– Pewnie nieźle ich zbajerowałaś, skoro pozwolili ci tu wrócić. Co im nagadałaś?

Łomot serca omal nie zagłuszył myśli Stevie.

– Yyy... Nie wiem, czym kierują się rodzice.

W przypadku Davida odpowiedź pozorna nie odniosła skutku, inaczej niż w przypadku Nate'a.

– Siedziałem na dachu, kiedy przyjechałaś. Widziałem, jak wchodzisz do domu. Był piątkowy wieczór, dosyć późno. Nie umknęło mi to, chociaż ostro odleciałem.

„To nie pytanie, to stwierdzenie faktu” – na tę myśl ogarnęła Stevie zgroza.

– Pewnie długo jechaliście – dodał David.

– Przyleciałam – odparła.

– A. Supcio. Za pierwszym razem chyba przyjechałaś...?

Musiała otworzyć usta i odpowiedzieć, bo każda sekunda odpowiadała za nią. „Ale jak? Jeśli powiem prawdę, to się przyznam”.

Niebieskie oko kamery przyglądało im się chłodno.

– Fajny samolot – stwierdził David. – Częstował cię chipsami?

Upłynęło parę sekund, a może minuta. Czas się rozciągał, przesłaniając krajobraz. Gwiazdy stłoczyły się, by usłyszeć odpowiedź.

– Słuchaj...

„Okropny początek – pomyślała. – «Słuchaj» to takie defensywne słowo”.

– Słucham.

Stevie zapragnęła cofnąć taśmę, wrócić do tunelu, do pocałunków. Śmiechu. Ciemności. „Mogłam wtedy mu powiedzieć. Zrozumiałby. No a teraz... nie da się odtworzyć nastroju”.

David siadł na jednej z ławek przy ścieżce i wyciągnął nogi. Założywszy ręce na piersi, czekał.

– Że też nie wpadłem na to wcześniej: coś tak oczywistego. – Uśmiechnął się zjadliwie, kręcąc głową.

– Przyszedł do nas w piątek – odparła Stevie. – Był już w domu, gdy wróciłam ze szkoły. Rozmawiał z rodzicami. Opowiadał o systemie bezpieczeństwa. Przekonywał ich, że powinnam wrócić.

– Ach, jak miło z jego strony – odrzekł David. – No i co? Zaprosił cię do samolotu?

– Nie chciałam z nim gadać. Nie chciałam jego towarzystwa.

– Ale przelecieć się zgodziłaś? – spytał David.

– Owszem – odparła. – Musiałam tu wrócić. Czułam, że nie jest miły całkiem bezinteresownie. Gdy zapytałam, co chce w zamian, odparł... że nic. Musiałam wracać, bo... – Nie znajdowała punktu zaczepienia. Podjęła ryzyko, po czym się nagle pogubiła. David działał jak wytrawny wywiadowca: Stevie zwierzała mu się, więc jej nie przerywał. – Poprosił tylko, bym z tobą rozmawiała, bo według niego świrujesz. No i tyle, więc... Odpowiesz coś?

– Co niby? – zapytał lodowato David. Jego głos drżał jeszcze, ale twarz nie wyrażała emocji.

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz – odpowiedziała, zgnębiona.

– Czego chcę?! Zadajesz się z ojcem. Nawet ty. Podporządkował sobie nawet ciebie.

Z oczu Davida popłynęło kilka łez. Ale zaśmiał się. Ochryple, z goryczą. Potwierdziły się jego najgorsze podejrzenia.

Stevie zmierzyła się z tym tak, jak każdy winny. Uciekła. Był to kretyński, ale najsensowniejszy teraz odruch. Pognęła ścieżką, ale by się

schować przed Davidem, szybko skręciła, przecinając ciemnawy skwer. „Odruch ucieczki należy do najbardziej naturalnych. Ucieczka lub walka. Terapeutka mówiła, że gdy się zacznie cykl reakcji, trzeba go skończyć. Gdy chce się biec, to się biegnie, dopóki ciało albo siła z zewnątrz nie nakaże się zatrzymać”.

Stevie przystanęła pod drzewami z drugiej strony skweru. Nie biegła regularnie, więc mocno się zdyszała. Zwolniła tempo, by sprawdzić, czy David poszedł za nią. „Skąd. Nie ma powodu”.

Ruszyła dalej, do kręgu kamiennych głów, grupki plotkarzy zastygłej między Minerwą a jurta. Oparła się o jeden z cokołów i zaczerpnęła tchu. „Muszę się sprężyć. W jurcie czekają przyjaciele. Tam będę mile widziana”. Z drugiej strony bała się im spojrzeć w twarz i lękała się kolejnej rozmowy z Davidem.

Chwilę kręciła się pod ciemnym niebem, zirytowana, że jest tak ogromne.

„Może zadzwonić do rodziców i wyjechać...”

Czując, że przemawia przez nią strach, postanowiła jednak wziąć się w garść.

„Powinnam...”

Stevie otworzyła przednią kieszeń torby i wygrzebała metalową buteleczkę wielkości kciuka. Odkręciła ją i wytrząsnęła zawartość na rękę.

Była to mała biała tabletki ativanu^[8], którą nosiła na wszelki wypadek, sądząc, że pewnie nigdy jej nie weźmie. Wsunęła ją do ust i, odchylając głowę, nie bez wysiłku połknęła na sucho. Na efekt musiała poczekać, ale otuchy dodała jej już sama świadomość, że lek za chwilę rozpuści się w żołądku i przeniknie do krwiobiegu.

Pragnęła snu. „Położyć gdzieś głowę, gdziekolwiek, i zasnąć. Skoro nie w domu ani w jurcie, to...”

Szybkim krokiem skierowała się do pracowni artystycznej. Tam wklepała kod z identyfikatora, weszła do środka i zamknęła drzwi za

sobą.

Wbiegła do studia jogi: pustej sali z wysokim stropem, lustrzaną ścianą i podłogą z bambusa. Znów starannie zamknęła drzwi i – nie bardzo wiedząc czemu – zablokowała je drążkiem, który obwiązała jednym z pasów do jogi. „Trochę słabe to zabezpieczenie – pomyślała – ale lepsze niż żadne”. Włączyła światło i, sprawdzwszy, czy jest sama, wyłączyła je.

„Kiedy zaczniesz się robić coś dziwnego, łatwiej wytrwać, jeśli się to robi z przekonaniem”. Stevie przystąpiła do budowy kryjówki we wnęcie na akcesoria. Przygotowała sobie grube posłanie z mat, które nakryła kocami, by było jej wygodnie i ciepło. Za poduszkę miał posłużyć złożony koc. Pozostałe akcesoria ułożyła w stos przy kryjówce. – zasłaniając ją, żeby nie spostrzegł jej jakiś ciekawski. Wdrapała się na posłanie i przykryła kilkoma kocami. Było tak cicho i tak ciemno, że poczuła się samotnie. Za oknami świszczwał wiatr, a o dach pracowni ocierały się gałęzie. Koce śmierdziały i trochę gryzły, ale były ciepłe i miękkie. Wyjęła komórkę i zaesemesowała do Nate’a i Janelle.

„Żyję. Kładę się”.

Nate odpisał błyskawicznie: „Gdzie śpisz?”.

Po chwili przysłała odpowiedź Janelle: „Jak się czujesz? Gdzie jesteś?”.

Odpisała obojgu: „Okej, idę spać, widzimy się na śniadaniu”.

„Może zostanę tu do końca życia” – pomyślała. – Ellie... Ellie zaginęła i znalazła się. Porwał ją wiatr i właśnie przywiał, zwrócił. David... Zniszczyłam to, co było między nami. Zabiłam. Zamordowałam w nas uczucia. Wszystko wyszło na jaw...”

Wyczerpana, Stevie przymknęła oczy.

„Larry wie, gdzie jestem – pewnie obejrzał ten żaloszny bieg w całości. W przeciwieństwie do Ellie ja nie zginę”. Myśl, że nad jej drzemką czuwa tylko Larry, była jedyną, która pocieszyła Stevie.



Rano Stevie zbudziła się, więc odniosła sukces. „Gdy w życiu się knoci, trzeba chwalić się za wszystko”.

Usiadła prosto. („Znów punkt!” – pomyślała). Zesztywniała i obolała, czuła suchość w ustach, a włosy sterczały jej na wszystkie strony. Na policzku odgniółł jej się koc, a całe ciało przesiąkła słaba woń lawendy i paczuli. Stevie czuła się, jakby przejechał po niej walec zrobiony przez hipisów.

Po chwili gmerania znalazła komórkę między kocami, na których spała. Zegarek w niej wskazywał dziewiątą pięćdziesiąt.

– Cholera.

Po ativanie sypiała mocno i długo. „Może już ktoś chciał wejść do studia, a do mnie nic nie dotarło”. Wyjrzawszy zza ściany mat i koców, by sprawdzić, czy na horyzoncie nie ma jakichś wściekłych entuzjastów jogi, szczęśliwie nie zobaczyła nikogo. Wypelzła z legowiska. Po skończonej lekcji zwijało się matę, składało koc i mówiło *namaste* albo coś w tym stylu – ale to nie była lekcja, więc Stevie upchnęła wszystko z powrotem pod ścianą i odblokowała drzwi. Niebo było sine, a o szyby zacinął ostro deszcz.

– Genialnie – mruknęła.

Zawzięcie przyklepywała zmierzwione włosy, starając się choć trochę je okiełznać. Starła resztki snu z oczu i ust. Dół winylowego płaszcza, w którym spała, komicznie odgiął się do góry. Wyglądała wprawdzie nie najlepiej, z pewnością jednak przypominała detektywa. „Mogłam

przesiedzieć noc w samochodzie albo w opuszczonym domu, wypatrując przestępców. Detektywi są niewyspani i niechlujni. Oczywiście – pomyślała, wychodząc – nie wszyscy śpią z wyboru w studiach jogi, ale mnie akurat było to niezbędne...”

Górski poranek przywitał ją deszczem i wilgotnym wiatrem. Nie lało jak z cebra, zimny deszcz siąpił jednostajnie. Niebo było bezbarwne, blask straciły nawet liście drzew. Życie uszło z dnia. Deszcz pomógł Stevie wyprostować płaszcz i przygładzić włosy. Szybko minęła pracownię artystyczną. Zbliżając się do skweru i Wielkiego Domu, zobaczyła kilka samochodów policyjnych. I nic poza tym.

– Hej – odezwał się ktoś.

Obróciwszy się, Stevie ujrzała na ścieżce Maris. Ubrana w ogromny kudłaty płaszcz, czarne rajstopy i czerwone buty za kostkę, kuliała się pod wielkim czarnym parasolem z nadrukiem przedstawiającym chmury na błękitnym niebie. Jej czerwoną szminkę było widać z Marsa.

Stevie przystanęła, by na nią poczekać, mimo że deszcz się wzmógł. Maris zaprosiła Stevie uprzejmym gestem pod parasol, co pogorszyło sprawę, bo wciąż trzymała go nad swoją głową.

– Jak się czujesz? – spytała.

Stevie wzruszyła ramionami.

– Kurde, straszne to. – Maris wydobyła z głębin płaszcza e-papierosa.
– Nie mogę uwierzyć... yyy... ale jednak jakoś wierzę.

„Trafne podsumowanie podobnych doświadczeń. Najpierw trudno dać wiarę, a potem się akceptuje. Stało się i już” – pomyślała Stevie.

Nie bardzo chciało jej się rozmawiać z Maris. Nadawały na odmiennych falach. „Ale trzeba przyznać, że tylko Maris naprawdę przejęła się śmiercią Hayesa. Byli parą krótko (choć w tym przypadku „para” to za duże słowo), ale go kochała. Z Ellie kolegowala się, bo jest artystką jak ona. Należy się jej współczucie”.

– Rzadko gadałyśmy, odkąd wróciłaś – rzekła Maris. – A teraz... nie wiem. Może zamkną szkołę? Ale chyba by nie mogli, prawda? Wiesz, co

się stało? Jak ona tam weszła?

Stevie pokręciła głową.

– Chyba łąziła po tunelach z Hayesem – ciągnęła Maris. – Mieli różne tajemnice. Myślisz... Naprawdę myślisz, że to zrobiła Ellie? Zabiła Hayesa? Poważnie? Wydawało mi się, że nie masz racji, no ale teraz...

„Jakżeby inaczej. Moje oskarżenie wydawało się naciągane, dopóki Ellie nie uciekła i tak długo ukrywała się w tunelu, że w końcu w nim umarła...” Gdy jednak Stevie odwróciła się i popatrzyła w stronę Wielkiego Domu, który majaczył w szarym świetle dnia jak jakieś cielsko, jej przekonanie o winie Ellie zaczęło słabnąć. „Może dlatego, że David ufał Ellie – pomyślała. – A może to wyrzuty sumienia”.

Krajobraz nagle jakby się wykrzywił. Stevie zamazały się kontury.

Maris nadal czekała na odpowiedź.

– Wiem tylko o scenariuszu – odpowiedziała Stevie. – Że Ellie napisała *Kres*. Że podprowadziła mu laptop.

Zaciągnąwszy się kilka razy, Maris wypuściła kłąb dymu.

– Jeśli zabiła Hayesa i zginęła tam – rzekła – to dobrze.

„Bezwzględne to. Bardzo. Ale w gruncie rzeczy konsekwentne”.

Zadzwoniła komórka Stevie. „Numer nieznany: pierwszy zły znak”.

– Na razie – pożegnała się z Maris i odbiegła ku portykowi, by odebrać.

– Wybacz, że dzwonię o tak wczesnej porze – rozległ się znajomy głos. – Z tego, co wiem, wczoraj zdarzyło się coś złego. – Senator King dzwonił pewnie z korytarza, bo wokół niego było słycać trajkot. – Element Walker została znaleziona. Przez Davida. Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak – odparła Stevie, zdumiona, że nie trzęsie się na dźwięk jego głosu.

– Cóż – odrzekł. – To chyba jasne, dokąd poszła. Naturalnie jest mi bardzo, bardzo przykro. Coś okropnego. Biedactwo. – Sądząc po tonie,

King był tak zasmucony, jak ktoś, kto upuścił na ziemię niedojedzonego pączka.

Stevie czekała. „Jak widać, David dał znać tatusiowi... Bez względu na to, co nastąpi, dam sobie radę. Wyładuję całą złość, niepokój, wszystko. Najwyższy czas. Będzie super. Niech się dzieje, co chce...”

– Jak według ciebie to zniósł? – spytał King. – Odkrycie ciała. Jak to przyjął? Od niego nigdy się nie dowiem, muszę pytać innych.

Nie na taką odpowiedź liczyła.

– Jest przygnębiony.

– Czyli choć normalnie reaguje. To dobrze. Z tego, co słyszę, radzi sobie coraz lepiej. Myślę, że masz na niego świetny wpływ, Stevie. Dopilnuję, by ktoś zadzwonił dzisiaj do rodziców. Dopilnuję, żeby cię to w żaden sposób nie dotknęło. Wychodzi na to, że nie trzeba się za bardzo niepokoić. Dobrze. Do usłyszenia wkrótce. – Po tych słowach Edward King się rozłączył.

„Więc Edward King nie wie, że wszystko wygadałam. Jeszcze”. Wzdrygnąwszy się lekko, Stevie pomyślała o powrocie, po czym przypomniało jej się, że nie ma dokąd wracać. Dom był miejscem zbrodni, a już na pewno miejscem zakazanym. Obiecała Janelle i Nate’owi, że się z nimi spotka, w tej chwili zaś potrzebowała ich jak nigdy dotąd.

Skierowała się więc do jadalni. W progu zorientowała się, że wszyscy wiedzą, co się wczoraj stało. „Po pierwsze, przyszli wszyscy, co rankiem po Halloween nietypowe”. W sali rozbrzmiewały niespokojne szepty. Maris rozmawiała z grupą znajomych przy kominku tuż za drzwiami. Zamiast jednak siedzieć, stała na jednym z krzeseł. Właściwie kuciała. Jak kura.

„Zachowuje się dziwnie – pomyślała Stevie. – Podobnie do Ellie. Ellie odeszła. Jej miejsce zajmuje nowa”.

Znad jednego ze stołów odgrodzonych przepierzeniami wstała Janelle i pomachała do Stevie. Stevie ruszyła do niej. Byli tam też Nate i

Vi. Stevie usiadła.

– Dokąd wczoraj poszłaś? – zapytała Janelle.

– Biwakowałam – odpowiedziała Stevie.

– Gdzie?

– W studiu jogi. Miałam tam spokój. Deszcz stukał o dach tak przyjemnie.

– Trzeba było zostać z nami. Nic ci nie jest? Spałaś?

Wtem na stole pojawiła się taca. Przyniósł ją i dosiadł się do nich David. Nie spojrzawszy na Stevie, zaczął rozrywać na kawałki boczek.

Żyły na czole Stevie nabrzmiały paniką.

– Nic mi nie jest – odparła.

– A ty jak się czujesz? – spytała Janelle Davida. – Ciebie też nie było.

– Fantastycznie – odrzekł. – Fantastycznie.

Znów wziął się za boczek. Popatrzył na Stevie niewidzącym wzrokiem. Stevie wydało się, że się kurczy, znika. W całej tej krępującej sytuacji było coś toksycznego. Nate wyglądał, jakby chciał się ukryć w swetrze. Vi zerknęła z troską na Janelle, która jak zwykle nie traciła rezonu.

– W jurcie jest miło – powiedziała Janelle. – Wnieśli nam łóżka i pooddzielali je gobelinami.

– Rewelacja – odrzekł David. – Zawsze chciałem tak mieszkać. Jak na pikniku renesansowym.

– Idę po jedzenie. – Stevie wstała od stołu.

Od ostatniego posiłku upłynęło trochę czasu, ale Stevie nie była głodna. Szła wzdłuż kontuaru, wpatrzona w bursztynowe głębiny gorącego syropu klonowego w stągwi z chochlą. Gretchen, która ustawiła się za nią, przesuwiała tacę wolno i ostrożnie, nie dotykając Stevie, jakby bała się czymś od niej zarazić.

– Macie fatalny rok – rzekła Gretchen cicho. – Lubiałam Ellie.

– Ja też. – Wypowiadając te słowa, Stevie uświadomiła sobie, że tak było. „Szalona, kolorowa Ellie. Od początku okazywała mi sympatię. Niedorzeczna w obszarpanych ciuchach, zjechała z hamaka w świetlicy...”

– Myślisz, że ona go zabiła? – zapytała Gretchen. – Serio?

– Nie wiem – odparła Stevie, przesuwając tacę.

– Sorry.

Stevie wbrew sobie pokręciła głową na znak, że wszystko jest w porządku, i ruszyła za kolejką. Wzięła porcję melona, by nikt nie pytał, czemu nie je, i skierowała się z powrotem do stołu.

„Nie zrobiłam nic złego” – powtarzała w myśli, spoglądając na krytyczne miny dyń pod stropem. „Towarzyszyłam Davidowi w smutku. Wyznałam prawdę. To wszystko. Chyba że przekornie chciałam mu dowalić, gdy obnażył się przede mną...? Nie, to chore! Przestań. Usiądź i już. Nie powinnaś się obwiniać”.

Przestrzeń między nią a stołem rozciągała się upiornie i kurczyła. Śniadaniowicze popatrywali na nią, kiedy przechodziła, niektórzy nadal w charakteryzacji i przebraniu. Resztki brokatu, barwne pasemka, rozmazane oczy...

Stevie była w połowie drogi, gdy do jadalni weszła grupa pracowników szkoły – MówciemiCharles, doktor Jenny Quinn i Larry oraz pielęgniarka, psycholożki i kilkoro wykładowców. Korzystając z chwilowego zamieszania, Stevie przemknęła do stołu, usiadła obok Janelle i zaczęła jeść.

Charles, dzisiaj w szarych spodniach i czarnej koszuli, stanął na jednym z krzesel. Obok niego stała doktor Quinn, spokojnie obserwując salę. Ubrała się podobnie – w czarne spodnie z krepy, czarne półbuty i obszerny kardigan z szarej wełny sięgający za kolano. Charles i doktor Quinn wnieśli klimat rodem z uwielbianych przez Stevie skandynawskich seriali kryminalnych. Doktor Quinn upięła włosy w stylowy, podobny do pączka kok. Z niewzruszoną miną przesuwała

wzrokiem po sali niczym skaner. Najwyraźniej czegoś szukała, ale czego? Stevie nie miała pojęcia.

– Moi drodzy – rzekł Charles, unosząc ręce. – Mogę was prosić o ciszę?

Rozmowy umilkły w jednej chwili. Stevie odwróciła się, by posłuchać. Czuła, że David nie spuszcza jej z oczu.

– Jak pewnie wiecie, dotknęła nas ogromna strata. Wczoraj znaleziono Ellie Walker. Przykro mi to mówić, martwą.

Przeraźliwa cisza na sali wskazywała, że wiedzą już wszyscy, ale oficjalny komunikat Charlesa przygnębił ich jeszcze bardziej.

– Chciałbym wam przekazać, co wiemy i co nastąpi – ciągnął. – Najprawdopodobniej doszło do wypadku i Ellie utknęła w tunelu – tunelu, o którym nie było nam wiadomo, a który niezwłocznie zbadamy i zaplombujemy. Tunel prowadzi do jednego z budynków, Domu Minerwy, zastanowimy się więc, gdzie umieścić jego lokatorów... – Przystał z nogi na nogę i schował ręce do kieszeni. Doktor Quinn przeniosła całą uwagę na stół Minerwian. – W ostatnich tygodniach zazналиśmy wiele smutku. Wiedźcie, że najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo, zdrowie i samopoczucie. Będziemy was wspierać. Zapewnimy...

– Opiekę psychologów – mruknął Nate pod nosem. – Tobie, tobie i tobie...

Janelle ujęła go za dłoń, więc przerwał.

– ...wszelką pomoc. Niektórzy z was pewnie zechcą odwiedzić bliskich. Zadbamy o to w razie potrzeby. Możecie zwracać się do nas w każdej chwili.

Mówciami Charles głądził o procedurach i uczuciach. Stevie wsunęła do ust kawałek melona i przeżuwała go wolno. Zniecierpliwiona, powędrowała myślą do anatomii. „Dis – znaczy «roz-». W iluż to słowach jest ten przedrostek... Rozdzielenie. Rozbieżność. Rozterka”.

Wszystkie dotyczyły jej doświadczeń.

Charles zszedł z krzesła. W jadalni znowu rozległy się szepty. Wszyscy rozprawiali teraz o jego przemowie.

– Więc zamkną szkołę czy jak? – spytał Nate.

– Nie chcemy tego – odparła, podchodząc do ich stołu, doktor Quinn. Mimo że Stevie widywała ją dość często, a kilkakrotnie nawet podsłuchiwała, dotąd nie zdarzyło im się porozmawiać. Doktor Quinn była jednym z najwybitniejszych naukowców w gronie pedagogicznym Akademii. Członkinią niezliczonych komisji i instytutów. Pupilką think tanków. Nadal zabiegał o nią Uniwersytet Harvarda, chociaż odeszła z niego dawno temu. O dziwo, była tylko zastępczynią Charlesa – no ale Charles był mężczyzną. Patriarchat szalał nawet w Akademii Ellinghama. Poza tym była jedyną ze znanych Stevie osób, która ewidentnie hołdowała modzie. Nosila nie tylko rzeczy fajne. Nosila rzeczy prosto z wybiegów.

– Nathanielu – zwróciła się do Nate'a. – Chciałam tylko sprawdzić, jak się miewasz.

Nate przełknął ślinę.

– Super? – odparł.

Doktor Quinn przyjrzała się wszystkim, przesuwając wzrok z twarzy na twarz.

Zerknęła na Nate'a, powiodła wzrokiem po Vi i Janelle, zawahała się przez chwilę, napotkawszy spojrzenie Stevie, wreszcie zatrzymała się na Davidzie. Patrzyła na niego długo i z uwagą, po czym wróciła do Nate'a.

– Gdybyś przez to nie mógł skupić się nad książką... – rzekła. – Zgłoś się do mnie.

Znowu zlustrowała całą piątkę. Stevie stwierdziła, że doktor Quinn nie podeszła sprawdzić, jak Nate radzi sobie z emocjami czy smokami. Przywiodło ją do nich coś innego. Coś, co chciała zachować dla siebie, a co miało związek z Davidem – który wbił wzrok w talerz i niepewnie gmerał w jedzeniu.

– Mam pytanie – odezwała się Janelle. – Potrzebuję zajęcia. Muszę coś zrobić. Czym można by się zająć?

Na twarzy doktor Quinn odmalowało się coś na kształt aprobaty.

– Myślę, że przydałby się mocny, pozytywny przekaz – odpowiedziała.
– Z całą pewnością zainteresuje się nami prasa, zatem powinniśmy współtworzyć go uczniowie. Akademia Ellinghama to instytucja o charakterze otwartym, działamy od lat i ufam, że będziemy działać wiele jeszcze lat. Prawdopodobnie powiększymy się, być może nawet dwukrotnie... Może więc zechcesz pokierować uczniami? Pokażcie się światu. Najpierw wspólnie przygotowałybyśmy komunikat, a potem współpracowałybyś z zespołem do spraw relacji z mediami.

– Zajmę się tym – odrzekła Janelle. – Z chęcią.

– Ja też – zaofiarowała się Vi. – Tworzyłam slogany dla przeróżnych kampanii.

– Świetnie – odparła doktor Quinn. Po czym odeszła. Janelle i Vi z miejsca zaczęły obgadywać sprawę. David wziął tacę i oddalił się ku drzwiom. Wrzucił tacę do pojemnika na brudne naczynia i wyszedł z jadalni.

– Powiesz mi, kurde, co się dzieje? – szepnął Nate do Stevie.



– Czyli, zaraz... – Nate chodził w tę i we w tę. – David Eastman to syn Edwarda Kinga.

– Nie mów o tym nikomu – odparła Stevie.

Siedziała na stercie mat do jogi w ponurym świetle deszczowego przedpołudnia. Nate nie umiał usiedzieć na miejscu, kiedy rozmowa toczyła się zbyt długo, przemierzał więc salę, podciągał się na drążku, wodził palcem w miejscu stykania się luster. Robił wszystko, byle tylko nie stać spokojnie.

– Wróciłaś za sprawą Edwarda Kinga. Masz pilnować, żeby David nie rozrabiał?

– Mniej więcej – odpowiedziała Stevie.

– Czy to normalne?

– Nie mam pojęcia, co jest normalne – odrzekła Stevie, wyciągając nitkę z mankietu bluzy.

– Ale mówiłaś Davidowi – zauważył Nate – że powrót zawdzięczasz jego ojcu.

Stevie opowiedziała Nate’owi wszystko, ale najgorsze – płacz Davida i swoją ucieczkę – pominęła.

– Tyle że Edward King o tym nie wiedział, kiedy dzwonił do mnie rano – odparła.

– Zadzwoił do ciebie rano?

Do tego momentu nie dotarła w opowieści. Opowieść była długa.

– Jezu Chryste. – Nate ostrożnie walnął głową o ścianę luster. – Czy to jeszcze szkoła, czy jakiś eksperyment?

Stevie pokręciła głową.

– Co teraz będzie? – zapytał Nate.

– Nie wiem.

– Jeśli David wygada ojcu, możesz zniknąć, tak? Jak King to załatwi?

– Wystarczy, żeby pogadał z rodzicami – odrzekła Stevie. – Słuchają go. Ma wpływy i... samoloty. Jest właściwie zdolny do wszystkiego.

– Jezus. Maria. Stevie.

– Sam chciałeś się dowiedzieć, prawda?

– Janelle wie?

– Nie. King kazał mi trzymać język za zębami.

– Powiesz jej?

– Pewnie. I tak ma dość Davida. – Stevie potarła skronie. – Posłuchaj, muszę coś zrobić. Jest coś jeszcze.

Rozpięła torbę, wyjęła puszkę i postawiła ją na podłodze.

– Co to? – spytał Nate. – Wskoczą z niej węże?

– Dowód, że Iris i Alice Ellingham nie porwała osoba, która napisała list Nieodgadnionego. Znalazłam to w pokoju Ellie.

Nate odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Stevie jeszcze nie słyszała, żeby się tak zaśmiewał. Jego głośny śmiech poniósł się echem po sali.

– Nie, naprawdę – odrzekł chłopiec. – Teraz to picujesz. Weszłaś w znowę z senatorem, ojcem Davida, dwie osoby nie żyją, a ty masz dowód w sprawie Ellinghamów...

– Przez to pogorszyły mi się oceny z anatomii – wyjaśniła Stevie.

– Przyleciałaś z kosmosu, to pewne.

– Bez względu na to, co mnie tutaj czeka, muszę rozwiązać tę sprawę. Jeśli mnie usuną, będziesz mi musiał pomóc.

Nate uszczyptał się w nos i znów zaczął chodzić tam i z powrotem po sali.

– Okej – odparł w końcu. – Dobra, niech ci będzie. Rozwikłajmy zagadkę stulecia. Czemu nie, cholera?

Zadzwoiła komórka Stevie. Stevie wyjęła ją z kieszeni. Numer był nieznany.

– O, Boże – westchnęła. – To chyba on.

– Kto?

– Edward King – odrzekła.

Komórka nie przestawała dzwonić.

Stevie miała ochotę rzucić nią o ścianę, stwierdziła jednak, że lepiej odebrać, niż żyć w wiecznej niepewności.

Okazało się, że to nie senator King. Tylko Larry.

– Ktoś przyjechał do ciebie.

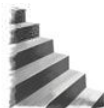
– Jak to? Tu? – nie zrozumiała.

Nate uniósł brwi.

W myśl głównej zasady obowiązującej w Akademii nie miał do niej wstępu nikt poza uczniami i pracownikami. Nawet rodzice musieli ustalać terminy wizyt z wyprzedzeniem. Droga nie nadawała się do wzmożonego ruchu, a dyrekcja dokładała starań, by nikt nie rozpraszał uczniów, więc nieumówionych odwiedzin zabroniono. Wizyty były sporadyczne, a ostatnio składała je głównie policja.

„Rodzice. Przyjechali. To koniec”. Stevie najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię.

– W Wielkim Domu – oznajmił Larry – czeka na ciebie doktor Fenton.



Przekroczywszy próg Wielkiego Domu, Stevie ujrzała doktor Fenton pogrążoną w rozmowie z MówciamiCharlesem. Fenton nie przyjechała

sama. Na krześle przy drzwiach siedział kompletnie zdetonowany Hunter. Ubrany w stare dżinsy i bluzę z długimi rękawami, sprawiał wrażenie zaciągniętego siłą na cudzą randkę.

– ...natchnionym traktatem naukowym – mówiła Fenton. – Tysiąc razy lepsza od oryginału.

– Na pewno ją przeczytam – zapewnił Charles. Sądząc po minie Giganta Wigoru, chociaż raz pokonała go istota bardziej męcząca od niego. Przeszując z nogi na nogę, niespokojnie popatrywał na zegarek.

– Stevie – rzekł do niej, gdy podeszła. – Doktor Fenton przyjechała, aby...

– Chciałam zweryfikować kilka źródeł – przerwała Fenton, podnosząc notatnik. – Wygląda na to, że wybrałam zły dzień.

– Tak... – odparł Charles. – Więc może przejdźmy do mojego gabinetu i rzućmy okiem na plan zajęć. Potrwa to chwilę.

– Czy mój siostrzeniec mógłby rozejrzeć się po szkole? Zawsze o tym marzył.

Hunter nadal świdrował wzrokiem podłogę.

– Yyy... Nie mam nic przeciwko temu. – Ton Charlesa wskazywał, że jednak ma. – Stevie, zechciej wziąć Huntera na krótką... – Ostatnie słowo wymówił stanowczo. – Wycieczkę po kampusie. Pozwoli pani – zwrócił się do Fenton – ze mną...

Gdy się oddalili, Hunter głośno westchnął. Deszcz zelżał trochę. Aura, szara i mokra, mimo wszystko nie zniechęcała do przechadzki.

– Wybacz – powiedział bez namysłu Hunter. – Kazała mi przyjechać. Wiem, że nie powinniśmy. Ona też. Strasznie przepraszam. Nie musisz mnie oprowadzać. Mogę poczekać w samochodzie.

– Daj spokój – odrzekła Stevie. – Dziś jest...

– Nieciekawie – dokończył. – Wiem.

– Wiesz?

– Złe wiadomości rozchodzą się szybko – odparł. – To prawda? Znaleźli tę dziewczynę?

Stevie przytaknęła, nie dodając, że to ona ją znalazła. Wbrew szarości nowego dnia zaczęła oswajać się z potwornym faktem. Znalazła zwłoki, ale się nie załamała. Mimo smutku... radziła sobie jak inni.

– Jak się tu dostaliście? – spytała.

– Fenton powiedziała strażnikowi głównej bramy, że jest umówiona z doktorem Scottem. Pewnie Scott pozwolił mu nas wpuścić.

– Co chciałbyś zobaczyć? – zapytała Stevie.

Hunter ogarnął wzrokiem pejzaż, fontannę Neptuna, rozległy skwer.

– Niesamowicie tu – odpowiedział. – Sorry za ten nagły najazd, ale i tak się cieszę, że to widzę. Nie mam pojęcia, od czego zacząć...

– Może się przejdźmy? – zaproponowała Stevie, ruszając w stronę trawnika.

– Sorry – powtórzył. – Wolalbym pójść ścieżką... – Uniósł kulę.

– Ojej. Przepraszam. Jasne.

– Nic się nie stało. Po prostu wbija się w ziemię, zwłaszcza gdy pada.

Stevie wybrała lepszą jej zdaniem trasę – prowadzącą w lewo, ku zabudowaniom szkoły. Uznała, że o tej porze nie będzie na niej ruchu. Ewentualne spotkanie z Davidem mogłoby pogorszyć całą tę dziwną sprawę. Najpierw zaprowadziła Huntera do biblioteki.

Hunter zachwycał się wszystkim. Stevie dostrzegła w jego rozwartych oczach tęsknotę.

– Obłędne miejsce – rzekł, gdy wchodzili między budynki. – Fajniej tu niż w filmach.

– Jest spoko – odparła Stevie.

– Dobrze wiesz, że milion razy fajniej.

Wzruszyła ramionami.

– Czyli ktoś to wszystko przejmie...

– Słucham?

- Jak znajdą Alice. Ktoś przejmie posiadłość.
- Internetowe plotki – odpowiedziała Stevie.
- Ciotka ma inne zdanie.
- Bzdura. – Stevie potrząsnęła głową. – Nie wierzy w to.
- Wierzy – odparł Hunter i, wyprzedzając Stevie, usiadł na ławce między pobliskimi posągami. – Robert Mackenzie powiedział jej, że do ostatniej woli Ellinghama dopisano, że ten, kto znajdzie Alice, żywą lub umarłą, dostanie wielki majątek.
- Brednie – odrzekła Stevie, kręcąc głową. – Plotka stara jak świat, tak absurdalna jak ta, że porwanie było ściemą, albo że Alice ma sto lat i mieszka na strychu. Tak się składa, że nie spotkałam jej na strychu, a przecież byłam tam już kilka razy.
- Ciotka w to wierzy.
- Skąd – odparła Stevie. – Nikt obeznany ze sprawą nie traktuje tego serio. Gdyby tak było, wiedzieliby o tym wszyscy. Właśnie na tym to polegało. Zachęcić wszystkich, by szukali Alice. Nagrody nie wyznacza się, nie zachęcając do szukania.
- Według ciotki Mackenzie nie usłuchał Ellinghama. Powiedział, że w noc porwania nie wszystko szło po jego myśli. Przyszło mu do głowy, że gdyby sprzeciwił się Ellinghamowi i od razu wezwał policję, cała rzecz mogłaby się skończyć inaczej. Ellingham napisał kodycył i kazał Mackenziemu podać go do wiadomości publicznej, rozgłosić. Mackenzie uważał, że Alice nie żyje, a gdyby żyła, to będzie bezpieczniejsza, jeśli obniżą stawkę, jeśli rozgłos ucichnie. Gdyby rozniosło się to po świecie, nie opędziliby się od oszustów i kanciarzy. Po śmierci Ellinghama Mackenzie postanowił bronić jego dóbr. Starał się nie dopuścić do kradzieży majątku – chciał, by go dobrze spożytkowano. Dopilnował więc, aby kodycył znalazł się pod kluczem.
- Czyli istnieje nikomu nieznany czarodziejski świstek ze słowami: „Znajdź Alice i zdobądź nagrodę!”.

– Nie twierdzę, że w to wierzę. Mówię tylko, że wierzy w to ciotka, która zapewnia, że usłyszała o tym od Mackenziego.

Stevie zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Ktoś przecież by wiedział – odparła.

– Według ciotki wiedzą. Zarządcy posiadłości i trustu. A nie mogą dziedziczyć. Porozumieli się, by to trzymać w tajemnicy, bo inaczej wykończiliby ich łowcy skarbów. Wyobrażasz sobie? To kupa kasy.

Stevie wyobrażała to sobie doskonale. Wiele osób podawało się za Alice, ale żadna nie zdała sprawdzianu. Nie znały pewnych – pilnie strzeżonych – informacji na jej temat. Osoby zgłaszające się w ostatnich latach eliminowały badania DNA.

– Więc twoim zdaniem ciotka robi to dla forsy?

– Na początku chyba chciała pisać książkę, ale tak. Teraz to facetka z wykrywaczem metali, która szuka zaginionego złotego miasta. – Myśl, że można robić to dla pieniędzy, napawała Stevie niesmakiem. – Powiedziałem ci o tym – ciągnął Hunter – bo mnie wkurza, że cię tak wykorzystuje. Nie podoba mi się, żeśmy przyjechali. Właśnie dlatego dałem ci swój numer. To wszystko jest obrzydliwe. Ciotka kontaktowała się już z osobami ze szkoły. Nie jesteś pierwszą, z którą rozmawia w tym roku.

– Z kim? – spytała Stevie.

– Nie wiem. Słyszałem, jak gada z kimś przez komórkę, pewnie z kimś z kampusu. Mówiła przyciszonym głosem. Wspomniała o tobie.

– O mnie? Ale co?

– Niewiele zrozumiałem. Dotarło do mnie twoje imię, nazwa szkoły i tyle.

– Kiedy to było? – zapytała Stevie.

– Czekał. Ociepliło się, więc pootwieraliśmy okna... Ale rok szkolny na pewno już trwał. W połowie września, tak mi się wydaje.

– Sądzisz, że rozmawiała z Hayesem albo Ellie?

– Nie mam pojęcia. Możliwe.

„Jeżeli Fenton była w kontakcie z Hayesem albo Ellie... Chyba raczej z Hayesem. Hayes wymyślił kręcenie *Nieodgadnionego*. Chciał wejść do tunelu. Te jego niewydarzone pomysły... Fenton rozglądała się za wtyczką. Skaperowała Hayesa, a kiedy zginął, przyszła do mnie? Czyżbym grała w jej grze drugie skrzypce?”

Zirytowana Stevie porzuciła tę myśl na moment. „Może Fenton jakoś przekonała Hayesa, że zarobi krocie samym łożeniem po tunelu”.

Za ich plecami rozległ się hałas. Pojawiła się Germaine Batt w słuchawkach. Mogło się wydawać, że po prostu przechodzi, ale Stevie uznała, że jest inaczej. Odniosła przykre wrażenie, że Germaine słyszała każde słowo z ich rozmowy. Chcąc nie chcąc, Stevie właśnie odwdzięczyła się jej za przysługę.



– Co najbardziej lubisz w Disney World? – zapytał Mudge, usuwając gumowate mięśnie z gałki ocznej krowy.

– Nie byłam tam – odpowiedziała Stevie.

Stała kilka kroków dalej, w fartuchu i rękawiczkach nitrylowych, z kawą. Mudge robił sekcję na metalowej tacy. Nozdrza Stevie wypełnił zapach formaliny.

Był to piąty dzień od znalezienia Ellie. Tak Stevie odmierzała teraz czas. Policjanci kończyli badać Dom Minerwy. Rzeczy Ellie zostały zabrane, więc interesowało ich już tylko wejście do tunelu po schodami. Postawili tam przesłonę z solidnym zamkiem, którego na pewno nie dałoby się otworzyć szpilką. Całość zabezpieczały trzy krzyżujące się taśmy ostrzegawcze.

Życie Akademii stopniowo wracało do normy. Wbrew różnym domysłom wszyscy się zgodzili, że kwestia śmierci Hayesa jest zamknięta. Winna zabójstwa zginęła w wyniku kolejnej swojej złej decyzji. Prasa zajmowała się tragedią w szkole przez jeden dzień, po czym rzuciła się na nową sensację. Dyrekcja telefonicznie informowała i pocieszała rodziców. Edward King – jak przystało na czarodzieja – przekonał rodziców Stevie, że Ellie spotkało to, na co zasłużyła, więc już nie mają powodu się martwić.

A David... żył. Przestał rano medytować poprzez krzyk i sypiać na dachu. Nadal chodził na zajęcia, ale nie odzywał się do Stevie, jakby nie istniała.

Czasami jednak się do niej uśmiechał. W taki sposób, jakby miał dostęp do kompromitującej ją kosmicznej tajemnicy.

Stevie zaś często ukrywała się w pokoju. Wychodziła tylko na zajęcia lub coś zjeść, chociaż nieraz odechciewało jej się nawet jedzenia. Mówiła, że się uczy, więc Janelle przynosiła jej posiłki w pojemnikach.

– Pewnie myślisz, że najbardziej lubię „Nawiedzony dwór” – ciągnął Mudge. – Ale nie. Lubię go bardzo, ale moją ukochaną atrakcją są „Śpiewające niedźwiedzie”.

– Po usunięciu tkanki zewnętrznej – poinstruowała stojąca pod tablicą Pix – możecie naciąć rogówkę.

– Bo... – Mudge odłożył nożyczki i sięgnął po skalpel – nic tam się nie zmienia. Od początku. Od otwarcia „Niedźwiedzie” są takie same, więc niektórzy twierdzą, że to nuda, ale... – Wprawnie naciął oko i na tacę wyciekło trochę płynu. – ...to totalny metal. Jeden miś śpiewa balladę o krwi na siodle. Wybierz się. Jest super. A gdybyś miała ochotę się przejechać...

– Płyn, który widzicie – objaśniała Pix – to ciecz wodnista. Odżywia ona rogówkę i soczewkę. Teraz natnijcie, proszę, twardówkę...

– Co do kolejek... – opowiadał dalej Mudge. – Masa osób zachwyca się „Kosmiczną górą”, ale to Disney w słabszym wydaniu. Taaakie tam... głupoty z połowy dwudziestego wieku. Najlepsza kolejka to „Dumbo”.

– Czym jest twardówka, Stevie? – zapytała, podchodząc do nich, Pix.

– Białkiem oka? – odrzekła niepewnie Stevie.

– Zewnętrzną, ochronną warstwą gałki ocznej. Przysuń się tu trochę. Sekcja z początku wydaje się dość trudna, ale pomału jakoś się oswoisz. Kto wie, co będzie dane ci oglądać, kiedy już zostaniesz detektywem.

Były to chyba jedyne słowa, które odrobinę poruszyły Stevie. Zbliżyła się do tacy. „Jako przyszły detektyw muszę się przyzwyczajać, no ale ta sekcja to coś potwornego”. Z dłoni Mudge’a patrzyło na nią gigantyczne oko, gdy przekrawał je na pół jak pomarańczę.

– Jak sobie radzisz? – spytał Mudge. – Ze... śmiercią Ellie. Nie zapominaj dbać o własne zdrowie. – Odłożył skalpel i rozglądał się za haczykiem tkankowym. – Pamiętaj, że jestem, gdybyś chciała pogadać.

Stevie spojrzała na ubranego w czerń dryblasa w niebieskim fartuchu i gumowych rękawiczkach. Nie mogła odgadnąć wyrazu jego oczu, zasłoniętych fioletowymi wężowymi soczewkami.

– Dzięki – odrzekła.

– Wiedz, że masz z kim porozmawiać w razie czego.

– Wyjmijcie tęczęwkę spomiędzy rogówki a soczewki – wskazała Pix, obchodząc salę.

Mudge podetknął Stevie połowę oka, żeby spróbowała, ale ona pokręciła głową. Pracował dalej. Świdrująca nozdrza woń formaliny przypomniła jej fetor z tunelu.

„Nie myśl o tym”.

– Jak tam trafiła? – zapytała Stevie na głos.

– Ellie? – spytał Mudge. – Bo pociągały ją przeżycia graniczne.

– Byłam w tej piwnicy – odpowiedziała Stevie. Nie miała ochoty rozmawiać o tym z Mudge’em, lecz nie zrozumiał pytania, więc wyjaśniła: – Nie wiem, jakim cudem znalazła to wejście. Musiała być tam przedtem...

– Wiesz – odparł. – W Disney World są kilometrowe tunele. Nazywają się korytarzami użytkowymi. Walt Disney wkurzył się, widząc, jak jakiś kowboj wędruje na Dziki Zachód przez Krainę Jutra. Było to w kalifornijskim Disneylandzie... No i kazał zbudować na Florydzie sieć tuneli. Trochę jak tutaj. Akademia to coś w rodzaju oświatowego Disney World.

Stevie zatkanęło.

– Disney World stoi na moczarach – ciągnął Mudge. – Wszystko trzeba było budować ponad gruntem. Więc te tunele są na poziomie ziemi. Disney World zbudowano właściwie na wzniesieniu. Nikt go nie zauważa, bo jest bardzo łagodne. – Mówiąc to, triumfalnie wyjął z oka

coś galaretowatego, podobnego do meduzy. – Soczewka – oznajmił i położył ją na tacy.

W kieszeni Stevie zadzwoniła komórka, więc wyciągnęła ją ukradkiem. Dostała mail. Nazwisko nadawczyni – Ann Abbott – wydało jej się nieznanie. Ale już po chwili sobie przypomniała. „Autorka książek o galaretkach i sałatkach”. Strąciła haczyk ze stanowiska, aby się schylić – i przeczytała:

Droga Stevie,

ogromnie dziękuję za list! Przepraszam, że odpowiadam z opóźnieniem, ale do poczty nie zaglądam często. Cieszę się, że podoba Ci się *Smaczniej niż w domu!*. Nawet nie wiedziałam, że jeszcze jest dostępne.

Co do Twojego pytania – nie znalazłam zbyt wielu informacji na temat Francis Crane. Większą część rodzinnego majątku odziedziczył jej starszy brat, który zmarł w latach sześćdziesiątych. Jak się orientuję, w rodzinie doszło do konfliktu, w wyniku którego Francis wykreślono z testamentu ojca.

Pisząc książkę, rozmawiałam z osobą z rodziny. Usłyszałam od niej, że Francis wyjechała przed wojną do Francji, zamieszkała w Paryżu i urodziła córkę. Spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej. Udzieliła mi się Twoja ciekawość.

Cudownie, że jesteś w Akademii Ellinghama. To z pewnością magiczne miejsce!

Z poważaniem,

Ann Abbott

„Więc coś się znalazło – pomyślała Stevie. – Trop Francis jednak się nie urywa”.

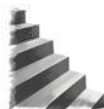
– Zgubiłaś coś? – Naprzeciw niej wyrosła jak spod ziemi Pix. Nie dając nic po sobie poznać, Mudge spuścił wzrok na Stevie, która wsunęła komórkę pod torbę i podniosła się z haczykiem w rękę.

– Dam ci świeży. – Pix odebrała jej haczyk. – Nawet do ćwiczeń należy używać czystych instrumentów.

Mudge kontynuował cięcie.

– Oto... – Pokazał Stevie element oka o konsystencji wilgotnej bibułki.
– Siatkówka. Tu dochodzą zakończenia nerwów. Obszar siatkówki, w

którym zbiegają się włókna nerwowe wychodzące z oka, jako nerw wzrokowy to plamka ślepa. Jedyne miejsce niewrażliwe na światło, więc nie powstaje w nim obraz. – Mudge wsparł ręce na biodrach, po czym podrapał się za uchem. – Niektórzy – rzekł – chcą się przejechać na „Niedźwiedziach”. A to nie kolejka. Ani nie ma tam filmu. Ale nie o to chodzi. Rezygnując ze „Śpiewających niedźwiedzi”, rezygnuje się z serca i duszy Disney World. W tej atrakcji kasa się nie liczy. Najważniejsze są niedźwiedzie.



Kiedy wychodzili z zajęć, Stevie liczyła, że przed budynkiem ujrzy Davida, tak jak kiedyś, w tych jego pociesznych okularach. Ale na ławce siedział tylko ptak. Zamierzała wrócić do pokoju i czekać wśród pojemników z jedzeniem na wynos i książek, aż nadejdzie Wielki Chłód albo chociaż wpadnie jej do głowy lepszy pomysł.

Miała lepszy pomysł. A w każdym razie pomysł. „Jak to Mudge powiedział? «Kasa się nie liczy». Kasa. Fenton jest pewna, że znajdzie tu kasę. Nikt poważny – nie. Kasa tutaj to złoto głupców, plotka – coś, w co wierzą wyznawcy teorii płaskiej ziemi albo przekonani, że lądowanie na Księżycu było ściemą. Żaden skarb Ellinghamów nie istnieje. Jednak Fenton mówiła poważnie. Może jest stuknięta. Nie układa jej się w życiu. Ale zna sprawę. Nie dałaby się nabrać tak łatwo”.

Kierując się w stronę Wielkiego Domu, Stevie przypomniała sobie, że ktoś niedawno wspominał o wydatkach. „Kto to mógł być?” Przetrzęsała w myślach ostatnie rozmowy. „Pieniądze, pieniądze, pieniądze”.

Przywołała to w końcu. „Gdy doktor Quinn podeszła do nas w jadalni, powiedziała, że będą powiększali szkołę. Rozbudowa kosztuje. Środki rzecz jasna mogą pochodzić z różnych źródeł. Od darczyńcy. Może od Edwarda Kinga. Tylko tych pieniędzy musiałoby być dużo. Czyżby miały się wziąć z wielkiego spadku? A jeśli tak jest? Jeśli odliczają dni do

przejęcia majątku Alice? Jeśli znalezienie jej oznacza nieprzebrane bogactwa?”

Łamiąc sobie głowę, Stevie spostrzegła, że z Wielkiego Domu wychodzi i rusza w jej kierunku Larry. Nieprzypadkowo. Miał posępną minę.

– Chciałbym pogadać – poprosił. – Przejdź się trochę ze mną.

Na uniformie miał flanelową kurtkę w czerwono-czarną kratę. Dał Stevie znak, by poszli boczną ścieżką, prowadzącą ku pustym teraz boiskom i zasłaniającym rzekę drzewom. Drzewa zaczęły już zrzucić liście, w koronach było pełno strzępiastych dziur. Larry odezwał się dopiero kiedy znaleźli się w połowie drogi na pole.

– Dziś mój ostatni dzień tutaj – powiedział.

Stevie stanęła jak wryta.

– Proszę?

– Pakuję mi biuro. Potem jadę do domu. Nie wrócę na kampus. Ktoś mnie zastąpi.

Stevie jakby ktoś przywalił w brzuch.

– Dlaczego?! – zapytała.

– Moja robota to pilnowanie bezpieczeństwa. Dwoje zmarłych... Nie dopilnowałem, więc muszę odejść.

– Nie może pan tego zrobić – odpowiedziała Stevie. – Nie wolno im... To chyba nie pana decyzja?

– Tak czy inaczej – odparł Larry – słuszna.

– Przecież to nie pana wina. To, co spotkało Hayesa, co spotkało Ellie...

– Stało się to na mojej zmianie. Posłuchaj... Nie przejmuj się mną.

– Możemy wszcząć protest! – zawołała Stevie. – Zorganizować...

– Stevie – przerwał. – Posłuchaj mnie uważnie.

Stevie przełknęła ślinę i umilkła, kuląc się w czerwonym winylowym płaszczu.

– Masz być ostrożna – upomniał. – Nie zaczynaj żadnych śledztw na własną rękę. Rzecz jest zamknięta. Daj sobie spokój.

– Śledztw? – nie zrozumiała.

– W sprawie Hayesa, Ellie i tak dalej. – Spojrzał na nią ostrzegawczym wzrokiem.

– O czym pan mówi? – zapytała. – To były...

– Wypadki – dokończył.

Ostry wiatr wydał poły płaszcz Stevie.

– Zaraz, zaraz – odrzekła. – Sugeruje pan coś innego.

– Nie. Wskazuję tylko, że... – Larry'emu brakło słów pierwszy raz, odkąd go znała. Dotknął zagrożenia, którego nie umiała objąć myślą, które wisiało w powietrzu, w cieniu drzew i w zmiennej aurze. Czują je już wielokrotnie, a teraz poczuł je też Larry.

– Mówił nam pan na przeszkoleniu, że kilka osób utknęło w tunelach w posiadłości, że dwóm czy trzem nie udawało się wydostać bardzo długo...

– To nieprawda – odpowiedział Larry. – Tylko taki manewr, który ma odstręczać uczniów od ukrytych konstrukcji, na jakie mogliby się natknąć... Nie byliśmy pewni, czy nie ma ich tu więcej. Zapisz mój numer. W tej chwili. Wyjmij komórkę. – Poczekał, aż wyjmie komórkę i go doda. – Nie wybierasz się do domu, prawda? – spytał.

– Niby po co? – odrzekła. – Nie, nie jadę. Niech mi pan coś zdradzi, cokolwiek.

Larry wahał się przez chwilę.

– Sam nie wiem... I to mnie martwi. Powiedzmy, że mam złe przeczucie, więc daję ci swój numer w razie czego. Dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy. – Głęboko westchnął. Stevie dostrzegła cień żalu w jego oczach, gdy się rozejrzał – chyba po raz ostatni.

– Nie mogą tak z panem postąpić – powtórzyła.

– Tu nie chodzi o mnie. Ale jeśli mogę prosić, przyrzeknij, że będziesz o siebie dbała i robiła, co ci radzę. Daj sobie z tym wszystkim spokój.

Oczy zapiekły Stevie i zaszły łzami. Ale – choć zdarzało jej się to – nie od wiatru.

– Przyrzekasz? – zapytał Larry.

– Przyrzekam.

Kiwnąwszy głową, ruszył z powrotem do Wielkiego Domu. W głowie Stevie trwała gonitwa myśli. Kwestia pieniędzy i obecna sytuacja poddały jej pewien pomysł.

– Niech pan zaczeka! – zawołała. – Mogę prosić o przysługę? Zgodziłby się pan mnie dokądś podwieźć?



30 października 1938, 13.00

Doprawdy ciekawe, że odpowiedź tkwiła w zagadce.

Albert Ellingham siedział w gabinecie, słuchając tykania stojącego na kominku zielonego marmurowego zegara. Zegar ten podarowała niegdyś Marii Teresie Luizie, księżnej de Lamballe, jej droga przyjaciółka, królowa Maria Antonina. Wspaniały przedmiot był wykonany z ciemnozielonego szwedzkiego marmuru, inkrustowanego złotem. Obie kobiety ścięto podczas rewolucji francuskiej, a zegar przetrwał, wskazując czas nieomylnie. Albert Ellingham kupił go w Szwajcarii tuż po przyjeździe na świat Alice. Antykwariusz opowiedział mu historię zegara – jak część dobytku księżnej zabrano z jej domu przed wtargnięciem tam ludu, jak dzieła sztuki przewożono w karocach do Szwajcarii, gdy francuscy arystokraci ginęli. Mówił o morzu krwi, głowach na pikach i niespotykanym artyzmie.

Zegar kosztował Alberta Ellinghama krocie. Kunsztowny, zielony jak igły sosny świadek historii cieszył go i napawał dumą.

Wychodzącą na patio i ogród przeszkloną ścianę zasłaniały kotary. Albert nie rozsuwał ich, odkąd osuszył jezioro. Nie potrafił znieść widoku dołu w ziemi, bo kojarzył mu się on z mogiłą. Dziś jednak śmiało odsłonił całe wielkie okno, a to, co ujrzał, wprawiło go w zachwyt. Niebo nad Vermontem jak rzadko olśniewało czystym błękitem, zaś drzewa pyszniły się wieloma odcieniami złota i czerwieni. Pogodne dni dobiegały końca, górę miał niebawem już pokryć śnieg.

Albert stwierdził, że nadeszła właściwa pora.

Czekało go sporo pracy. Musiał się zająć tym, co leżało na biurku: stertą dokumentów prawnych, blankietem depeszy, zbiorem opowiadań o Sherlocku Holmesie i szpulką drutu.

Najpierw dokumenty.

Podniósł jeden, świeżo napisany na maszynie. Przesunął po nim wzrokiem i znalazł właściwy fragment:

Oprócz wszelkich innych zapisów, kwota dziesięciu milionów dolarów znajdzie się w zarządzie powierniczym na rzecz mojej córki Alice Madeleine Ellingham. W przypadku odejścia mojej córki spośród żywych otrzyma tę kwotę osoba bądź instytucja, która odnajdzie jej szczątki doczesne, o ile zostanie ustalone, że owa osoba lub instytucja nie miała żadnego związku z jej zniknięciem. Jeżeli córka nie odnajdzie się przed ukończeniem przez nią dziewiętnastego roku życia, wymienione środki przeznaczy się na potrzeby Akademii Ellinghama wedle uznania zarządu tejże.

Rzecz sfinalizowano wczoraj wbrew obiekcjom Roberta Mackenziego. Przyniósłszy dokument prosto od prawnika, Mackenzie usiadł naprzeciw Alberta i wbił w niego wzrok.

– O co ci chodzi? – Nie wytrzymał w końcu Albert. – Wykrztuś to z siebie.

– Nie podoba mi się to i dobrze wiesz dlaczego.

– Owszem.

– Zaraz zbiegną się tu zewsząd jak karaluchy – ciągnął Mackenzie. – Wszelkiej maści naciągacze i kanciarze.

– Może któryś z nich wie, gdzie jest moja córka – odparł Albert Ellingham.

– Wątpię. A jak zorientujemy się, który?

– Tak, że wiem o Alice coś, czego nie wie nikt. Poznam prawdę.

Mackenzie z westchnieniem zapadł się w fotel.

– Masz mnie za starego durnia – powiedział Albert Ellingham.

– Nie jesteś ani stary, ani głupi – odrzekł Mackenzie. – Jesteś zropaczonym ojcem i multimilionerem. Wielu będzie chciało cię teraz

wykorzystać.

– Radziłem sobie z gorszymi sprawami.

– Jasne...

– Starasz się mnie chronić, bo szczerze zależy ci na moim dobru. Ale majątkiem rozporządzam tak, jak mi się podoba. W tej chwili właśnie to uważam za stosowne. Do ciebie należy napisanie tego oświadczenia, a ja za tydzień zacznę publikować je w gazecie.

Albert Ellingham znów przyjrzał się tekstowi. „Robert rzecz jasna ma słuszną rację – pomyślał. Składając tę ofertę, narażam się na najrozmaitsze nadużycia. Dziesięć milionów przyciągnie największych krętaczy z całego świata. Ale też świat zaroi się od moich detektywów”.

Oznaczało to ryzyko, a Albert Ellingham lubił ryzykować. Kiedyś nie miał grosza, więc bez wahania wróciłby do biedy, gdyby tylko w zamian mógł zobaczyć córkę.

Odłożył papiery do okazałej teczki, którą zaraz schował do szuflady biurka.

Następnie zajął się blankietem. Zagadka przysłała mu do głowy przed kilkoma dniami, lecz na jej napisanie – czyli konfrontację z prawdą – mógł zdobyć się dopiero dzisiaj wczesnym rankiem. Od kiedy wiedział? Odkąd przeczytał książkę Arthura Conan Doyle’a. Spojrzał raz jeszcze na zagadkę i wsunął ją do kieszeni, po czym przysunął sobie *Przygody Sherlocka Holmesa*. Egzemplarz ten, własność szkolnej biblioteki, znalazł w obserwatorium w fatalny wieczór porwania. Prędko zapomniał o niej – działało się zbyt wiele. Uznał, że wypożyczył ją i czytał któryś z gości, bo wszyscy oni mogli korzystać z jego księgozbioru. Jednak po jakimś czasie, gdy zaczął myśleć klarownie, zasięgnął informacji na temat tego egzemplarza. Okazało się, że książki nie brała żadna z osób, które wtedy gościł. Korzystała z niej niemal wyłącznie Dolores Epstein.

I tak domyślił się, że w obserwatorium zaszywała się Dolores i to ona zabrała tam tego dnia ulubioną książkę.

Albert Ellingham dorastał w jednej z najuboższych dzielnic Nowego Jorku, jak mała Dottie, pewnie dlatego więc darzył ją szczególną sympatią. Od ósmego roku życia pracował jako sprzedawca gazet, skrzętnie zbierając w skarbonce każdego centa. Niejedną zimną noc zdarzyło mu się przespać w bramie. Chroniąc się czasem w bibliotece publicznej, czytał historie o Holmesie od deski do deski i wiele zdań z nich nauczył się wtedy na pamięć.

Otworzył książkę i wyszukał to, do którego często wracał myślą. Z *Tajemnicy doliny Boscombe*: „Nie ma nic bardziej zwodniczego niż oczywisty fakt”.

– W rzeczy samej – powiedział do siebie Ellingham.

Przechowywał tę książkę w gabinecie, kiedyś więc przypadkiem spostrzegł na tej stronie podkreślenie. Na samym początku, w *Studium w szkarłacie*. I to go uruchomiło. Dolores Epstein, jego genialna pupilka, myślała do samego końca. Pozazdrościł jej bystrego umysłu, przenikliwości...

Wreszcie Albert sięgnął po szpulę drutu. Chciał posłuchać jeszcze raz, aby mieć stuprocentową pewność. Wstał i podszedł do rzędu szafek po drugiej stronie gabinetu. Otworzył jedną i wyjął aparat nagrywający Webster-Chicago, wyposażony w słuchawki. Nałożył szpulę na kołowrotek, na uszy słuchawki – i włączył nagranie.

Po kilku minutach wyłączył aparat i zdjął słuchawki. Wszystko, co usłyszał, układało się w logiczną, spójną całość. Uzupełniwszy to o zeznania Margo Fields...

Wiedział już wszystko. Oto nadeszła pora.

Nacisnął guzik dzwonka na biurku, wzywając Roberta Mackenziego, który zjawił się po chwili, z notesem w ręku. Nie umknęło mu, że Mackenzie zauważył odsłonięte okna.

– Jadę do jachtklubu – rzekł. – Jest piękna pogoda. Zabieram Marsha. Przyda się nam trochę świeżego powietrza. Stanowczo zbyt długo już bytujemy w ciemnościach.

Alberta ujęła niekłamana radość malująca się na twarzy sekretarza. Mackenzie dbał o niego. Zapewne jako ostatnia osoba w jego życiu.

– Wspaniały pomysł – odpowiedział Mackenzie. – Chcesz, bym poprosił w kuchni o prowiant na wycieczkę?

Albert Ellingham pokręcił głową.

– Nie trzeba, nie trzeba. Spójrz. Napisałem tę zagadkę rano. Co o niej sądzisz?

Zdziwiło go, że to robi. Zagadka miała charakter osobisty, ale z drugiej strony pokazywał Mackenziemu wszystkie. Akurat ta chyba najbardziej zasługiwała na jego uwagę. Mackenzie wziął ją, wyraźnie kontent, że chlebodawca wraca do dawnych nawyków.

– „Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? – odczytał. – Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba”.

Albert przyglądał mu się bacznie z myślą, czy odgadnie, czy rozwiązanie jest oczywiste.

– To chyba najlepsza zagadka, jaką napisałem – stwierdził. – Moja zagadka Sfinksa. Kto ją odgadnie, idzie dalej. Kto zaś nie... – Odebrał mu kartkę i położył na środku biurka. Mackenzie dumiał nad zagadką, lecz Albert spostrzegł, że jest skupiony na czym innym. W poszukiwaniu tropów Mackenzie obserwował jego zachowanie. „Mackenzie ma trzydziestkę, ale wygląda znacznie starzej. Powinien wyjść do świata i nareszcie trochę pożyć”. – Mam dziś dla ciebie ważną dyspozycję, Robercie – oznajmił, kładąc na zagadce przycisk, aby nie spadła. – Wyjdź na powietrze. Trochę się zabaw. To rozkaz.

– Zgoda – odparł Mackenzie. – Ale najpierw muszę przejrzeć tonę listów.

– Nalegam, Robercie – rzekł Albert z przekonaniem, bo ta zachęta stała się nagle najistotniejszą sprawą w jego życiu. – Niedługo przyjdzie zima, obyś więc nie żałował, że nie korzystałeś z takich dni jak dzisiaj.

Mackenzie niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Porządny z ciebie człowiek – ciągnął Ellingham. – Życzę ci tyle szczęścia, ile było dane mnie, Robercie. Masz się bawić, pamiętaj, mój drogi. Chcę, abyś nigdy nie zapominał o frajdzie.

Uznawszy, że przesadza nieco, Albert Ellingham wykrzesał z siebie szeroki uśmiech.

– Obiecuję wyjść. – Ton sekretarza wskazywał coś wręcz przeciwnego.

– I jeszcze jedno – dodał Albert. – Dokumenty dotyczące kodycylu i powiernictwa są w moim biurku. Przygotuj wszystko do druku, bardzo proszę. Obwieszczenie ma się ukazać już jutro.

– Poważnie? – spytał Mackenzie. – Więc nie odwiodeń cię od tego żadną miarą?

– Nie ma mowy. Wielką czcionką, boldem, na samej górze. „Ellingham daje za córkę dziesięć milionów”. Chcę, by nagłówek był widoczny z lotu ptaka.

– Popelniasz błąd.

– I mam do tego prawo. Dysponując dziesięcioma milionami, można z nimi robić, co dusza zapagnie.

„Zabrzmiało za ostro – pomyślał Albert – ale musiało zostać powiedziane. Pora się zbierać. Dość wzruszających uwag o pogodzie”. Zawahał się raptem. „A gdyby wyjaśnić Robertowi... Jest godny zaufania”.

– Było o tym na drucie – dodał, gdy Mackenzie prawie już wychodził.

– Co? – spytał, odwracając się, Mackenzie.

„Nie. Robert nie może się dowiedzieć”.

– Nic. Nic. Nieważne.

Mackenzie wrócił do swojego biura.

Wszystko było przygotowane. Materiały leżały w bagażniku samochodu. Mechanizm zbudował z łatwością przy kominku wczoraj wieczorem. Albert Ellingham znowu rozejrzał się po gabinecie, sprawdzając, czy przypadkiem czegoś nie zapomniał. Otworzył dolną szufladę biurka. Zawierała tylko kilka rzeczy osobistych: buteleczkę

aspiryny, zapasowe okulary, talię kart. Sięgnął głębiej i wyjął rewolwer. Chwilę ważył go w ręku i oglądał.

Zegar tykał. „Kiedy księżna spojrzała na niego po raz ostatni? Czy wiedziała, że nigdy już nie spojrzy? Zimne szklane oko patrzyło, jak wyprowadzają ją z domu. Oszczędzono mu widoku jej śmierci, odcinania jej głowy, zatykania na pice i pochodu z nią – upiorną marionetką – przed oknem więziennej celi, w której zamknięto jej przyjaciółkę, królową Marię Antoninę... Znak nadchodzącej epoki”.

Zegar był tylko zegarem. Nie wiedział ani nie rozumiał. Ale znał czas i mówił Albertowi, że to już pora.

„Nie – stwierdził Albert po krótkim wahaniu. – Lepiej zrobić to jednak bez rewolweru. Plan jest przemyślany”. Odłożył rewolwer na miejsce i prędko wziął płaszcz, by nie wikłać się już w wątpliwości.

Nadszedł czas rozgrywki.



Zwolniwszy Larry'ego, dyrekcja Akademii nie zgodziła się, aby podwiózł Stevie do Burlington. Aczkolwiek w myśl założenia: „zrobimy wszystko, by poprawić wam nastrój”, nie miała nic przeciwko jej spotkaniom i współpracy z doktor Fenton. Do Burlington miał zawieźć ją ochroniarz imieniem Jerry, który za pół godziny kończył służbę. Przywieźć ją miał ktoś inny. Jerry zawiózł Stevie do Burlington swoją starą acurą. Nie przeszkadzało mu, że całą drogę słuchała muzyki przez słuchawki. Musiała sobie coś puścić. W głowie jej się kłębiło, więc chciała nadać rytm myślom.

Zatrzymali się pod domem Fenton. Stevie szybko wysiadła, podziękowała i pobiegła popękaną betonową ścieżką. Nie posłała Hunterowi esemesa, bo chciała, by w tym, co za chwilę zrobi, był pewien element zaskoczenia. W domu panowała cisza. Światło na dole się nie paliło. Sprawdziwszy wcześniej harmonogram Fenton, Stevie wiedziała, że za czterdzieści pięć minut ma zajęcia. Starając się nie rzucić w oczy, czekała prawie czterdzieści minut. Wreszcie Fenton stanęła w drzwiach i, wściekle tupiąc drewniakami, ruszyła w stronę uczelni.

Stevie zaesemesowała do Huntera:

„Jesteś w domu?”

Odpisał od razu.

„Tak, a co?”

„Zejdź na dół i wyjdź”.

Stevie czekała na przeszklonym ganku, wśród stert śmieci i kubłów z odpadkami. Chwilę potem drzwi się uchyliły i Hunter wystawił zza nich głowę.

– Mogę wejść? – spytała.

– Jasne. – Otworzył przed nią drzwi.

W domu strasznie śmierdziało. „Jak widać, Fenton nie żartowała, mówiąc, że nic nie czuje. Nawet koty opuściły okręt” – pomyślała Stevie.

– Musisz mi pomóc – powiedziała.

– W czym?

„Mogłabym skłamać. Nieraz już kłamałam. Ale kłamstwa odniosły odwrotny skutek. Wkraść się do domu Fenton to też nie to samo, co wkraść się do pokoju koleżanki. Coś takiego nazywa się włamaniem. Trzeba postępować jawnie, no i przydałoby mi się trochę szczęścia”.

– Potrzebuję wejść do gabinetu. Muszę spojrzeć na rękopis książki.

Hunter spłoszył się.

– Nie mogę...

– Nie okradnę was – odrzekła Stevie. – Chcę tylko sprawdzić w jej notatkach, co usłyszała od Mackenziego.

– Powiedziałem ci...

– Posłuchaj. – Stevie rozglądała się za mniej cuchnącym kątem. – Wygląda na to, że jestem bliska rozwiązania sprawy. Coś ci pokażę. – Znalazła na jednym ze stołów w miarę czyste miejsce i położyła tam torbę. Rozpięła ją i wyciągnęła puszkę. – Zawiera – rzekła – dowód na to, że list Nieodgadnionego napisał dwoje uczniów na kampusie. Był to figiel, psikus, coś w tym stylu.

– Zalewasz! – wykrzyknął Hunter.

Otworzyła puszkę i wyjęła zdjęcia.

– Oboje... – Podniosła jedno. – ...byli bogaci. Chłopak był poetą. Dziewczyna uwielbiała pisma o prawdziwych zbrodniach. Robili się na Bonnie i Clyde'a. Ten wiersz napisali razem. – Pokazała mu wiersz. – A

to – wyjaśniła, pokazując sklezione zdjęcia z wyciętym słowem – dowód albo prawie dowód. Mam konkretny dowód rzeczowy w sprawie. Więc jeśli ciotka też ma, powinnam go zobaczyć. Bo czuję, że ze mną pogrywa. A w szkole źle się dzieje. Zginęły dwie osoby.

– Przez przypadek – odparł Hunter.

– Tak, ale dzieje się coś niedobrego. Jeśli hipoteza z kasą faktycznie wynika ze słów Mackenziego, to muszę obejrzeć te notatki.

Hunter westchnął głęboko i zerknął na drzwi gabinetu.

– Nie ukrywam niczego; jestem szczerą. Nie chodzi mi o pieniądze, przyszedłam coś sprawdzić. Błagam.

Hunter spuścił wzrok, po czym spojrzał na Stevie.

– Wróci do godziny – odrzekł. – Zwykle kończy wykład trochę wcześniej. Chodź.

Poprowadził ją za przeszklone drzwi.

W gabinecie podszedł do szafy na dokumenty. Zamiast otworzyć ją jednak, zburzył czubkiem kuli stos czasopism na podłodze pod nią.

– Jest rąbnięta. – Oparł kulę o szafę i przykucnął. Przesunął na bok czasopisma, odsłaniając pudełko na pizzę. Otworzył je. Nieużywane, kryło kilkanaście żółtych teczek. Wybrawszy jedną, chwilę się zastanawiał. – Gdy rozmawiała z Mackenzie, był chory. Miał swoje lata. Podawali mu masę leków. Wyznał jej coś, co dotąd trzymał w tajemnicy, bo się bał. Ale chyba musiało to wyjść na jaw.

Nie bez wahania Hunter wręczył Stevie teczkę.

Opatrzona napisem „Mackenzie”, cienka, zawierała tylko kilka pożółkłych, zapisanych odręcznie, wyrwanych z notesu kartek. Spora część tekstu dotyczyła szczegółów spotkania. Później była strona z zaledwie dwoma punktami:

* W noc porwania Ellingham wyszedł na mniej więcej trzy kwadransy około drugiej – nie frontowymi drzwiami chyba, tylko prosto z gabinetu. Mackenzie stwierdził, że jeden tunel zaczynał się w Wielkim Domu, a drugi prowadził z Minerwy, gdzie Ellingham ulokował kochankę, do miejsca po drugiej stronie posiadłości.

– Gertie von Coevorden, no nie! – szepnęła Stevie. – A więc tak się dowiedziała o tunelu.

Drugi punkt sprawiał wrażenie istotnego.

***Ostatnie słowa Alberta Ellinghama brzmiały „Było o tym na drucie”. ***

– Na drucie? – powtórzyła Stevie.

– Tak – odparł Hunter. – Czytała mi to. Przypuszcza, że miał na myśli „w radiu”. W noc śmierci Ellinghama nadawali jakieś znane słuchowisko...

– *Wojnę światów* – dopowiedziała Stevie.

Pisano o tym w każdej z książek poświęconych sprawie. W noc śmierci Alberta Ellinghama emitowano na żywo słuchowisko Orsona Wellesa pod tytułem *Wojna światów* – o inwazji Marsjan na New Jersey. Utrzymane w stylu audycji informacyjnej, wywołało panikę, bo w latach trzydziestych słuchacze nie przywykli do takich eksperymentów twórczych. Tysiące ludzi uległy iluzji i wpadły w popłoch, że oto nadchodzi koniec świata.

– Trochę dziwna ta uwaga – powiedział Hunter.

– Na drucie – powtórzyła Stevie znowu. – To mają być te rewelacje? Coś o tunelu i o drucie? A co z testamentem?

– Nie zapisałaaby tego. Mówiłem ci, że jest psychiczna. Wkurza ją nawet, że mogę robić zdjęcia telefonem. Ale myślę, że to... widziałaś butelki. Nie wspominając o smrodzie i reszcie.

– Nietrudno się nie zorientować.

– Odłożę to już. – Hunter sięgnął po teczkę. – Powinnaś się zbierać albo... może się przejdziemy? Napijesz się kawy? Wybierzmy się gdzieś, gdzie nie cuchnie kupą. Co ty na to? Bo zaraz wróci i cię tu nakryje.



Z Pearl Street w dzielnicy uniwersyteckiej powędrowali na pełną sklepów i hoteli Church Street. Ulica była zamknięta dla samochodów, szli więc środkiem. Dość długo milczeli.

– Przeszła terapię – odezwał się wreszcie Hunter – jakieś dziesięć lat temu, bo moi rodzice interweniowali. Stwierdziła, że podda się jej tylko ze względu na nich, żeby ich zadowolić. W kółko powtarza, że nie jest uzależniona. Chyba w to wierzy.

– Współczuję.

– Nie, spoko – odpowiedział Hunter. – Jest całkiem znośna. Ogólnie mieszka się z nią nieźle. Dom śmierdzi, bo pali w środku, a nie ma zmysłu powonienia. Ale w moim pokoju jest... lepiej. Mam wielki filtr powietrza i zapas odświeżaczy. Często wietrzę. Tyle że bywa chłodno.

– Czyli dajesz radę – odrzekła Stevie. – To super.

– Czasami nocuję u znajomych... – ciągnął – ...na kampusie; sypiam na podłodze. To tylko kilka przecznic stąd.

– Czemu tutaj mieszkasz? – zaciekała się Stevie.

– Studia mniej mnie kosztują, bo nie płacę za mieszkanie. Pilnuję ciotki i informuję rodzinę, co się z nią dzieje. Myślę, że przy mnie jest troszkę stabilniejsza. Stara się jeść regularnie i chyba rzadziej zagląda do kieliszka. Co jakiś czas staje się jakby... pobudzona. Groźna nie jest. Tylko wrzeszczy – ale nic poza tym. Mamy umowę: nie prowadzi. Wożę ją, chodzi pieszo albo bierze taksówkę.

„Ciekawe, czy naprawdę sobie radzi. Życie z ciotką alkoholicką w zadymionym domu w zamian za wikt i opierunek to dość średni układ... Ale okej. Każdy robi, co uważa za stosowne. Są różne układy” – pomyślała Stevie.

– Nie pytasz o kulę – zauważył Hunter.

– Nie chciałam cię urazić – odparła. – Nie nosisz gipsu, więc pewnie używasz jej stale.

Hunter przytaknął.

– Młodzińcze idiopatyczne zapalenie stawów^[9]. Mam je od piętnastego roku życia. Chłód mi nie służy. Prawdę mówiąc, powinienem mieszkać na Florydzie. Tymczasem mieszkam w słonecznym, ciepłym Vermoncie.

– No i dobrze.

– To bardzo korzystny finansowo układ. Moi znajomi sypiają na materacach.

Kiedy po prawej wyłonił się bar z kawą, Hunter ruszył do niego, a Stevie przystanąła.

– Tunel – rzekła.

Hunter zawrócił.

– Słucham?

– Ellie w nim umarła. Gdybyśmy dowiedzieli się wcześniej... Sama nie wiem. Może udałoby się dotrzeć do niej w porę. Ciotka wiedziała o jego istnieniu. Wiem, że to nie jej wina. Ellie uciekła przeze mnie.

– Jeśli dobrze rozumiem, co się stało – odparł Hunter. – A może nie... Tak czy owak nie myliłaś się co do postępowania Ellie, prawda?

– Mhm, ale... chyba było coś jeszcze.

– Co masz na myśli? – spytał.

Stevie pokręciła głową, bo sama nie wiedziała. Przytłaczał ją nadmiar informacji.

– Wiesz co? Nad wodą są fajne huśtawki. Właściwie ławy. Poprawiają humor. Masz ochotę się pohuścić? Są lepsze niż kawa!

„Huśtawki brzmią ciekawie. Bycie z Hunterem jest... trudno stwierdzić. Właściwie znośne. Choć trochę dziwne, bo jest taki przyjazny. I co w tym złego? To przecież super, gdy ktoś jest zrównoważony i miły”.

– Jasne – odrzekła. – Huśtawka. Nie wpadłabym na nic lepszego.

Skręcili i skierowali się nad jezioro. Stevie wyjęła komórkę i sprawdziła czas.

– Ale go leją. Wykończą gościa. O rany!

Stevie podniosła wzrok. Na końcu ulicy pod wiatą autobusową przy gmachu sądu stała grupka skejtów.

Jeden zaciekle bił Davida po twarzy.



– O, cześć – rzucił David, kiedy podeszła.

Uśmiechnął się do niej. Miał pełno krwi w ustach, a na eleganckiej białej koszuli czerwone plamy. Znów się wystroił, jak pamiętnego dnia, gdy wsiadł z nią do autobusu, udając, że jedzie do Burlington, a później wysiadł z nią, by przekonać rodziców, że mimo śmierci Hayesa powinna zostać w Akademii. Dzisiaj ubrał się starannie i zbierał ciężki ledwie przecznice od gmachu sądu. Płaszcz za dwa tysiące dolarów miał utyłany błotem. Z rany na jego prawym policzku ciekła krew. Napastnik zranił go też w czoło tuż nad okiem. Sądząc po rozdartym brzegu koszuli i rozpiętych kilku guzikach, David dostał najpierw w klatkę piersiową.

– Co u ciebie? – zapytał od niechcienia. – Kim jest znajomy?

Z kącika ust spłynęła mu strużka krwi i śliny.

– Dobrze cię czujesz? – Stevie chciała chwycić go za ramię, ale strząsnął z siebie jej dłoń.

– Świetnie – odparł. – Spotkałem kilku kumpli.

Chwiejąc się, podszedł do innego skejta, który filmował całe zajście komórką. Gdy wyciągnął rękę, skejt oddał mu komórkę. Napastnicy wskoczyli na deski i odjechali.

– Co się stało? – zapytała Stevie. – Chodź. Zabieram cię... Jest tu przychodnia albo jakiś szpital? – Ostatnie zdanie skierowała do Huntera, który nie spuszczał wzroku z Davida.

– Tak. Postawiłem samochód parę ulic dalej. Zaczekajcie...

- Nie ruszam się stąd. - David podniósł ręce.
- David, przestań.
- Zadzwoń na dziewięćset jedenaście - zaproponował Hunter.
- Nie, nie - zaprotestował David. - Żadnych glin.

Usiadł na krawężniku i zajął się komórką. Stevie spojrzała na Huntera, który obserwował sytuację, zbity z tropu.

- Hunter - poprosiła - możesz zostawić nas na moment samych?
- Tak, tak. - Hunter zaczął się wycofywać. - Wracam. Yyy...
- Okej.

Ruszając z powrotem drogą, którą przyszli, obejrzał się raz czy dwa razy.

- Niezłe masz tempo - rzekł David, nie odrywając wzroku od komórki.

- Co?

- Nowy kolega. Cieszę się waszym szczęściem. Kiedy zamierzacie ogłosić wielki dzień?

- Zamkniesz się wreszcie? - Stevie usiadła przy nim. - Pokaż.

Teraz się nie cofnął, a nawet wychylił głowę, aby mogła przyjrzeć się jego policzkowi.

- Jak ona wygląda? - spytał.

- Na głęboką. Powinieneś pójść do szpitala, a potem trzeba wezwać policję.

- Po co? - zapytał, ocierając krew rękawem. - Vermonckie prawo chyba nie zabrania dostać w tyłek?

- Pobić zabrania.

- Ale nie za kasę. Chociaż kto wie. Nie jestem prawnikiem.

- Jak to za kasę? Zapłaciłeś komuś, żeby...

- Chwila. - David dotknął ekranu komórki i zadowolony kiwnął głową. - Dobra. - Wsunął komórkę do kieszeni. - Załadowane.

- Gdzie?

– YouTube. Stary kanał Hayesa.

– Co?!!!

– Widzisz, jestem kompletnie beznadziejny – odrzekł. – Umiem zhakować kanał na YouTube. No, fajnie było, ale masz przecież swoje sprawy.

– Nie rozumiem – odparła Stevie, kręcąc głową. – To jakiś odwet?

– Na tobie? – David się roześmiał, z ust pociekła mu krew. – Świat nie kręci się wokół ciebie – dodał.

Splunął na chodnik, aż przechodząca kobieta z dzieckiem odskoczyli. Uśmiechnął się do nich krwawo.

– Nie zostawię cię – rzekła Stevie. – Guzik mnie obchodzi, że chcesz, bym sobie poszła. Koniecznie musi obejrzeć cię lekarz.

– Jak nie odejdziesz, to ja odejdę.

– Pojdę za tobą.

– Wiem, co cię dręczy – odpowiedział David. – Martwisz się, że ojciec unieważnił umowę i zaraz przyleci po ciebie helikopterem, żeby cię odstawić z powrotem do Pittsburgha.

– Martwi mnie, że dostałeś po twarzy i najwyraźniej ogromnie cię to cieszy.

– Wzruszyłem się. Powinnaś wracać do nowego przyjaciela.

– Czemu jesteś takim gnojkiem? – wrzasnęła Stevie.

– Domyśl się. Wyznałem ci wszystko. Zachowałem się porządnie. Nareszcie wiem, jak się kończy szczerłość.

– Mam cię przeprosić? – zapytała Stevie. Wypowiedziawszy te słowa, uzmysłowiła sobie, że nie zna na nie odpowiedzi. David przechylił głowę, zaciekawiony. Na jego twarzy odmalował się przedziwny wyraz.

– Pewnie tak – odparł. – Ale dajmy sobie już z tym spokój. – Znów splunął krwią na ulicę. – Nie przejmuj się mną. Masz większe kłopoty niż ja. Przynajmniej wiem, że jestem porąbany.

Wstał z krawężnika i skierował się nad brzeg jeziora, dotykając twarzy szalikiem. Stevie chodziła wkoło, nie bardzo wiedząc, co robić, w końcu jednak za nim pobiegła.

– Po co to załadowałeś? – zapytała. – Czemu dałeś się sprać za kasę?

– Mam swoje plany – odpowiedział David. – Ciebie one nie dotyczą.

– David. – Stevie przyspieszyła i zastawiła mu drogę. Obszedł ją. Po chwili znowu. Stwierdziwszy, że nie ma ochoty dalej tańczyć z nim niedorzecznego tańca, starała się dotrzymać mu kroku.

– Chcesz znać prawdę? – spytała. – Twój ojciec zjawiał się u nas ni stąd, ni zowąd. Przyniósł prospekty o systemach bezpieczeństwa. Namówił rodziców, by mi pozwolili wrócić. Po czym zabrał mnie prosto na lotnisko. W samolocie zapytałam, czego chce, bo jak go znam, nie robi takich rzeczy z grzeczności.

– Bez pudła. – David wsunął ręce do kieszeni. Przechodnie patrzyli na niego, trudno było go ominąć wzrokiem.

– No a on odparł, że odsyła mnie z powrotem, bo liczy, że gdy wrócę, wyluzujesz. Nie mówiłam ci, bo...

– Bo...

– Bo jak powiedzieć coś takiego?

– Posługując się słowami – odrzekł David.

– No i jak byś się zachował?

David przystanął.

– Gdybyś powiedziała? – spytał. – Zrozumiałbym. Znam ojca. Ale nie powiedziałaś. Woliałaś z tym czekać, dopóki nie znajdę w tunelu rozkładających się zwłok przyjaciółki.

– Bo się wstydziłam – odparła. – Nie umiem komunikować takich rzeczy. Jestem... kiepsko radzę sobie z ludźmi.

– Nic podobnego – odrzekł.

– Masz ten sam problem. Powiedziałaś mi, że twoi rodzice nie żyją.

– Więc mamy remis – odparł David z prostotą. – Dasz sobie radę. Dopóki King nie obejrzy filmiku. Aha, nie wracam do Akademii. To może być problem. Ale pewnie się z tym uporzysz.

– Zaraz, jak to?

– Nie wracam do Akademii – powtórzył.

– Dałeś się sprać, a teraz nie wracasz do szkoły?

– Właśnie. Brawo!

– Czemu? – zapytała Stevie.

– To moja sprawa. Możesz zawrzeć kolejny układ z Eddiem. Zaproponować, że mnie odnajdziesz i sprowadzisz. Może się uda. Bo przecież znasz się na znajdowaniu ludzi.

– David...

Wyciągnęła rękę, ale odepchnął ją szorstko.

– Rozstajemy się – oznajmił.

– Ja cię nie zostawię.

– Super. Skoczę do jeziora. Chcesz popływać? Jest trochę zimno, ale pływanie to świetna gimnastyka.

„Nie wiadomo, jak zwykle, czy żartuje, a jezioro jest tuż, na końcu ulicy”.

– Zawracaj – rzucił. – Mówię serio. Skoczę.

Słyszając to, Stevie zalała się łzami. Zdumiało ją to. Płakała rzadko i nigdy przy ludziach. David przez chwilę przyglądał jej się z bezdusznym zaciekawieniem, po czym odwrócił się i ruszył w stronę nabrzeża.

Stevie nie poszła za nim. „Jeszcze jedna tragedia w tym jeziorze – pomyślała – ale już beze mnie”.

Musiała pozwolić mu odejść.



Gdy wróciła na kampus, filmik z bitym Davidem miał dziesięć tysięcy odsłon. Odświeżała stronę, patrząc, jak ich liczba rośnie. Większość komentujących była zdezorientowana. Co rozumiało: wchodzili tam dla serialu o zombie. Skoro twórca zginął, skąd wziął się ten bity po twarzy obcy facet?

Stevie nerwowo sprawdzała w komórce, czy David nie przysłał jej esemesa, i zastanawiała się, czy do niego nie napisać, ale oboje się do siebie nie odzywali. Wielokrotnie jednak kontaktował się z nią Hunter. Nie wiadomo czemu odpowiadała mu zdawkowo.

Wróciwszy do Minerwy, zastała tam ciszę. W kominku nie płonął ogień, a wszędzie było ciepło.

„Jest ich już troje... Hayes, Ellie, David. Jak ja żyłam, zanim zaczął się ten obłąd? Jak sobie radziłam? Radziłam sobie... jakoś, po prostu. Napotykałam zakręty, pokonywałam je i szłam dalej”.

Zaesemesowała do Nate'a, że czeka na dole, a potem poszła pod drzwi pokoju Janelle. Były uchylone. Janelle siedziała na włochatej poduszce na podłodze. W laptopie szedł film o SpaceX^[10], a wokół leżały porozrzucane szczątki arduino^[11]. Janelle przeglądała się w lustrzanej ścianie, delikatnie nakładając kolor pędzelkiem. Obok piętrzył się niewielki stos palet do powiek.

– Jak ci się podoba? – Odwróciła się, pokazując oko umalowane odcieniami żółci, czerwieni i oranżu. („Wstrząsające” – stwierdziła w myśli Stevie). – To zachód słońca. Przypomina zachód słońca? Bo mnie wydaje się zbyt pomarańczowe.

– Muszę z tobą pogadać – rzekła Stevie.

Janelle przekręciła się na poduszce w jej stronę i zatrzymała film. Stevie zamknęła drzwi i usiadła na podłodze.

– Jest coś, o czym ci muszę opowiedzieć...

– Chodzi o Davida? – spytała Janelle.

– Tak. Zauważyłaś?

– Chcesz zostać detektywem, ale nie znam mniej subtelnej osoby. Popracuj nad tym. Co się dzieje?

– To tajemnica – odparła Stevie. – Bez żartów.

Janelle zmarszczyła czoło, zaniepokojona. Spojrzała na Stevie porażająco zrobionym okiem. Rozległo się pukanie. Na „kto tam?” Janelle do pokoju zajrzał Nate.

– Jakaś narada albo coś? – zapytał.

– Potrzebuję was – odrzekła Stevie. – Musicie to usłyszeć.

Nate miał leciutkie sińce pod oczami, jakby dopasowane do spłowiałego tiszertu.

– Okej. – Siadł na podłodze, podkulając nogi pod brodę. – Chyba czas wymienić się doświadczeniami.

– O czym mi nie mówiliście? – Janelle obrzuciła wzrokiem Stevie i Nate’a.

– Ty zacznij – poprosił Nate. – Ja nie umiem.

Stevie wzięła głęboki wdech i zmierzwiła włosy. „Za bardzo odrosły. Kompletnie nic mi się nie układa”.

– David jest synem Edwarda Kinga – oznajmiła.

Janelle trawiła to chwilę, mrużąc i wytrzeszczając wieczorowe oko.

– David jest synem... – powtórzyła – ...tego polityka? Tego, co startuje na prezydenta? Tego, dla którego pracują twoi rodzice? Jego?!

– Mhm – przytaknęła Stevie. – Niezbyt się lubią. Dowiedziałam się rano nazajutrz po zniknięciu Ellie. Przyjechał na kampus.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego – zwróciła się Janelle do Nate’a.

– Dowiedziałem się tuż po znalezieniu Ellie.

– Nie mogę tego rozpowiadać – rzekła Stevie. – Chciałabym. Ale tego nie powinien wiedzieć nikt. Pewnie stwarzałoby to jakieś zagrożenie.

– Więc Edward King opłacił ten system bezpieczeństwa? – zapytała Janelle. – Czyli to nie plotki? Sądziłam, że Vi się myli.

– To nie koniec – ciągnęła Stevie. – Facet przywiózł mnie z powrotem. Tak wróciłam do szkoły. Przekonał rodziców. Liczył, że jak wrócę, David się uspokoi. I jeszcze to... – Przysunęła laptop Janelle i, otworzywszy kanał Hayesa, pokazała im filmik z bitym Davidem. Poprzednio oglądała go bez dźwięku. Z dźwiękiem był straszniejszy, bo David podjudzał skejtów. Przykro było patrzeć, jak zbierając kolejne ciosy, szeroko się uśmiecha i błaga o następne.

Film miał już sześćdziesiąt tysięcy odsłon.

– Co on wyrabia? – spytała Janelle. – Ten chłopak nie jest zdrowy.

Nate wolno obrócił się do Stevie.

– Nie da się ukryć – dodał.

– Zapłacił za to – wyjaśniła Stevie. – A potem powiedział mi, że nie wraca.

– Dobra. – Ton Janelle dobitnie wskazywał, że nie musi oglądać filmu dłużej. Podniosła się z podłogi, stanęła prosto i rzekła: – Nie szaleję za nim, jak wiecie, ale zaraz trzeba o tym kogoś powiadomić.

– Chyba że blefuje? – Nate miał wątpliwości. – Jak myślisz, Stevie? Może robi ci na złość?

– Nie wyglądało to tak – odparła Stevie. – Zapłacił, żeby mu spuścili manto. Załadował film na kanał Hayesa, który zhakował. Wszystko tu jest celowe i dziwaczne. Nie mogę rozgryźć, dlaczego to robi.

– Niszczy nam życie – spuentował Nate.

– Nieważne – odrzekła Janelle. – Zapłacił, by go pobili. To nie w porządku. Zginął Hayes. Zginęła Ellie. Poza nimi nikt z domu nie ucierpiał. Powiedz komuś. Powiedz Pix. I to zaraz.

„Janelle ma rację – pomyślała Stevie. – Koniecznie trzeba komuś dać znać. To, co zrobił David, jest niepokojące. A w oczach miał upór. Chce doprowadzić rzecz do końca. Poczul się zraniony, ale bez przesady. Coś komunikował, wstawiając film na kanał Hayesa... Gdybym tylko umiała to zrozumieć. Janelle i tak ma rację”.

– Powiem Pix – rzekła. – O pobiciu i że nie wraca. O ojcu nie. Tylko że z miejsca usuną mnie ze szkoły.

– Nie wiadomo – odparła Janelle.

– Na pewno. David ucierpiał, więc jest po umowie.

– Załatwimy to – obiecała Janelle. – To nie sprawa Kinga. Pomożemy ci. A na razie powiemy Pix. Odtąd koniec sekretów między nami.

– Koniec sekretów. – Stevie przytaknęła.

– Ciekawostka – rzekł Nate. – Pisanie książki to przy tym pikuś.



Stevie śniła. Sen był porwany.

Spacerowała ulicami Burlington, szła tą trasą, co z Davidem, gdy rozległ się krzyk: „Wyciągają ludzi z jeziora!”. Pobiegnęła więc na nabrzeże tam, gdzie poznała Fenton, i zobaczyła, jak wylawiają dziesiątki ciał. Nie martwych. Rzucali się na brzegu jak ryby. Cała masa. Ktoś zaszedł ją od tyłu, ale się nie odwróciła. Jakiś głos, dziewczęcy, niewyraźnie szeptał jej na ucho. Czując, że to Dottie Epstein, nie obróciła się, żeby jej nie spłoszyć. Nie spuszczając oczu z podrygujących ryboludzi, starała się pojąć jej słowa.

Dzwonek komórki.

– Obudziłem cię? – zapytał Edward King.

Prostując się na łóżku, Stevie zawzięcie przecierała oczy. Laptop wciąż był otwarty na jednej ze stron Websleuth, którą czytała, nim zmorzył ją sen. Zwykle wchodziła tam, aby się zrelaksować. Przez zmrużone powieki, rozspana, sprawdziła godzinę. Była siódma siedem.

– Nie – skłamała.

– Obudziłem. Wybacz wczesną porę. Za dwie godziny jest głosowanie, a przedtem mam jeszcze kilka spotkań.

Telefon był nieunikniony. Stevie czuła, że King zadzwoni zaraz po tym, jak powiedziała Pix o pobiciu Davida, jego odejściu i ponurej decyzji. Pix straciła dwoje podopiecznych, zniknięcie kolejnego byłoby

dla niej druzgocące. Opowiedziawszy Pix o wszystkim, Stevie weszła do łóżka z laptopem i usnęła.

Co ciekawe, tej nocy spała smacznie. Pierwszy raz od dawna nie bojąc się napadu lęku.

– Jesteś tam? – spytał King, bo zamilkła.

– Tak – odparła, usiłując nie chrypieć.

– Dobrze. Wczoraj wieczór wstawiono pewien filmik. Widziałaś go, rozumiem?

– Tak – odpowiedziała.

– Nie zachwyił mnie, Stevie. Zawarliśmy układ. Odnoszę wrażenie, że nie dotrzymujesz warunków.

– Czego konkretnie pan oczekuje?

– Masz wolną rękę. Liczyłem, że rozwiążesz problem. Jeżeli się nie uda, znajdę jakiś sposób. Teraz doradzam: porozmawiaj z Davidem.

Stevie uznała, że nie warto się kłócić, choć ją korciło, by bluznąć na Kinga.

– Jeszcze coś? – spytała.

– Nie. Zgłoszę się jutro o tej samej porze. Do widzenia.

– Przy okazji: nic mu nie jest.

Edward King się rozłączył.

Nagle Stevie doznała olśnienia. Jej czas się kurczył.

„Liczy się każdy dzień, godzina, chwila. Ten rześki poranek w Akademii Ellinghama jest najcenniejszą rzeczą, jaką mam”.

Wstała z łóżka („punkt za wysiłek”), zrzuciła ciepłe spodnie od pizamy i włożyła prawie identyczne od szarego dresu. Nie wykąpała się i nie przebrała z (jednego z ulubionych, wygrzebanego z pudła na strychu) tiszertu. „Wprawdzie po nocy pachnie się nieciekawie – pomyślała. – Ale co tam. Detektywowi wolno czasem podśmierdywać”.

Chwyciła plecak i włożyła do niego niezbędne rzeczy: komórkę, ładowarkę, laptop i latarkę. Próbując rozwiązać sprawę zabójstw z lat

siedemdziesiątych, jedna z jej ukochanych pisarek starała się zanurzyć w tamtej epoce. Zrobiła playlisty piosenek nadawanych w radiu w czasie, gdy doszło do morderstw, a później słuchała ich, jeżdżąc po okolicy, aby wczuć się w klimat. Uważała, że każdy szczegół jest istotny. „Trzeba w to wejść do końca – pisała. – Odczuć przeszłość nieomal namacalnie. Pamiętając, żeby nas nie zniewoliła, żeby przypadkiem się w niej nie zatracić”.

Stevie wyszukała stację online z muzyką z lat trzydziestych.

Poranek był rześki. Chłodne powietrze wypełniło ją, ożywiając tętnice. „Nie żyły. Żyły prowadzą odtlenowaną krew do serca. Naczynia tętnicze doprowadzają ją do narządów ciała, stąd cudowne ożywienie umysłu i wigor”. Włączyła muzykę – spokojny swing – i zaczęła chłonać. Ruszyła ścieżką w jej takt, dostrajając do niej kroki, czucie, myśli. Chciała cofnąć się w czasoprzestrzeni poprzez rytm.

Postanowiwszy obejrzeć dokładnie cały kampus, wędrowała wśród drzew, alejami i krętymi ścieżkami. Szła z gracją, wyprostowana. Widząc kogoś w dali, zmieniała trasę, kryła się za drzewem, skręcała za róg. Albert Ellingham ponoć projektował ścieżki, chodząc za kotem, który mieszkał w posiadłości, ponieważ „koty wiedzą najlepiej”. Stevie nie dowierzała tym pogłoskom, ale też Ellingham był dość ekscentryczny... Niesiona muzyką, uzmysłowiła sobie nagle, że tak jest – że kot naprawdę więcej czuje i więcej widzi. Jako łowca i świetny tropiciel, kot działa chyłkiem. Kryje się w cieniu, po czym zniemacka skacze na ofiarę. W przeciwieństwie do człowieka, kot postrzega całe otoczenie.

„Edward i Frankie przebierali się za gangsterów – pomyślała Stevie. – Zostali Nieodgadnionym. Ale po co? Żeby się zabawić kosztem mistrza zabaw? Wyglądali na zamożnych. Dwoje znudzonych bogatych smarkaczy zapragnęło występku. Jak pewien znajomy bogaty chłopiec, który kazał stłuc się wczoraj chyba tylko po to, by się przypomnieć tatusiowi”. Mimo że dziś nie zajmowała się Davidem, skojarzenie było trafne. Postanowiła więc je wykorzystać. „Edward i Frankie działali z

pobudek znanych tylko sobie. Wysłali list. Ale chyba nie porwali Iris i Alice. Skąd zresztą wytrzasnęliby samochód? Ktoś na pewno by ich zauważył. No i gdzie ukryliby Alice? Nie byli roslym facetem tamtej nocy w obserwatorium. Nie pobili George'a Marsha ani nie wypłynęli łodzią na jezioro po okup. Wtedy nie było internetu ani komórek. Nie mając praktycznie żadnych środków, czegoś takiego nie da się zorganizować. Czyli pewnie to zbieg okoliczności. Albo ktoś wykorzystał anonim, wplótł go w swój spis. A co z Dottie?"

Zostawiwszy skwer daleko w tyle, Stevie zbliżyła się do kamiennych sfinksów. „Dottie znała mitologię. Na temat zagadki wiedziałaby wszystko. Ciągle czytała”.

Stevie spojrzała na Wielki Dom z najdalszego miejsca na kampusie, z którego był widoczny. Właśnie grano skoczną jazzową piosenkę. „Przy czymś takim bawili się goście w weekend przed porwaniem. Dom, serce posiadłości, zawsze tętnił życiem i muzyką... Zaraz, jak to, według Fenton, brzmiały ostatnie słowa wypowiedziane przez Ellinghama do Mackenziego? «Było o tym na drucie». Druce? W radiu? Czyżby usłyszał o czymś w radiu? Może to głupstwo. Wybierał się na przejażdżkę jachtem. Nie miał pojęcia, że zginie. Może chodziło o coś innego. Ale... Uzupełniał testament. A jeśli ten kodycył to nie ściema? Jeśli rzeczywiście wyznaczył wielką nagrodę za odnalezienie córki żywej lub umarłej? Jeżeli wiedział, że coś mu się stanie? Napisał zagadkę. Zamknął przedsiębiorstwo. Powiedział Mackenzie, że było o tym na drucie”.

Stevie była kiedyś w barze sushi, gdzie zamówienie przyjeżdża na stół minitaśmociągiem. Podobnie mózg podsuwał jej czasami myśli, a wtedy sięgała po nie i je rozważała. „Drut”.

– Drut – rzekła na głos.

Zawróciła w stronę domu. W miarę jak zbliżała się do niego, ogromniał. Fontannę Neptuna na jesień wyłączono, więc bóg mórz patrzył na nią z suchego postumentu.

Za frontowymi drzwiami, gdzie do niedawna urzędował Larry, stał młody ochroniarz z firmy wynajętej przez Kinga. Kiedy zatrzymał wchodzącą Stevie, z balkonu na piętrze zawołał MówciemiCharles.

– Stevie! Podeszłabyś na sekundkę?

Idąc schodami, minęła portret Ellinghamów. Charles stał na półpiętrze z doktor Quinn.

– Widziałaś może Davida Eastmana?

– Wczoraj – odrzekła. – W Burlington.

– A potem?

Stevie pokręciła głową. Doktor Quinn spojrzała znacząco na Charlesa.

– Dzwonił do ciebie albo...

– Nie, przykro mi – odpowiedziała.

„Bez sensu mówić, że David nie wraca. Nie mój cyrk, nie moje małpy – stwierdziła. – Niech to wszystko samo się zawali. Niby dlaczego mam to przyspieszać?”

– Rozumiem – odparł Charles. – Dziękuję. Wybierasz się na strych?

Stevie przytaknęła.

– Daj nam znać, gdyby jednak zadzwonił, dobrze?

– Widziałaś film – rzekła doktor Quinn. Nie było to pytanie.

– Jak się odezwie, dam znać. – Stevie ruszyła w górę i skierowała się ku schodkom na strych.

Zwykle po wejściu Stevie mitrężyła, rozglądając się, zerkając do pudeł, zdejmując z półek to czy tamto. A dzisiaj nie. Dziś przyszła na strych po konkretny przedmiot, więc do szukania wzięła się od razu. Przedmiot krył się w jednym z pudeł z rzeczami z gabinetu Ellinghama. Kręciło ją w nosie od kurzu i zapachu starych dokumentów. Zaczęła przeglądać bezużyteczne pamiątki po Ellinghamie. Ileż ich było – pinezki, skamieniałe rolki taśmy, które z wiekiem przybrały bursztynowy kolor, pożółkłe nietknięte notesy z wytłoczonym

nazwiskiem milionera, nożyczki, przyciski do papieru, nożyki do listów, zaschnięte kałamarze...

I kilka białobordowych szpilek z napisem „Webster-Chicago”. Na przyklejonym poźółkłą taśmą skrawku papieru widniały inicjały DE. Szukając dalej, wydobyła z dna pudła coś, co dotąd pomijała. Tekturowe pudełko, opakowanie na szpule. Poznała je po etykiecie: „Drut nagrywający Webster-Chicago”.

– Drut nagrywający – przeczytała na głos. – Drut nagrywający.

„Skoro to nagranie, na czym je odtworzyć? Rzecz jasna na tym, na czym je nagrano”. Stevie miotała się po ciasnym przejściu między półkami. Nowa muzyka zmieniła tok jej myślenia. Albert Ellingham ofiarował jej obszerny i drobiazgowy przewodnik po domu w postaci gigantycznego domku dla lalek... Stevie pobiegła na drugi koniec strychu, zerwała narzutę i ostrożnie otworzyła domek. Przykucnąwszy przed małym gabinetem Ellinghama, poczuła się jak olbrzym, który śledzi z góry jego życie. Większość przedmiotów rozpoznała bez trudu – kilka przesunięto nieco, ale, o dziwo, rozkład i wystrój prawie się nie zmienił. Skórzane fotele, skóra lamparta, dwa zasłane małymi papierami biurka, nie większe od jej paznokcia telefony. Półeczki pełne niewiarygodnie małych książek. Globus, zegar z zielonego marmuru i...

Na szafce leżał dziwny przedmiot wielkości drukarki komputerowej. (Pudełko zapalek. Chodzi rzecz jasna o proporcje). Stevie ujęła go w dwa palce i podniosła. Przypominał radio, ale – cieniutkim pędzelkiem – namalowano na nim napis „Webster-Chicago”.

„To ten aparat”.

Znalazła replikę, musiała więc się rozejrzeć za oryginałem. Spośród tysięcy przedmiotów zgromadzonych przez Ellinghamów najważniejszy teraz był ten jeden. Działając metodycznie, zaczęła od pierwszej półki – z materiałami biurowymi. Wyjmowała jedną rzecz po drugiej, kichała w dokumenty, wywlekała wiekowe książki telefoniczne, plamiła palce brudem i pyłem. Sprawdziała wszędzie, a nawet wspinała

się po regałach, zdecydowana za wszelką cenę znaleźć ten jedyny przedmiot.

Poszukiwania zajęły Stevie prawie dwie godziny. Skarb leżał w kartonie pod ciężkim pudłem pełnym płyt. Ważył dobre kilkanaście kilogramów. Srebrno-bordowy, bardzo wytworny, w stylu art déco, był opatrzony napisem „Webster-Chicago”, nadal lśniącym. Patrzyła na grube stare kable, szpule i pokrętła, nie wiedząc, czy można bezpiecznie podłączyć aparat do prądu ani jak go uruchomić.

Szczęśliwie jednak знаła geniusza.



– Dobra – rzekła Janelle, zapinając pas z narzędziami. – Przyjrzyjmy się temu ustrojstwu.

Antyczny magnetofon stał na wózku pośrodku warsztatu. Janelle miała na twarzy radość, a na głowie gogle.

Dzięki zmianie personelu ochrony Larry nie mógł zabronić Stevie przywlec tego zakurzonego rupiecia ze strychu. Na słowa Stevie, że kazano jej wyczyścić go w warsztacie, nowy ochroniarz kiwnął głową i ją przepuścił. W warsztacie już czekali Janelle, Nate i Vi. Esemes: „Musisz mi coś naprawić” wystarczył, by ściągnąć tam Janelle natychmiast.

Janelle najpierw przetarła ściereczką obudowę, a potem otworzyła zatrzask, odsłaniając trzy stare kołowrotki. Pochyliła się nad urządzeniem, obeszła je i obejrzała z daleka. Później zamknęła pudło i postawiła je do góry dnem.

– Tę obudowę pewnie da się odkręcić. – Ze ściany, na której wisiały narzędzia, zdjęła świeżo naładowaną bezprzewodową wiertarkę. Nate siedział po turecku na podłodze, wpatrzony w telefon. Vi siedziała na stosie drewna, omiatając przyjaciółkę łakomym wzrokiem. Stevie kręciła się, opierała o ścianę, przysiadła obok Nate’a i podbiegała do drzwi. Parę razy podchodziła do miejsca, gdzie dawniej stał pojemnik z suchym lodem, substancją, która spowodowała śmierć Hayesa. Pojemnik wywieziono albo gdzieś schowano. Teraz stało tam kilka opartych o ścianę grabi i łopat.

Rozległo się metaliczne „bzzzzzzzt”. Janelle zaczęła wykręcać śrubki z obudowy.

– Lada dzień spadnie śnieg – ogłosił Nate znad komórki. – Gęsty. Zbliża się potworna zadyma.

– Ekstra! – Janelle odstawiła wiertarkę na podłogę. – Uwielbiam śnieg. A tu na pewno wygląda odjazdowo.

– Lubisz – spytał Nate – grubą warstwę śniegu?

– Mhm, ale co to znaczy „grubą”? Jestem z Chicago. Miewamy tam śnieg.

– Ponadmetrowe zaspasy.

– To... kupa śniegu – odrzekła z aprobatą Janelle. – Nie lubisz śniegu, co?

– Lubię, lubię. Dzięki śniegowi nie muszę się spotykać z ludźmi.

Zanosząc się śmiechem, Janelle ostrożnie odwróciła aparat do góry nogami i zdjęła obudowę. Na mechanizm składała się szarobura masa cewek, kabli i zaśniedziałych wkrętów.

– Ślicznotka – rzekła. – Brudaska. Najpierw trzeba ją wyczyścić.

– Myślisz, że uda ci się ją uruchomić?

– Cierpliwości – odpowiedziała Janelle, zsuwając gogle na oczy. – Wszystko w swoim czasie. Troszkę na nią podmuchar i będzie lśniła.

Wyjęła coś, co przypominało toporny pistolet zabawkowy z lufą cieniutką jak dziobek kolibra. Wetknęła lufę do wnętrza aparatu i ostrzelała je powietrzem, wznosząc obłoczki kurzu zmieszanego z sadzą.

– Okej. – Janelle zdjęła gogle i wepchnęła pistolet powietrzny do kabury. – Wygląda na to, że się nieźle zachowała. Trzeba będzie wyłączyć te kondensatory i chyba podpiąć nowy kabel zasilania. Kondensatory mam w skrzynce z częściami zamiennymi, poszukam kabla, wybiorę końcówkę i podepnę.

Fachowość Janelle zaimponowała Vi tak bardzo, że jej oczy przybrały kształt serc.

– Miłość wisi w powietrzu – szepnął Nate do Stevie. – Zaraz wejdą ci na ten drutowiec...



Po półgodzinie Janelle zamknęła obudowę.

– Dobra – rzekła. – Sprawdźmy, czy zadziała.

Przekręciła jedno z pokręteł i kołowrotki zaczęły się obracać. Stevie i Nate poderwali się z podłogi.

– Udało ci się? – spytała Stevie. – Naprawdę?!

– A jak! – Janelle wyjęła z za stanika błyszczący i odruchowo musnęła nim usta. – Jestem królową maszyn.

Vi wzięła ją w ramiona.

– Okej. – Stevie podała jej drut. – Jak to działa?

– Szukałam tego. – Vi puściła Janelle. – Ludzie je kolekcjonują. Jest pełno instruktaży. To najlepszy, jaki znalazłam.

Wręczyła komórkę Janelle, która obejrzała filmik, po czym wzięła drut i nawinęła go na urządzenie, kilka razy sprawdzając, czy robi to właściwie.

– Chyba gotowe; żeby się tylko nie włączyło nagrywanie – rzekła. – Próbujemy?

Stevie kiwnęła głową i Janelle przekręciła włącznik. Szpule z drutem zaczęły się obracać. Usłyszeli trzaski, syki i dwa, trzy głuchoe odgłosy, jakby coś uderzyło w mikrofon. Wreszcie... głos. Niski, męski. Niewątpliwie Alberta Ellinghama.

– Usiądź tam, Dolores.

– Tu sięść? – Dziewczęcy głosik należał do Dolores Epstein. Stevie zamarła z wrażenia. Była wśród nich Dolores – postać z przeszłości. Mówiła wysokim głosem, wyraźnie, z silnym nowojorskim akcentem.

– Tak – odparł Albert Ellingham. I trochę przybliżył się do mikrofonu.

Janelle rzuciła Stevie rozradowane spojrzenie.

– Świetnie – ciągnął. – Mów tak, jak mówisz zwykle. Ciekawią mnie twoje doświadczenia z Akademii. Robię nagrania poświęcone szkole,

żeby zapoznać ludzi z naszą działalnością. Nim się poznaliśmy, wpadałaś w tarapaty, prawda?

– Czy to do radia? – zapytała Dottie.

– Nie, nie powinnaś się czuć skrępowana.

– Lubię pomyszkować – odparła. – Zwyczajnie.

– No i dobrze! – ucieszył się. – Byłem taki sam!

– Mój wujek jest gliną w Nowym Jorku. Mówi, że mu przypominam piętrzarzy.

– Piętrzarzy? – Ellingham nie zrozumiał.

– Piętrzacz to złodziej, który, jak wskazuje nazwa, wchodzi przez okno na piętrze. Troszkę sprytniejszy od włamywacza. Prawdę mówiąc, to od wujka nauczyłam się tej sztuki. Policjanci świetnie się na tym znają. A ja od dawna interesuję się zamkami.

– Co pomyślałaś, gdy tu przyjechałaś? No bo na pewno jest inaczej niż w Nowym Jorku.

– Bałam się.

– Czego?

– Przywykłam do miasta. Nie do lasu. Las jest straszny.

– Las jest wspaniały!

– I ciemny i głęboki, jak mówi poeta Robert Frost. Gdy powiedziałam wujkowi, że tu jadę, stwierdził, że to świetnie, bo ma pan strychowca.

– Strychowca? – spytał.

– To też slang. Co jest wyżej? Strych. Wujek nieraz mówił, że chcąc zdybać – złapać na gorącym uczynku – piętrzarza, gliniarze muszą zacząć się nad nim. Ma pan policjanta z Nowego Jorku, pana Marsha. Poprawiło mi to humor. Teraz już mi się tutaj podoba.

Albert Ellingham zachichotał.

– Cieszę się. Więc co powiedziałabyś o Akademii Ellinghama?

– Że to najlepsza szkoła w moim życiu. Wykorzystuje elementy koncepcji Marii Montessori^[12], chociaż widzę też pewne wpływy Johna

Deweya^[13], który pochodzi z Burlington, wie pan o tym?

– Pierwsze słyszę. Wciąż uczę się tu czegoś nowego. Uczymy się nawzajem. Przed sekundą dowiedziałem się o piętrzarzach. Opowiedz, jak wygląda twój dzień w szkole, nauka...

W głowie Stevie zabrzmiał nagle głos Mudge'a. Oglądali oko krowy... Plamka ślepa. „Tam, gdzie dociera tyle sygnałów, nie widać nic”.

Uświadomiła sobie, że informacje, które dotąd zebrała, wszystko, co przeczytała na temat sprawy Ellinghamów, zaczyna się układać w spójną całość. „Jest tego tyle, że nie wolno nic uronić. Muszę pilnować tych sygnałów, inaczej umkną”. Prędko podeszła do drzwi. „Nie mogę dalej słuchać ani rozmawiać, bo się pogubię”.

– Ej! – rzekła Janelle, zatrzymując aparat. – Dokąd się wy...

Stevie pożegnała ich machnięciem ręki. Niebo przybrało jaskraworóżową barwę, powietrze było mroźne i rześkie. Idealne do przemysłów. „Tym kierował się Ellingham, kupując tu ziemię – górskie powietrze miało sprzyjać nauce i myśleniu. Gdy się przywyknie do lekkiego niedoboru tlenu, wszystko dzieje się jakby trochę szybciej... Myśl, Stevie. Czego jeszcze ci brakuje? Co zobaczyłaś?”

Na tle różowego nieba wyraźnie rysowały się mroczne wieże biblioteki.

„Biblioteka. Dottie zostawiła w niej po sobie trwały ślad”.

Stevie pognęła jak szalona. Gdy wpadła do środka, Kyoko właśnie kończyła dyżur. Potykając się, Stevie podbiegła do jej biurka.

– Kyoko... muszę do czegoś zajrzeć.

– Nie da się poczekać z tym do jutra?

Stevie pokręciła głową.

– Chodzi o książkę. Książkę Dottie. *Sherlocka Holmesa*.

– I to jest aż takie pilne?

– Błagam – odparła. – Uwinę się w pięć minut. Dwie minuty.

Kyoko wzniosła oczy do nieba, ale sięgnęła do szuflady, wyjęła klucze i otworzyła biurko. Stevie weszła za nią. Minąwszy rzędy półek, Kyoko zatrzymała się między regałami, na których przechowywane były skarby z 1936 roku. Wyjęła ze skrzynki pożółkłą książkę.

– Pospiesz się, tylko jej nie uszkodź – rzekła, podając książkę Stevie.

Stevie wzięła ją jak relikwię i przeniosła na jeden ze stołów.

– Do czego jest ci potrzebna, że aż tak się spieszysz? – zapytała Kyoko. Ale Stevie jej nie usłyszała, pochłonięta szukaniem czegoś, co spostrzegła w książce, drobiazgu...

Znalazła. *Studium w szkartacie*. Podkreślone ołówkiem słowa Sherlocka: „Umysł ludzki przypomina na początku strych, który należy umeblować”.

W opowiadaniu tym na ścianie pokoju, w którym znajdują zwłoki, jest napisane krwią słowo „Rache”. „Zemsta” po niemiecku. Był to trop pozostawiony przez ofiarę tuż przed śmiercią...

– Znalazłaś, czego szukałaś? – spytała, pochylając się nad stołem, Kyoko.

– Tak. – Stevie wstała. Z pośpiechu zahaczyła nogą o nogę stołu i omal nie upadła.

– Dobrze się czujesz?

– Tak... świetnie. Rewelacyjnie. – Zamknęła książkę i oddała Kyoko, która ostrożnie odłożyła ją do skrzynki. – Dzięki – dodała. – Muszę... Dziękuję.

Stevie przemknęła przez bibliotekę pełną uczniów pracujących w słuchawkach. Kiedy wyszła, owiał ją mroźny podmuch wiatru. Parę śnieżynek wpadło jej do nosa i roztopiło się w krtani. Wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Fenton.

Dobre pięć minut słyszała sygnał wywoławczy.

– No, odbierz wreszcie! – Zniecierpliwiona zaczęła krążyć przed biblioteką.

– Halo? – wybełkotała hałaśliwie profesorka.

- Dzień dobry, musimy porozmawiać. Zna...
- Teraz nie mogę.
- Nie rozumie pani – odparła Stevie, starając się nie krzyknąć. – Ja...
- Nie teraz... – syknęła cicho Fenton. – Oddzwonię później. Tam jest chłopak. Tam jest chłopak!
- Słucham?

Fenton już się rozłączyła.

Stevie stała chwilę, nie odrywając komórki od ucha, szklany panel zmarzł i zaparował od jej oddechu. Ruszyła ścieżką. W chłodzie odgłos jej kroków niósł się daleko i brzmiał wyraźniej.

„Jak Fenton mogła się tak po prostu rozłączyć?” Sama na mrocznej górze, Stevie nie miała komu opowiedzieć o tysiącu wątków i o tym, że się nareszcie splotły i współgrały.

„Jak wytłumaczę, skąd wiem, kto porwał Iris i Alice?”

30 października 1938, 17.00



Sielankowa scena: po jeziorze Champlain płynął leniwie mały smukły jacht Alberta Ellinghama „Kraina Czarów”. Mimo że oba żagle – czerwony i biały – były mocno naprężone, jacht przesuwał się po wodzie bardzo wolno. Pogodne październikowe popołudnie kipiało kolorami. Albert Ellingham trzymał ster jedną ręką. George Marsh siedział wygodnie rozparty na okalającej pokład wyściełanej ławie, z rozłożonymi ramionami, wesoły.

– Dużo czytasz, George? – zapytał Albert.

– Nie – odrzekł George.

– A powinieneś. Lektura to jedna z największych przyjemności... może nawet największa.

– Ty to chyba nie palisz kubańskich cygar...

Albert się roześmiał.

– Fakt. Bogactwo, wpływy... są niczym wobec dobrej książki. W książkach znajdziesz wszystko. Otwierają na nowe doznania i przestrzenie. Książka jest kluczem do świata.

– Zgubiłem się – odparł George.

– A Sherlock Holmes? Znasz *Studium w szkarłacie*? Nie wierzę, żebyś tego nie czytał.

– Niestety nie – odrzekł George.

– Bezwzględnie powinieneś. To pierwsza z historii o Sherlocku Holmesie. Kapitalna, wielce pouczająca. Wykładnia poglądów i metod

pracy detektywa. Jako stróż prawa znajdziesz tam wiele dla siebie. Ta książka poniekąd mnie ukształtowała. W sierocińcu mieliśmy zaledwie kilka książek – wśród nich zbiór opowieści o Sherlocku. Przeczytałem je ze sto razy. Od deski do deski. Nauczyły mnie patrzeć; widzieć świat dokoła. Niewiele jest tak pouczających książek.

– Dobrze. – George Marsh ze śmiechem wyjął papierosa. – Przekonałeś mnie. Zapiszę się do biblioteki.

– Zatem zrobiłem dziś dobry uczynek. Wybacz, George, ale na jachcie się nie pali. Ogień i łódź to fatalne połączenie.

George kiwnął głową i wetknął papierosa za ucho.

– Zrzucę tu kotwicę. Posiedzimy sobie trochę. Lubię zatokę Maquam.

Albert niespiesznie odwinął linę z kołowrotu, okręcił nią dłoń i zaczął opuszczać kotwicę.

– Wiesz – rzekł. – Dottie przed śmiercią czytała o Sherlocku. Często pomija się ją w tym wszystkim. To moja wina. Skupiam się na Iris, na Alice... Mała Dottie Epstein z Lower East Side jest ignorowana. Tak nie powinno być. Zasłużyła na więcej.

– Biedne dziecko. – Marsh potrząsnął głową.

– Dolores Epstein. Dottie, tak ją nazywali. Wyjątkowa dziewczynka, niesamowita. To ją wybrałem do Akademii jako pierwszą. Wspominałem ci o tym?

George Marsh pokręcił głową.

– Nie? – zdziwił się Ellingham. – Więc pewnie nie było okazji. Jedna z najlepszych pracownic biblioteki publicznej opowiedziała mi o znajęcej grekę dziewczynce z Manhattanu, która trzy razy wkradła się do działu rzadkich rękopisów. Była niesforna, ale w pozytywnym sensie tego słowa. Pozytywnie niesforna. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem – odparł George. – Podobnie jak ty, jeśli cię to nie urazi.

– Ani trochę. Miło mi, że tak myślisz. Wybrałem się do jej szkoły i pogadałem z dyrektorem. Czułem, że pozbywa jej się chętnie, ale i z

przykrością. Tak zdolnych uczennic nie spotyka się zbyt często. Pamiętam radość na twarzy Dottie, kiedy do nas przyjechała... Jak weszła do biblioteki i usłyszała, że może wypożyczać wszystko... George, mam pieniądze. Niczego mi nie brakuje. Ale wierz mi – książki dla Dottie to moja najlepsza inwestycja. Karmiłem jej umysł. Była fenomenalnym dzieckiem.

– Spotkało ją coś potwornego. – George Marsh poważnie pokiwał głową.

– Brak na to słów. Brak słów. Tego dnia tyle przepadło. Jej niezwykły umysł. A w obserwatorium, gdzie ją znaleźli, leżał egzemplarz *Przygód Sherlocka Holmesa*. Czytała tę książkę, zanim się to stało. Przedziwne... – Albert przerwał, nawinął linę na palce i ją związał. Jacht zakołysał się lekko, niemal nieruchomiejąc. – Wiesz – rzekł Albert po chwili – Dottie zaznaczyła w tym egzemplarzu słynne zdanie: „Umysł ludzki przypomina na początku strych, który należy umeblować”. Zaczęło mnie nurtować, jak je podkreśliła. Dość niestarannie – kreska jest nabazgrana ołówkiem. Poza tym w książce nie ma podkreśleń. Kogóż obchodzi zaznaczenia w książkach uczniów? Iris i Alice pochłaniały mnie bez reszty... Jak Watson patrzyłem, lecz nie widziałem. Coś mi jednak utkwilo w głowie. Wiesz, jak umysł rozwiązuje problem? Poza wolą. To podkreślenie nie dawało mi spokoju. – Albert zmrużył oczy, bo jacht obrócił się do słońca. – Poszedłem do biblioteki i sprawdziłem wypożyczenia Dottie Epstein. W innych jej książkach podkreśleń nie było. Bibliotekarka potwierdziła to, bo uważnie przegląda wszystko. Przed bibliotekarką nic się nie ukryje. Oczywiście mogła to być sprawka innego ucznia, ale, jak się okazuje, Dottie zaanektowała tę książkę. Tak ją lubiła. Wielu uczniów miało własne książki, więc nie korzystało z biblioteki tak często jak ona. Szperałem dalej. Zerknąłem na wykaz rzeczy znalezionych w domu i piwnicy. Na podłodze piwnicy z alkoholem leżał ołówek, potoczył się pod ścianę. Był stępiony. Niebieski, z logo Akademii – należał do któregoś z uczniów. Można więc

sądzić, że zdanie podkreśliła Dottie, i że zrobiła to wtedy w obserwatorium. Tylko po co?

– Może to przypadek – odparł George Marsh. – Coś ją przestraszyło albo ktoś ją złapał. Niechcący zarysowała kartkę ołówkiem...

– Nie, rozumiem twój tok myślenia, ale nie. Przypadkowe podkreślenie nie byłoby tak dokładne. To jest świadome. Sądzę, że Dottie próbowała coś mi przekazać. Liczyła na mnie, a ja ją zawiodłem.

– Albercie, nie możesz się obwi... – Ellingham przerwał Marshowi machnięciem ręki.

– Wiem, że chcesz mnie wesprzeć, dziękuję, ale taka jest prawda. Rozumiałem Dottie. Lubiła ryzyko. Jej wujek jak ty jest nowojorskim policjantem. Mówiła, że wielu technik włamywania nauczyła się od niego. – Uśmiechnęli się. – Tak – ciągnął – Dottie była bystra i nie poddawała się bez walki. Pod twoim siedzeniem jest panel, widzisz? Bądź tak dobry, schyl się, przesuń go w lewo i zajrzyj do środka.

George Marsh postąpił według wskazówek. Pod siedzeniem ujrzał przymocowane do dna jachtu wiązki ciemnych lasek materiału wybuchowego.

Albert Ellingham spojrział pod słońce.

– Są jeszcze – oznajmił spokojnie – w czterech miejscach. Właśnie nastawiłem mechanizm zwalniający podłączony do liny na mojej ręce. Jeśli go zwolnię, obaj wylecimy w powietrze. Mógłbym użyć pistoletu, ale łatwo go wyrwać, poza tym nie lubię pistoletów. Szczerze mówiąc, gdybym miał ufać sobie, dawno z ochotą bym cię zastrzelił. Aby poznać całą prawdę, muszę panować nad sobą. Masz jedno wyjście: nie ruszać się i opowiedzieć, jak to się stało.



Stevie siedziała na betonowej posadzce obserwatorium. Marzła trochę. Wokół leżały rozsypane płatki zeschniętych kwiatów. Wiele wiązanek wyniesiono, ale sprzątaczkom umknęła zabłąkana wśród nich kartka. Mała, niebieska, z brzegami ozdobionymi czarnym brokatem. Widniały na niej, napisane słodkim stylem entuzjastów *bullet journaling*^[14], słowa: „Nie przegrywaj. A gdyby, wstawaj. Miłość na wieki, Melody”.

Stevie odłożyła kartkę.

„Nie mam dowodów. Nie mogę nikogo pozwać. Nie mogę nagle napisać książki, a zresztą i tak nie potrafię. Jeśli pisanie wygląda tak jak w przypadku Nate’a, to dramat...” Nigdy nie myślała, co robi z rozwiązana sprawą. „Komu powiem? Pochwalę się księżycowi? Zatweetuję? Zaktualizuję status na Facebooku na «wykrywaczka przestępstw»?”

Dlatego musiała porozmawiać z Fenton. Spojrzała na komórkę.

– No, czemu nie dzwonisz? – zapytała.

Komórka leżała na posadzce, obojętna, niema. Stevie podniosła ją i zaesemesowała do Huntera: „Co robi ciotka? Muszę natychmiast z nią pogadać. Możesz jej przypomnieć, że czekam na telefon?”.

Wbiła wzrok w ekran, czekając na „wiadomość odebrano”, a potem „odczytano”. Bez skutku.

„Oddychaj”.

Wstała i zaczęła chodzić w kółko, nerwowo gładziła się po włosach, które stawały na sztorc. „Co począć z tym, do czego doszłam? – dumiała. – Jak sprawdzić, czy się przypadkiem nie mylę?”

Pozostawało jej teraz tylko jedno – zrobić to, co robią czasem detektywi w książkach. Zebrać podejrzanych i przedstawić im całą hipotezę. Mentalnie rzecz jasna. „Zwołam umarłych i ustawię rzędem. Opowiem wszystko po kolei, punkt po punkcie”.

Ustawiła wkoło wyimaginowane krzesła. Na dwóch posadziła Francis Josephine Crane i Edwarda Pierce’a Davenporta. Francis, z równo ściętymi kruczoczarnymi włosami, miała na sobie spódnicę i sweter w jodełkę. Obcisłe. Wełniane. Brązowo-kremowe. I beret na bakier. Edward, uroczy jak to poeci, miał białą koszulę, rozluźniony krawat i rozpiętą czarną kamizelkę. Gdy, pochylony, przyglądał się Stevie z błyskiem w oku, Francis siedziała prosto, chłodna, powściągliwa.

– Wy – Stevie zwróciła się do nich cicho. Była sama, więc pomagała sobie mówieniem. – Chcieliście zostać bandytami.

– Byliśmy bandytami – odpowiedziała Francis.

– Napisaliśmy ten wiersz – dodał Edward.

– Jest do bani – odrzekła Stevie. – Znam twoje wiersze. Marny z ciebie poeta.

Edward wycofał się, urażony.

– Wasz durny anonim – odparła, obchodząc ich, Stevie – przez wiele lat wprowadzał w błąd policję i detektywów. – Wszyscy myśleli, że winny jest Nieodgadniony. A Nieodgadniony nie istniał.

– Zagraliśmy – odrzekła Francis. – Jak w tamtym wierszu. „Król błazen na wzgórzu mieszkał i zapragnął partyjkę zagrać, więc Edward z Frankie doń dołączyli i świat zmienił się nie do poznania”.

– Napisaliście go przed odejściem ze szkoły, zanim doszło do porwania. Nie mieliście pojęcia, co się zdarzy. Chodziło wam o coś innego.

Francis uśmiechnęła się, nie tracąc rezonu.

– Wmieszaliście się – ciągnęła Stevie. – Ale nic nie zrobiliście. Nie jesteście tym, kogo jakby nie ma, i nie na stopniu, tylko na schodach szukać go trzeba. – „Eliminuję was – pomyślała. – A skoro tak, to zostaje...”

Na krześle obok Francis zmaterializował się George Marsh. W garniturze w prążki, w szarej fedorze, mocno zbudowany, z wydatną szczęką. Założył ręce i spojrzał wyzywająco na Stevie.

– Nic nie znalazłaś – stwierdził. – Pracuję w FBI. Zawsze wiem, kiedy nie ma poszlak.

– Myli się pan – odrzekła. – Popełnił pan błąd. Widział pana ktoś, kto uwielbiał kryminały.

W kręgu pojawiło się kolejne widmo – krętowłosa dziewczynka ze szparą między zębami. Miała brązową wełnianą sukienczynę i przekrzywione okulary. Przyciskała do piersi książkę. Baczenie przyjrząwszy się George’owi Marshowi, odwróciła się do Stevie i kiwnęła głową. Stevie odkiwnęła.

Ciemne kształty drzew, kolumny obserwatorium, posągi były jej świadkami.

– Wpadłeś! – powiedziała do Marsha.

Zadzwoniła komórka. Krąg widm rozpląnął się w nocy, zostawiając Stevie samą wśród uschłych płatków.

– Wracasz? – spytał Nate. – Co porabiasz?

– Nie uwierzyłbyś.

– Akurat.

– Rozwiązałam sprawę.

Cisza.

– Gdzie jesteś?

– W obserwatorium.

– Czekał, idę – odparł Nate.

Stevie rozłączyła się i sprawdziła wiadomości. Hunter jeszcze nie przeczytał esemesa. „Co z tą Fenton, kurczę? «Nie teraz... Tam jest chłopak!». Pijani bredzą, jak wiadomo, ale to był konkret, a poza tym Fenton nalegała”. – Raptem zaświtało jej coś. „Ludzie czasem nie odbierają telefonu. Nieraz plotą trzy po trzy. Ale tu coś nie gra”. – Spojrzała na beton. Pod nogami chrzęściły jej szczątki wiązanek na cześć Hayesa. „Ellie cały czas była pod nami, w tunelu. Chodziliśmy nad nią... Czy gdy dusiła się, roztrzęsiona, głodna, odwodniona, słyszała nas, przyjaciół, nad sobą? Na pewno się bała – jak ja nigdy w życiu. Miała świadomość, że umiera w tych kazamatach? Czy oswajała się z mrokiem, z tym, co ją czekało? Podstępny mordercą z cienia, który przyszedł po jej ból i zgrozę...”

– Odezwiże się – powiedziała Stevie do komórki.

„Kazał dzwonić o każdej porze dnia i nocy”. Zaciśnęła pięści kilka razy, wreszcie zadzwoniła. Larry odebrał po drugim sygnale. W tle słychać było telewizor i szczekanie psa.

– Coś nie tak? – zapytał Larry.

– Sama nie wiem.

– Dobra. Mów.

– Wiem, kto porwał Alice i Iris – odrzekła. – I kto zabił Dottie.

– Co?

– Ale nie dlatego dzwonię. – Oddech Stevie przyspieszył. – Nie o to chodzi. Chyba... się martwię. Sama nie wiem czemu. O profesorkę z Burlington, z którą współpracuję. Coś jest nie tak. Czuję to.

– Podaj mi jej adres – odpowiedział Larry.



30 października 1938, 18.00

Na jachcie panowało milczenie. Gdy George i Albert patrzyli na siebie, niebo przybrało kolor rozżarzonej lawy. Zaczął się olśniewający vermoncki zachód słońca.

– Wkrótce się ściemni – przerwał ciszę Albert. – Wieczory tu są bardzo spokojne.

Woda łagodnie pluskała o kadłub.

– Albercie...

– Nie, nie, George. Na to już za późno. Wiem z doświadczenia, że konspiracja wyczerpuje. Brzemie z początku jest w miarę znośne, z upływem czasu jednak ciąży coraz bardziej. Najwyższy czas, abyś je z siebie zrzucił.

– Albercie...

– Widzisz... – Albert nie pozwolił sobie przerwać. – Wybrałem najlepszą. Dottie była jedna na milion. Wątpię, czy ktoś inny przekazałby mi odpowiedź. Wybacz, że to tyle trwało, Dottie. Nie zdążyłem. Zawiodłem cię, ale już nie nawalę. – Ostatnie słowa skierował do słońca. – Podejrzywałem cię chyba podświadomie. Wiesz, jak to bywa, George, jesteś policjantem. Czasami czuje się coś po prostu. Domyśliłem się, że w porwanie są wmieszani domownicy. Sprawdziłem wszystkich, każdy dzień ich życia. Wykryłem, że Leo dzielił się z Iris kokainą... O wielu ludziach dowiedziałem się paskudnych rzeczy, a o zniknięciu Iris i Alice niczego. Najoczywistszego nie zauważałem. Człowiek nie widzi tego, co ma przed oczami. Pewnego dnia zadałem

sobie zagadkę. Brzmiała: „Gdzie ten jest, kogo jakby nie ma? Na stopniu nigdy; na schodach szukać trzeba”. Czasem wymyślam zagadki odruchowo. Tworzę je i muszę rozwiązać samodzielnie. A gdy to robię, umysł podsuwa mi przeróżne tropy. Z czym kojarzy ci się słowo „szukać”?

– Może ze śledztwem? – odparł Marsh niechętnie.

– Otóż to. Kto je prowadzi? Detektyw. Kim jest ten, kogo jakby nie ma? Gościem nie gościem. Stróżem prawa niezamieszanym w zbrodnię. Zobaczyłem cię na tym znikającym stopniu. Opowiedziała mi o tym – po swojemu – Dottie. Bo tak się składa, że gdy przybyli pierwszoroczni, nagrałem wrażenia kilku z nich z pobytu u nas. Chciałem zrobić krótką reklamę Akademii do kin. Dottie wyznała mi coś zabawnego. Bała się lasu, bo pochodziła z miasta. Pomyśl! W mieście czuła się bezpieczna, a dzika przyroda napawała ją zgrozą. Wujek policjant ją wtedy uspokoił, powiedział, że zatrudniłem w szkole strychowca. Nie zrozumiałem, więc mi wyjaśniła, że w slangu złodzieja nazywa się piętrzarzem, policjant zaś to strychowiec, który dopada piętrzarza znieńacka. Wujek i Dottie słyszeli o George’u Marshu, sławnym gliniarzu, który ocalił Alberta Ellinghama.

W mroku wieczoru mijał ich jacht. Albert uniósł rękę w geście pozdrowienia jakby nigdy nic.

– Nie wiem wszystkiego – rzekł. – Dlatego tu jesteśmy. Teraz posłuchaj, co udało mi się stwierdzić, a potem to rozwiń, dopowiedz, co trzeba. Wiem, że po południu w dniu porwania byłeś w Burlington. Widziano cię na poczcie i na posterunku... Biegałeś po mieście, gdy Iris wyprowadzała samochód. Więc nie porwałeś ich osobiście, choć może się mylę. Pod dom podjechałeś najpewniej późno wieczór. Mgła przysłużyła ci się – ruch na drodze był znikomy. Śladu obcych opon nigdzie nie znalazłem, domyślam się więc, że parkowałeś tam, gdzie zwykle. Nawet nie zmieniłeś butów. Uznałeś, że możesz zostawiać wokół domu własne ślady. Zarazem mieszkałeś u nas, mój drogi, i nie mieszkałeś. Jakby cię nie było. Wszedłeś do tunelu. Wyszedłeś w

obserwatorium. A tam natknąłeś się na najbystrzejsze dziecko w Nowym Jorku. Pewnie miałeś broń, lecz Dottie miała groźniejszą. Książkę. Spojrzała na ciebie i rozpoznała strychowca. Może przeczuła, że jej czas dobiega kresu. Nie chciała dopuścić, żeby uszło ci to na sucho. Jak w *Studium w szkarłacie* zostawiła mi wiadomość. Oddaję ci głos, George. Czekam na wyjaśnienia.

– Nie ma co wyjaśniać – odparł Marsh.

– Wobec tego nie ma i rozmowy, przystąpię więc do...

Gdy Albert sięgnął po linę, George wychylił się i wyciągnął doń rękę.

– Ta bomba to blef – rzekł.

– Zapewniam, że jest prawdziwa. Jak obietnica, że odpalę ją, gdy mi sprawisz zawód.

– Dlaczego...

– Bo nie mam nic do stracenia – odparł cicho Albert. – Zależy mi już tylko na odpowiedzi. Wiem, że ją znasz. Jeśli nie podasz mi jej, zabiję nas obu. Dobrze więc się zastanów nad kolejnym ruchem. I pomyśl, do czego bym doszedł, gdybym nie umiał dotrzymać słowa.

Cisza bywa ogłuszająca. Plusk wody, świergot ptaka w dali. Najmniejszy odgłos rozbrzmiewał niczym wybuch. Marsh zastygł, na czoło wystąpiły mu krople potu. Oblizywał wargi raz po raz i mrugał. Osunął się na siedzenie, jakby uszło z niego powietrze.

– Brawo – rzekł miękko Albert. – Widzę, że się zreflektowałeś. Zrzuc to z siebie, George, a zaraz poczujesz ulgę. Mów. Czasu mamy dużo i nikt nam nie przeszkodzi.

Sprowokowany jego łagodnością, George Marsh odpowiedział w końcu:

– Poszło nie tak, Albercie, zrozum. Nie planowałem przemocy. Zawaliłem sprawę.

– Czemuś to zrobił, George?

Marsh splótł rękę.

– Odkąd poznałem ciebie i twoich przyjaciół... Przerosło mnie to. Zacząłem grywać w pokera. Jestem w tym dobry, Albercie, więc wygrywałem. Aż dałem się ograć na dwadzieścia kafli. Kolesiom z Nowego Jorku, niezłym drabom. Wiedzieli, że się znamy, więc chcieli, bym podnosił stawkę. Myślałem, że wygram...

– Brakło ci forsy, George? Dlaczego nie zwróciłeś się z tym do mnie?

– Żebyś mnie spłacił? O czym ty mówisz?

– Byłeś w potrzebie, więc pomógłbym ci na pewno.

– A później byś mnie zwolnił. Musiałem sam się z tego wykaraskać i na zawsze pożegnać z hazardem.

– Dlatego porwałeś najdroższe mi osoby?! – Ellingham podniósł głos. Odchrząknął, opanował się. – Mów dalej.

– Któregoś dnia... – George Marsh spuścił głowę. – Na trawniku przed domem natknąłem się na uczennicę z pisemkiem kryminalnym. Powiedziała mi, że czyta o porwaniu. Gdy zapytała, czy miałem taką sprawę, odparłem, że tak. Interesowały ją listy, anonimy. Gdy wypytywała, uzmysłowiłem sobie, że porwania, z jakimi miałem do czynienia, to betka. Porywasz, bierzesz okup, wypuszczasz. Sprawa załatwiona, o ile nikt cię nie zobaczy. Przyszła mi na myśl gotówka w twoim sejfie, postanowiłem jej zażądać. Prawdę mówiąc, sądziłem, że Iris...

– Co?

George spojrział na Alberta, załamując ręce.

– ...się to spodoba – dokończył.

– Spodoba?!

– Szukała podniet, Albercie. Wiesz, że zażywała kokainę. Wiesz, z kim się zadawała. Poszukiwała przygód. Nudziła się tu. Miała tylko posiedzieć kilka godzin w szopie. Wyobraź sobie, jak opowiada o tym przy kolacji...

Albert Ellingham nie zareagował.

– Nająłem dwóch znajomków – żuli, przygłupów. Zwinęliby księżyc, ale nikogo nie skrzywdzili. W zamian za robotę obiecałem im po dwa kafle. Mieli zastawić drogę wozem, a gdy Iris wyjedzie na przejazd, złapać ją, zawiązać jej oczy, skrępować i ukryć w szopie nieopodal. Miałem wziąć forszę, a oni wypuścić Iris. Trochę podrapana, wróciłaby ze śmiechem. Byłaby w domu, cała w skowronkach.

– Ale jej nie ma. Ani się nie śmieje.

– Tak. – George wyjął papierosa z za ucha. – Zabrała Alice. To... skomplikowało sprawę. – Zawahał się, ale Albert go ponaglił. – Rzeczywiście byłem wtedy w Burlington. Ustaliliśmy sygnał. Jadłem lunch u Henry'ego, a oni po... schwytaniu Iris mieli tam zadzwonić i prosić Paula Grady'ego. Kelnerka krzyknęła: „Pan Grady, telefon!” pięć po pierwszej. Zapłaciłem i wyszedłem, później chwilę obserwowałem twoje biuro. Ruszyłem dwójką w stronę domu i zatrzymałem się pod budką telefoniczną. Ktoś sprawdził, kiedy wyjechałeś z miasta, i dał mi znać. Potem wróciłem. Było mgliście, ani żywej duszy. Postawiłem wóz na tyłach i wszedłem do tunelu. Włożyłem kapelusz, postawiłem kołnierz, owinąłem twarz szalikiem. Musiałem tylko poczekać w obserwatorium, wziąć od ciebie forszę, zawiązać cię i wrócić pod budkę. Mam znajomą w centrali...

– Margo – rzekł Albert. – Margo Fields. Ten szczegół nie dawał mi spokoju – wieczorem byłeś w domu, więc to nie ciebie zobaczyła Dottie: nie zdążyłbyś przyjechać. Ale przecież rozmowy można łączyć z dowolnym aparatem. Tyle że Margo zeznała, iż łączyła wtedy rozmowę z twoim domem. Wybrałem się do niej, wypytałem ją raz jeszcze. W końcu wyznała, że łączyła do budki. Kazałeś jej zataić to nawet przede mną, mówiąc, że spraw FBI się nie ujawnia. Idziesz do obserwatorium i zastajesz Dottie, mimo że miało tam nie być nikogo... Co jej zrobiłeś?

– Już się nie dało tego odkręcić, zrozum... – odparł Marsh. – Musieliśmy doprowadzić rzecz do końca. Nie chciałem jej skrzywdzić. Nie wiedziałem, co robię. Stała z książką jak z tarczą i powtarzała, że mnie nie zdradzi. Gdy skołowany powiedziałem, że jej nie wypuszczę, w

ułamku sekundy rzuciła się do otwartego włazu. Słowo daję, Albercie, skoczyła. Skoczyła do włazu, by przede mną umknąć. – Dopiero po chwili opanował drżenie głosu. – Musiała uderzyć się w głowę bardzo mocno. Ile tam jest? Co najmniej trzy i pół metra. Gdy po nią zszedłem, leżała w kałuży krwi. Jęczała, nie była w stanie nawet się czołgać. Pełzała... Pewnie pękła jej czaszka. Gdybym ją zostawił, cierpiałaby bardziej. Wierz mi. Patrzyłem, jak pełźnie po ziemi. Widok był tak straszny, że... Miałem rewolwer, ale gdybym strzelił, znaleźliby nabój. Chwyciłem rurę... Nie: pręt do podpierania klapy... Zadałem mocny cios i Dottie przestała się ruszać... – Horyzont ciemniał. – Nie wiem, co mnie podkusiło. Wszystko stało się tak szybko. Nie chciałem... Musiałem czym prędzej uprzątnąć miejsce zbrodni, byś nic nie zauważył. Włożyłem Dottie do jednej ze skrzynek. Była pełna trocin, więc trochę krwi wchłonęła... Podłogę umyłem wódką. Wódką oczyściłem buty. Skrzynkę wsunąłem na wózek, popchałem pod samochód i schowałem w bagażniku.

– Dlaczego jej nie zostawiłeś? – spytał Albert Ellingham.

– Bez ciała nie ma zbrodni. Nikt by się nie połapał. Musiałem tam wrócić i posprzątać... Wyszedłem na górę i czekałem na ciebie. Nie chciałem, by cios był aż tak mocny – straciłem panowanie, bo... znasz powód. Wziąłem pieniądze, wyszedłem przez tunel, wsiadłem do wozu i odjechałem. Zatrzymałem się pod przydrożną knajpką. Dwa, trzy tygodnie wcześniej zacząłem tam jadać, żeby do mnie przywykli. Stamtąd jest bliżej do twojego domu niż mojego. Znajomym mówiłem, że muszę coś wtrącić, nim tu dojadę, bo od waszych frykasów, *crème de* cośtam, wolę hamburgery. Rajcowało ich to. Wziąłem stek i kawę i czekałem na telefon. Czułem, że zadzwoni i na to liczyłem. Kiedy wieczorami nie odbierałem w domu, Margo przekierowywała połączenia do restauracji, by wydawało się, że jestem... Czekałem, że zadzwonisz. I zadzwoniłeś. Wysłałeś mnie po Iris. Miałem więc jechać, rozliczyć się z drabami i przywieźć Iris do domu. Tak planowałem. Ale tak się nie stało.

– W rzeczy samej – przytaknął Albert. – Tak się nie stało.

– Dotarłem na miejsce i dałem gościom dołę. Trzymałem się jakoś. Szkopuł w tym, że oni dostali szalu. Walcząc o Alice, Iris się im wyrywała... Nie byli tak tępi, jak sądziłem, ani tak niegroźni. Stwierdzili, że żona i córka Ellinghama są warte więcej niż te marne cztery kafle. Zaproponowałem pięć. Wtedy się na mnie rzucili. Dałbym im radę, ale jeden wyjął klucz francuski – i oznajmili, że teraz oni rządzą. Jak się okazało, wywieźli gdzieś Iris z Alice, a trzeci – wspólnik – miał je zastrzelić, gdybym ich nie posłuchał. Wskazali mi, gdzie i jak dostarczyć okup. Sytuacja wymknęła się, jak widzisz, spod kontroli.

– Na drugi dzień pojechałeś na cypel – przypomniał Albert.

– Przedtem jednak miałem dość czasu do namysłu. Choć nie wiedziałem, gdzie są Iris i Alice, postanowiłem je ratować. Byłem gotów na wszystko.

– Ale i tak wzięłeś kilka znaczonych banknotów. By się asekurować. By kogoś wrobić, George. Czyżbym się mylił?

– Musiałem pokazać tamtym, że mam za co ich wybronić – odrzekł Marsh – i zatuszować sprawę. Wciąż kołatało mi się w głowie nazwisko Vorachek. Dokazywał. Wszyscy marzyli o tym, by wreszcie go posadzić. Groził ci zresztą. Musiałem tylko podrzucić mu te banknoty. Miałem dać znać drabom, że wyjdą z tego bez szwanku. Czekałem, aż się odezwą – na próżno, przystąpiłem więc do śledztwa. Rozpatrzyłem wszystko, co o nich wiedziałem. Prześwietliłem ich kontakty, ale z taką kasą łatwo się ulotnić. Wtedy jezioro wyrzuciło na brzeg Iris... – Spojrzał na wodę.

– Kto zabił Vorachka? – spytał Albert.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby sprzątnęli go kamraci. Albo ktoś obcy, komu po prostu się naraził.

– Iris, Dottie i Anton Vorachek. To już trzy trupy. Została Alice. Dlatego cię tu wzięłem. Muszę się dowiedzieć, co z nią. Gdzie moja córka?

George Marsh ochłonął nieco, uniósł podbródek i spojrzał Albertowi w oczy.

– Co ci przyjdzie z naszej śmierci? – zapytał.

– To konsekwencje, które gotów jestem ponieść.

– Wiem, gdzie jest Alice – oznajmił niespodzianie George Marsh.

Opanowanie opuściło Alberta. Podniósł się z liną okręconą ciasno wokół dłoni. Twarz mu nabiegła krwią i powiększyły się źrenice, a jego głos zmienił się w cichy pomruk.

– Przed chwilą mówiłeś, że nie wiesz, co się z nią stało. Że to nie ty ją porwałeś. Że jej szukałeś.

– W końcu ją znalazłem – odparł Marsh.

– Czy moja córka żyje?

Pierwszy raz od początku tej rozmowy George Marsh usiadł wygodnie. Rozluźnił krawat i wyciągnął nogi, jakby znów zaczął cieszyć się przejażdżką.

– Czy to aby nie jedna z twoich gier, Albercie? – spytał. – Bo tak je lubisz...

– To nie gra. Mów, gdzie jest Alice, bo inaczej...

– Puścisz linę i obaj wybuchniemy? A jak ci powiem, wypuścisz mnie? Naprawdę? Powiem ci, a ty nas nie wysadzisz, wrócimy na ląd i sprawa załatwiona?

– Wrócimy. Daruję ci życie.

– Gdzie? – obruszył się George. – W kryminale? Masz pojęcie, co by mi zrobili? Glinie, który porwał dziecko – twoje dziecko? Codziennie tłukliby mnie do upadłego. Gliniarze, nie mówiąc o współwięźniach. Zostałaby ze mnie miazga. Na łądzie nic dobrego mnie nie czeka.

– Jeżeli zdradzisz mi, gdzie jest Alice, dogadamy się. O twój los nie dbam, zależy mi na odzyskaniu córki.

– Trzeba by było dogadać się na moją korzyść. Jak? Puścisz mnie i może nawet sypniesz groszem, a ja ci powiem, gdzie jest Alice? O, nie. –

Marsh pokręcił głową. – Nie ryzykowałbyś. Nie puściłbyś mnie wolno. Dopóki wiem, co z małą, musisz nade mną panować. A jak mnie zabijesz, niczego się nie dowiesz. – Zaczął zdejmować marynarkę. Widząc to, Albert zaniemówił z gniewu. – Szczerze mówiąc... – Marsh wstał i podwinął rękawy. – ...dziwię się, że zajęło ci to tyle czasu. Długo czekałem na tę chwilę – i nadeszła. Masz rację. Ulżyło mi. Jestem wykończony. Ty pewnie też, ukrywając tyle plugastw. Idę o zakład, że nawet Mackenzie o nich nie wie. Te twoje gazety... łapówki, kamuflowane draństwa, politycy, których trzymasz za mordę. Potężny Ellingham...

– To pomówienia...

– I wreszcie Alice. O niej też wiem. Czyżbyś miał większy sekret? – Marsh wstał, skończył zdejmować marynarkę i wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę. – Dla nas obu nie ma już odwrotu – dodał, wsuwając papierosa do ust.

Chwilę potem miejscowi ujrzeli jasny błysk na wodzie. Od huku ptaki rozpierchły się w noc. Wybuch rozerwał na strzępy „Krainę Czarów” i jej pasażerów. Wyrzucane przez jezioro Champlain szczątki łodzi i ciał znajdowano na brzegu tygodniami.



– Czemu piszesz książki?

Na ziemi pod ciemną kopułą obserwatorium naprzeciw Stevie siedział Nate. Oboje mieli kolana podciągnięte pod brodę i choć byli w kurtkach, trzęśli się z zimna. „Ciche miejsca są strasznie głośne – pomyślała Stevie – dopóki człowiek do nich nie przywyknie. Ucho oswaja się, więc najpierw słyszeć każdy szelest. Spadanie liści rozbrzmiewa akordami. Podmuchy wiatru muskają ziemię niczym perkusista. Wkoło przemykają nocne stworzenia. Sowy pohukują. Raz po raz trzeszczą drzewa. Jest tego tyle, że można ogłuchnąć”.

– Trudno powiedzieć – odparł Nate. – Pewnie dlatego, że poza tym nic nie umiem.

– To żaden powód.

– Nie mam pojęcia. Po prostu piszę. A bez powodu nie można?

– Powody są zawsze, choć nie zawsze jasne. Trzeba mieć motywację – odpowiedziała Stevie.

– Okej, mnie motywuje to, że wolę smoki – odrzekł.

– Od czego?

– Od braku smoków.

Stevie spojrzała na Wielki Dom za skwerem. Okna mrugały jak wykrzywione ślepia. Księżyc rysował sylwetę domu w czerni, przez cień portyku drzwi były niewidoczne. „Jest jak bestia, która, widząc wszystko, sama woli pozostać w ukryciu”. Światło punktowca padało na trójząb Neptuna. Stevie właściwie zobaczyła Wielki Dom dopiero teraz,

gdy niemal tonął, nikał w ciemnościach. Ujrzała prawdę o nim – szpitalu wariatów niechciany przez tę górę. „Nazwali ją Toporzyskiem, bo ma taki kształt. Gdy ją zraniono, gdy wytrzebiono ją z drzew i postawiono szkołę – wolno pożarła jej właścicieli w zemście, pochłonęła; nie zostały po nich nawet kości”.

Stevie zdumiało, skąd u niej tak złe myśli.

– Co robi Norbita? – spytała, aby je odegnać.

– Nic. To jakby ściana z galarety. Yyy... Jak coś w nią włożyć, staje się niewidzialne.

– A, czyli mur do chowania przedmiotów? Nie wspominałeś albo mi to umknęło.

– Głównie pulsuje – odparł Nate. – Tak jakby oddychała. Postanowiłem wyrzucić ją z powieści.

Stevie odechciało się słuchania o dyszącej galarecie, jak i rozmyślań o tym upiornym, chorym domu. „Skąd się tu wzięłam? Po co wjechałam między sfinksy? Po co wróciłam? Ile jeszcze zignoruję ostrzeżeń?”

Zbliżał się atak. Serce jej biło jak szalone, w środku dławiło ją, piętrzyły się obawy przed eksplozją. Nadchodził kolejny napad lęku.

– Szkoda – skłamała. – Bo mi się podoba.

– Nie rozumiesz Pulsującej Norbity. Nikt nie rozumie Pulsującej Norbity.

– Mnie pasuje do książki – odparła Stevie.

– Innym nie – uciął Nate. – Nie wolisz czekać w domu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę się ruszyć.

„Wreszcie coś realnego. Gdybym, skamieniała z tą komórką obok, zdołała się zająć Nate’em, Larrym, Fenton i Hunterem, oswoiłabym potwora. Muszę go oswoić. Rozwiązałam przecież sprawę”.

– Czemu nazwałaś ją Norbitą? – Chciała się skupić na rozmowie.

– Zrobiłem literówkę i jej nie poprawiłem. Stevie, jest zimno. Janelle i Vi...

– A jeśli naprawdę ją rozwiązałam? Co wtedy?

Nate się zawahał.

– Byłaby wielka sensacja – odrzekł.

– Boję się.

„Super, że Nate nie pyta, czego się boję, ani nie mówi, żebym się uspokoila. Może wie, co znaczy nie móc się wycofać. Może on też widuje w nocy potwory”.

– Właściwie czemu się tym zajmujesz? – spytał. – Dlaczego chcesz szukać morderców?

„Dzięki, akurat to mam przemyślane”.

– Bo w śledztwach kryminalnych – odparła – liczą się szczegóły. Ważne jest wszystko. Miejsce. Czas. Pogoda. Kolor domu. Gleba. To wszystko, czego normalnie się nie zauważa. Każdy przedmiot w pokoju. Każde słowo. Jest tego pełno. Trzeba przyjrzeć się faktom z góry, ogarnąć schemat, uchwycić coś ulotnego, zastanowić się, co może być istotne. Czy do płotu przyczepił się kawałek nici? Kto słyszał hałas? Czy pod stołem są odciski palców? Który z setek odcisków i co oznacza? Prześwietla się wszystko i szuka ukrytych sensów. Tak to wygląda. A potem przychodzi rozwiązanie.

– Czyli ty szukasz rozwiązań – stwierdził Nate – a ja je zmyślam. Nie trzeba będzie tracić kasy na psychologa.

– Poza tym chcę nosić rękawice nitrylowe.

– Kto by nie chciał. – Nate uśmiechnął się leciutko.

– Gdy się uśmiechasz – rzekła – świat robi się różowy.

– Nawet nie waż się drugi raz tak mówić.

Zabręczała komórka. Przerazona, Stevie się skuliła. Ale podniosła ją, widząc na ekranie „Larry”.

– Dobry wieczór.

– Co cię skłoniło, by do mnie zadzwonić, Stevie? – Jego głos brzmiał dziwnie nieswojo.

– Złe przeczucie – odparła. – Przepraszam.

Larry zamilkł.

– Halo? Co się dzieje?

– Stevie... zdarzył się pożar. Fatalny w skutkach. Wygląda na to, że zapaliła papierosa, nie zakręciwszy przedtem gazu. Na piętrze znaleziono jej zwłoki. Twoja znajoma, doktor Fenton, nie żyje.

Stevie z trudem powstrzymała nagły wybuch śmiechu.

– Drugą osobę znaleźli na schodach. Miała siostrzeńca...

Teraz omal nie zwymiotowała.

– Czy on...

– Niestety nie wiem, w jakim jest stanie. Coś przeczuwałaś...

Nate się przysunął, widząc, że dzieje się coś złego.

– Gdy zadzwoniłam do niej, miała bardzo dziwny głos.

– Był tam ktoś jeszcze? Co ci powiedziała?

– Że oddzwoni i powtarzała: „Tam jest chłopak!”.

– Stevie?

Stevie pociemniało w głowie. Ogarniająca ją czerń gęstniała jak noc wkoło. Nadeszła pora położyć się na wznak. Nate się pochylił, pytając, czy nic jej nie jest, ale jego słowa rozplywały się w mroku.

Leżała spokojnie. Kiedy gwiazdy wolno gasły, spostrzegła nad sobą nikły ognik, plamkę. Niebieską, w lśniącym czarnym oku, takim jak krowie, na którym uczyli się sekcji. „Jak nazywa się punkt, gdzie dociera wszystko, a nic nie widać?”

Mogłaby przysiąc, że oko kamery Kinga pod kopułą mrugnęło do niej. Widziało wszystko.



Podziękowania

Pisząc książkę, nieraz czuję się jak dziwadło, które zmyśla i rozmawia ze sobą. A to dlatego, że właśnie tak się wtedy zachowuję. Tyle że pisarz właściwie nigdy nie jest sam. Książka powstaje za sprawą przyjaciół i rodziny, dzięki wydawcom, redaktorom, agentom, marketingowcom, księgarzom, bibliotekarzom... Tak wiele osób współuczestniczy w tworzeniu książki i dokłada starań, by trafiła do czytelnika.

Dziękuję Katherine Tegen za wskazówki i wsparcie. Dziękuję Mabel Hsu, która opiekowała się procesem edytorskim. Dziękuję redaktorce Beth Dunfey za wnikliwe uwagi i pozytywną energię. Dziękuję pracownikom HarperCollins, którzy troszczyli się o książkę podczas kolejnych etapów jej powstawania.

Dziękuję agentce i przyjaciółce, Kate Schafer Testerman. Jest najlepsza. Nie oddam jej nikomu. Dziękuję ultradokładnej asystentce, Kate Welsh. Dziękuję wybitnej autorce kryminałów, Sarah Weinman, za wsparcie i niezliczone opowieści. Dziękuję cudownym przyjaciołom. Mam szczęście przyjaźnić się z ludźmi o wszechstronnej wiedzy, którzy pomagają mi przy pracy nad fabułą i konstrukcją. Kolejne osoby, którym pragnę podziękować, to Cassie Clare, Holly Black, Sarah Rees Brennan, Kelly Link i Robin Wasserman, których mądrość nieustannie inspiruje mnie w życiu i pracy. Dziękuję drogiemu koledze, Danowi Sinkerowi, który mnie namówił, żebym zrobiła coś, co kocham, i wzięła udział w jego podkaście. Było to oczyszczające i sprawiło, że się odnalazłam. Dziękuję Jasonowi Keeleyowi, Pauli Gross, Alexandrowi Newmanowi, Johnowi Greenowi, Kirsten Rambo, Peggy Banaszek,

Shannon Skalski, Alexis Fisher, Criście Kazmiroski i Julie Polk – po prostu za wszystko. I wielu innym. Jesteście wspaniali. (Tylko ty, Keeley, jesteś okej). Dziękuję Rodzicom za miłość i olbrzymie wsparcie.

Dziękuję mojej ślicznej Zeldzie, która jest aniołem, mimo że śmierdzi i nieraz szczeka bez przerwy kilka godzin, kiedy piszę. Ktoś musi strzec domu przed rabusiami.

W połowie pracy nad książką wyszłam za mąż! Dziękuję więc za przyjęcie niesamowitej angielskiej rodzinie. Cudownie mieć teściów, nowe rodzeństwo i dwóch fantastycznych siostrzeńców. Nie mam pojęcia, na co się wam przydam, ale dzięki za zaproszenie.

Dziękuję mężowi, który zostanie bezimienny. Jest cudowny! Dziękuję też Tobie. Tak, Tobie. Za przeczytanie tej książki. Jesteś jej sprawcą!

Przypisy

[*] W oryginale: SSDGM (Stay sexy, don't get murdered) – zdanie kończące każdy odcinek popularnego amerykańskiego podcastu *My Favorite Murder (Moja ulubiona zbrodnia)*, chętnie słuchanego przez Stevie. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

[1] Powstały w 1911 roku miesięcznik „Photoplay” był jednym z pierwszych amerykańskich czasopism adresowanych do entuzjastów kina.

[2] Smith College – prestiżowa prywatna uczelnia humanistyczna dla kobiet w Northampton w stanie Massachusetts, powołana przez Sophie Smith w 1871 roku, a otwarta w 1875 roku.

[3] Dorothy Parker (1892–1967) – amerykańska pisarka i poetka.

[4] *I nie było już nikogo* – powieść Agathy Christie, znana też pod tytułem *Dziesięciu Murzynków*.

[5] Bernard „Bernie” Sanders (ur. 8 września 1941 w Nowym Jorku) – amerykański polityk. W latach 1981–1989 burmistrz Burlington. Od 2007 roku senator ze stanu Vermont. Związany z ruchami lewicowymi, zaangażowany w działalność antywojenną i przeciw segregacji rasowej.

[6] Aparat Webster-Chicago – urządzenie do nagrywania dźwięku na metalowym drucie (*wire recorder*); pierwszy taki aparat zbudował w 1898 roku duński inżynier Valdemar Poulsen.

[7] Generał Steve Trevor, właściwie Steven Rockwell Trevor – fikcyjna postać pojawiająca się w komiksach o Wonder Woman. Zaufany przyjaciel, obiekt westchnień i partner bohaterki.

[8] Ativan – lek przeciwlękowy.

[9] Młodzieńcze idiopatyczne zapalenie stawów – najczęstsza u dzieci postać zapalenia stawów, może skutkować uszkodzeniem stawów.

[10] SpaceX (Space Exploration Technologies Corporation) – założone w 2002 roku amerykańskie przedsiębiorstwo, zajmujące się budową silników raketowych, rakiet nośnych i statków kosmicznych.

[11] Arduino – płytka drukowana z mikrokontrolerem i jego wyprowadzeniami, zdolna obsługiwać urządzenia zewnętrzne, np. czujniki, sterowniki silników, wyświetlacze.

[12] Maria Montessori (1870–1952) – włoska lekarka, twórczyni systemu wychowania, zwanego metodą Montessori. Uważała, że zadaniem pedagogiki jest wspieranie spontaniczności i twórczości dzieci, umożliwianie im wszechstronnego rozwoju.

[13] John Dewey (1859–1952) – amerykański filozof i pedagog, twórca „szkoły pracy”, w której realizowano hasło „uczenie się poprzez działanie”.

[14] *Bullet journaling* – prowadzenie *bullet journal*, czyli samodzielnie zaprojektowanego i wykonanego pod indywidualne potrzeby i gust plannera.